

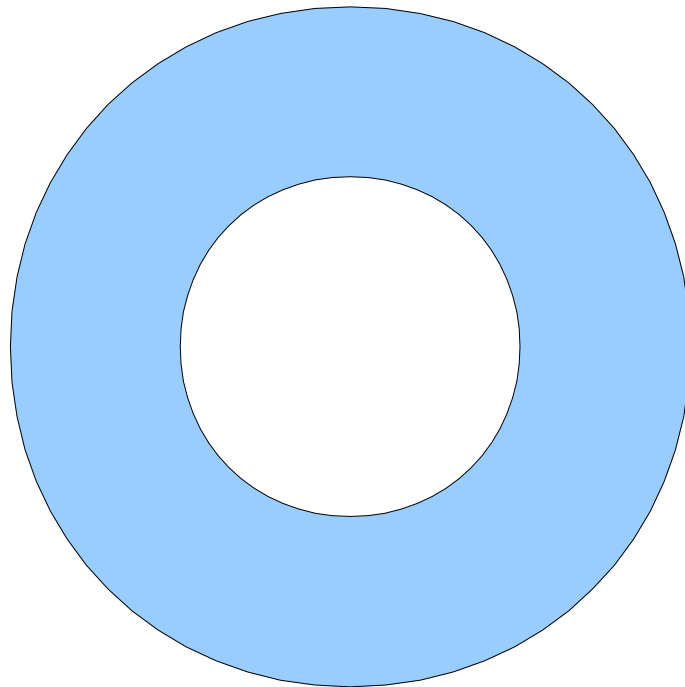
Z chomika Valinor

ARKADIJ STRUGACKI

BORYS STRUGACKI

Trudno być Bogiem

(Tłumaczyła Irena Piotrowska)



"Były to dni, kiedy poczułem, czym jest cierpienie, czym jest wstyd, czym jest utrata nadziei"

Pierre Abelord

"Muszę jednak pana uprzedzić Wykonując zadanie będzie pan, dla wzmocnienia autorytetu, miał przy sobie broń. Ale używać jej nie wolno panu pod żadnym pozorem. Pod żadnym pozorem. Zrozumiał mnie pan?"

E. Hemingway

PROLOG

Kusza należąca do Anki miała łożę z czarnego tworzywa i stalową cięciwę, którą napinało się jednym ruchem bezszmerowo przesuwającej się dźwigni Anton nie uznawał innowacji - niósł zacny instrument bojowy w stylu marszałka Toca, króla Pica Pierwszego, z miedzianym okuciem i kółeczkiem, na które nawijało się sznur z wolicz żył Paszka karabin pneumatyczny. Kuszę uważał za archaiczną zabawkę, jako że był leniwy i pozbawiony jakichkolwiek zdolności do stolarki.

Przybili do północnego brzegu, na którym z żółtego piasku sterczały korzenie sosen masztowych. Anka odłożyła wiosło i zaczęła się rozglądać. Słońce już wstało, nad lasem, dokoła było błękitnie, zielono i żółto - błękitna mgła nad jeziorem, ciemnozielone sosny i żółty brzeg po drugiej stronie, i niebo nad tym wszystkim bardzo Jasne, białawo błękitne.

Tam nic nie ma - rzekł Paszka. Siedzieli przechyleni przez burtę patrzyli w wodę.

- Jaki olbrzymi szczupak - zauważył Anton tonem znawcy.

- Z takimi płetwami? - sprzeciwił się Paszka.

Anton zbył go milczeniem. Anka też popatrzyła w wodę, ale ujrzała tylko własne odbicie.

- Warto by się wykapać - Paszka zanurzył rękę po łokieć w wodzie. - Zimna - oznajmił.

Anton przeszedł na dziób i zeskoczył na brzeg. Łódź zakołysała się. Przytrzymał ją za

burte i spojrzal oczekujaco na Paszke, ktory podniosl sie, zalozył wiosło na kark niby koromysło i kręcąc dolną częścią tułowia, zaśpiewał

Stary szyprze Tramtadrali, Czyś się zdrzemnął, co to znaczy? Strzeż się, na twa łajbę wali Stado smażonych żarłaczy!

Anton bez słowa szarpnął łodzią

- Hej, hej! - krzyknął Paszka przytrzymując się burty.

- A dlaczego smażonych? - spytała Anka.

- Nie mam pojęcia - odparł Paszka. Wysiedli z łodzi. - Ale to fajne, nie? Stado smażonych żarłaczy!

Zaczęli wyciągać łódź na brzeg. Nogi grzęzły w wilgotnym piasku, pełnym suchego igliwia i szyszek sosnowych. Łódź była ciężka i śliska, ale wyciągnęli ją aż po rufę, dysząc ze zmęczenia

- Nogę sobie przygniotłem - rzekł Paszka i zaczął poprawiać czerwoną przepaskę na głowie. Pilnie przestrzegał, by węzeł znajdował się nad prawym uchem, jak u irukańskich piratów z wielkimi nochalami - Co mi tam życie, o-hej! - zakomunikował.

Anka w skupieniu ssła palec

- Drzazga ci weszła? - spytał Anton.

- Nie. Zadrapałam się. To któryś z was ma takie pazury...

- Pokaż. Pokazała mu palec.

- Aha, rzeczywiście. No więc co robimy dalej?

- Na ramię broń i brzegiem marsz - zaproponował Paszka.

- Warto było wysiadać z łodzi?

Łodzią i kura potrafi. A na brzegu trzciny - to raz, urwiska - to dwa, głębie - to trzy. Z miętusami, sumy też są.

- Stada smażonych sumów - powiedział Anton. _ A nurkowałeś kiedyś na głębi?

- No pewnie.

- Nie widziałem. Jakoś nie miałem okazji.

- Wielu rzeczy jeszcze nie widziałeś!

Anka odwróciła się do nich plecami, podniosła kuszę i wystrzeliła, celując w sosnę oddaloną o jakieś dwadzieścia kroków. Posypała się kora.

- Fantastycznie - pochwalił Paszka oddając równocześnie strzał z karabinu. Celował w

strzałę Anki, ale chybił. - Nie wstrzymałem oddechu - tłumaczył się.

- A gdybyś wstrzymał? - zapytał Anton. Patrzył na Ankę.

Anka sprężystym ruchem odciągnęła dźwignię cięciwy. Miała wspaniałe mięśnie. Anton z przyjemnością patrzył, jak pod smagłą skórą przesuwa się twarda kulka bicepsu.

Mierzyła bardzo dokładnie, po czym wystrzeliła jeszcze raz. Druga strzała utkwiała z trzaskiem w pniu trochę poniżej pierwszej.

- Po co my to robimy - powiedziała opuszczając kuszę.

Co? - zapytał Anton.

- Psujemy tylko drzewa. Jak wczoraj jeden chłopak strzelał do drzew z łuku, to mu kazałam zębami wyciągać strzały.

- Może skoczysz. Paszka - zaproponował Anton - ty masz mocne zęby.

- W jednym mi świszczę - odparł Paszka.

- No dobra - powiedziała Anka. - Róbmy coś wreszcie.

- Nie chce mi się łązić po urwiskach - rzekł Anton.

- Mnie także. Chodźmy prosto przed siebie.

- Dokąd? - spytał Paszka.

- Gdzie oczy poniosą.

- No? - rzekł Anton.

- No to do sajwy! Tolek, chodźmy na Zapomnianą Szosę. Pamiętasz?

- Ba!

- Wiesz, Aneczko... - zaczął Paszka.

- Nie jestem żadna Aneczka - parsknęła gniewnie.

Nie znosiła, gdy nazywano ją innym zdrobnieniem niż Anka.

Anton pamiętał o tym dobrze. Wtrącił pospiesznie

- Zapomniana Szosa. Nikt tamtędy nie jeździ. Na mapie też jej nie ma. I absolutnie nie wiadomo, dokąd prowadzi.

- Byliście tam?

- Byliśmy. Ale nie zdążyliśmy jej zbadać.

- Droga znikąd i donikąd - zadeklamował Paszka, który już zdążył opanować zmieszanie.

- Świetnie! - powiedziała Anka. Oczy jej wyglądały jak czarne szpareczki. - Chodźmy.

Do wieczora zajdziemy?

- Coś ty! Przed dwunastą będziemy na miejscu.

Zaczęli się wspinać po skarpie. Na górze Paszka obejrzał się. Zobaczył w dole ciemnoniebieskie jezioro z żółtawymi łysinami mielizn, łódź na piasku i duże kręgi rozchodzące się na połyskliwej wodzie - widocznie to znów ten sam szczupak. Paszka poczuł nieokreślony zachwyty jak zwykle, kiedy uciekali z Talkiem z internatu i mieli przed sobą cały dzień absolutnej swobody, pełen nie zbadanych jeszcze miejsc, poziomek, dzikich gorących łąk, szarych jaszczurek, lodowatej wody z niespodzianie odkrytych źródeł, jak zwykle chciało mu się krzyknąć na cały głos i podskoczyć wysoko, co też natychmiast uczynił, a gdy Anton spojrział na niego z uśmiechem, Paszka zobaczył w jego oczach całkowite zrozumienie. Anka włożyła dwa palce do ust i gwizdnęła zawadiacko, po czym weszli w las.

Las był sosnowy, rzadki, nogi ślizgały się po zeschniętym igliwiu. Promienie słońca padały ukośnie między strzelistymi pniami i na ziemi pełno było złocistych płam. Pachniało żywicą, jeziorem i poziomkami, gdzieś w górze rozlegał się rejwach niewidocznego ptactwa.

Anka szła przodem trzymając kuszę pod pachą i od czasu do czasu schylała się po krwiste, jakby pociągnięte lakierem poziomki. Anton szedł za nią z zacnym instrumentem bojowym marszałka Toca na ramieniu. Kołczan z zacnymi strzałami obtłukiwał mu pośladek. Idąc spoglądał na szyję Anki, opaloną prawie na czarno, z rysującymi się pod skórą kręgami. Czasem odwracała głowę szukając Paszki, ale Paszki nie było widać, tylko chwilami to z prawej, to z lewej błyskała w słońcu jego czerwona przepaska. Anton wyobraził sobie, jak Paszka bezszelestnie 'przemyka się między sosnami z karabinem w pogotowiu, wyciągając przed siebie chudą drapieżną twarz z łuszczącym się nosem. Przekradał się przez tajgę, a sajwa nie zna żartów. Sajwa to przyjaciel, jak zapyta, musisz natychmiast odpowiedzieć - myślał Anton i już się przygiął, ale przed nim szła Anka i mogła to zauważyć. Wyszłoby głupio.

Anka obejrzała się i spytała:

- Wymknęliście się cichaczem? Anton wzruszył ramionami.

- A któż wymyka się głośno?

- Ja chyba narobiłam hałasu - powiedziała zmartwiona. - Upuściłam miednicę i od razu usłyszałam kroki na korytarzu. Pewno Pannica Katia, bo ona dziś miała dyżur. Musiałam wyskoczyć na klomb. Jak myślisz, Tolek, co za kwiaty rosną na tym klombie?

Anton zmarszczył czoło.

- Pod twoim oknem? Nie wiem? Bo co?

- Bardzo odporne kwiaty. "Wiatr ich nie ugnie, nie powali burza". Od kilku lat skaczą na nie i ani trochę im to nie zaszkodziło.

- Ciekawe - powiedział Anton filozoficznie. Przypomniał sobie, że pod jego oknem również jest klomb z kwiatami, których "wiatr nie ugina, nie powala burza". Ale nigdy nie zwracał na to uwagi.

Anka zaczekała na niego i podała mu garść poziomek. Wziął tylko trzy.

Bierz więcej - zachęciła go.

- Dziękuję. Lubię zbierać po jednej. Ale tak w ogóle to Pannica Katia jest fajna, nie?

- Jak dla kogo - odpowiedziała Anka. - Gdy cię co wieczór ktoś piłuje, że masz nogi zabłocone albo zakurzone...

Umilkła. Niesłychanie przyjemnie było tak iść z nią we dwójkę przez las, ramię przy ramieniu, stykając się łokciami patrzeć jaka jest śliczna, zgrabna, niezwykle miła

Jakie ma duże oczy, szare z czarnymi rzęsami.

- Tak - odezwał się Anton wyciągając rękę po błyszczącą w słońcu pajęczynę. - Ona z pewnością nie miewa zabłoconych nóg. Jak cię ktoś będzie prznosił na rękach przez kałużę, to wiadomo, że się nie zabrudzisz.

- A kto ją prznosi?

- Henryk ze stacji meteorologicznej. Wiesz, taki mocny chłop z włosami jak len.

- Naprawdę?

- Co w tym nadzwyczajnego? Każde dziecko wie, że oni się kochają.

Znów umilkli. Anton zerknął na Ankę - oczy miała jak czarne szpareczki.

- Kiedy to było? - spytała.

- Ano było, pewnej księżycowej nocy - odpowiedział niechętnie. - Tylko proszę cię, żebyś tego nie rozpaplała

Anka uśmiechnęła się:

- Przecież nikt cię, Toleczku, nie ciągnął za język. Chcesz poziomek?

Anton zgarnął odruchowo jagody z ubrudzonej rączki i wrzucił je do ust. Nie lubię, jak ktoś pytluje ozorem, pomyślał. Nie znoszę plotek, I nagle znalazł argument

- Może ciebie też ktoś będzie nosił na rękach. Byłoby ci przyjemnie, gdyby zaczęto o tym gadać?

- Skąd wiesz, że mam zamiar cokolwiek mówić? Ja w ogóle nie cierpię plotkarzy.
- Słuchaj no, coś ty wykombinowała?
- Nic szczególnego. - Anka wzruszyła ramionami A po chwili dodała poufnym tonem:
- Żebyś wiedział, jak mi okropnie dokuczyło to mycie nóg każdego wieczora po dwa razy.

Biedna Pannica Katia - pomyślał Anton.

Wyszli na ścieżkę. Wiodła w dół, las stawał się coraz bardziej mroczny. Rosły tu bujne paprocie i wysoka wilgotna trawa. Pnie sosen pokrywał mech i biała pianę porostów. Ale sajwa nie zna żartów. Ochrypiły głos, w którym nie było nic ludzkiego, ryknął znienacka:

- Stój! Rzuć broń - ty, szlachetny panie i ty, pani! Gdy sajwa zapyta, musisz zdążyć z odpowiedzią. Anton błyskawicznym ruchem zmiotł Ankę w paprocie po lewej stronie ścieżki, sam skoczył w paprocie po prawej, poturlał się i przyczał za zbutwiałym pniem. Schrypięte echo odbijało się jeszcze w pniach sosen, a ścieżka była już pusta. Cisza.

Anton przewrócił się na bok i kręcił kółkiem napinając cięciwę. Wtem huknął strzał, na Antona posypały się jakieś śmieci. Ochrypiły nieludzki głos oznajmił:

- Szlachetny pan trafiony w piętę! Anton jęknął i skurczył nogę.
- Nie w tę, w prawą - skorygował głos.

Słysząc było, jak Paszka chichocze, Anton ostrożnie wyjrzał zza pnia, lecz nie mógł nic dostrzec w mrocznej, zielonej plataninie.

Nagle rozległ się przenikliwy świst i hałas, jakby waliło się drzewo.

- Auu! - zawył Paszka zduszonym głosem. - Litości! Litości! Nie zabijajcie mnie!

Anton zerwał się na równe nogi. Z paproci po drugiej stronie wylazł ociągając się Paszka. Ręce miał podniesione. Anka zapytała.

- Widzisz go, Tolek?

- Jak na dłoni - odpowiedział Anton. - Nie oglądać się - krzyknął na Paskę. - Ręce na kark!

Paszka pokornie założył ręce na kark i oświadczył:

- Nic ze mnie nie wyciągniecie.

- Co powinniśmy z nim zrobić, Tolku? - spytała Anka.

- Zaraz zobaczysz - Anton rozsiadł się wygodnie na pniu, położywszy na kolanach kuszę.

- Imię! - warknął głosem Heksy Irukańskiego.

Plecy Paszki wyraziły pogardę i niesubordynację. Anton zmierzył się. Ciężka strzała wbiła się z trzaskiem w gałąź nad głową jeńca.

Ho-ho! - rozległ się głos Anki.

- Nazywam się Bon Szarańcza - niechętnie przyznał się Paszka. - „I tu on zapewne legnie - jeden z tych, co byli z nim”.

- Słynny ciemiężca i zbrodzień - wyjaśnił Anton. - On jednak nigdy nie robi nic za darmo. Kto cię nasłał?

- Wysłał mnie don Satarina Nieubłagany - zełgał Paszka.

Anton rzekł pogardliwie:

- Dwa lata temu na Uroczysku Ciężkich Mieczów ta oto ręka przerwała nić smrodliwego żywota don Satariny.

- Wsadzić mu strzałę? - spytała znów Anka.

- Na śmierć zapomniałem - rzekł pośpiesznie Paszka - W rzeczywistości posłał mnie Arata Piękny. Obiecał mi sto dukatów za wasze głowy.

Anton klepnął się po kolanach.

- A to łgarz! - zawołał. - Arata miałby się zadawać z takim łajdakiem jak ty!

- Może jednak wsadzić mu strzałę? - powiedziała Anka krwiożerczym tonem.

Anton zaśmiał się demonicznie.

- Dla ścisłości chciałbym ci przypomnieć - odezwał się Paszka - że masz odstrzeloną prawą piętę. Najwyższy czas spłynąć krwią.

- Guzik! - odparł Anton. - Po pierwsze - żuję przed cały czas korę białego drzewa, a po drugie - dwie prześliczne dzikuski już mi opatrzyły rany.

Zaszeleściły paprocie i Anka wyszła na ścieżkę. Policzek miała zadraśnięty, kolana umazane błotem i zielenią.

- Rzućmy go w grzędzawisko - powiedziała. - Jeżeli wróg nie chce się poddać, to się go uśmierca.

Paszka opuścił ręce.

- A w ogóle to nie przestrzegasz reguł gry - rzekł do Antona. - Twój Heksa przez cały czas wygląda na przyzwoitego faceta.

- Dużo tam wiesz! - Anton również wyszedł na ścieżkę. - Sajwa nie żartuje, brudny najemniku.

Anka oddała Paszce karabin.

- Zawsze tak kropicie do siebie? - spytała z zazdrością.

- A jak! - zdziwił się Paszka. - Może mamy pohukiwać: "Kysz. kysz! Hu, hu!" W każdej grze musi być element ryzyka

Anton rzucił niedbale:

- Na przykład często bawimy się w Wilhelma Telia.

- Na zmianę - podchwycił Paszka. - Jednego dnia stoję z jabłkiem, a drugiego on.

Anka zmierzyła ich wzrokiem.

- Ach tak? - rzekła powoli. - Ciekawe, chciałabym to zobaczyć.

- Z przyjemnością - odpowiedział perfidnie Anton. Ale nie mamy jabłka.

Paszka uśmiechnął się od ucha do ucha. Anka zerwała mu z głowy piracką przepaskę i zręcznie złożyła ją w długi stożek.

- Jabłko to rzecz umowna. Z tego będzie doskonała tarcza. Zabawimy się w Wilhelma Tella.

Anton wziął z jej rąk czerwony stożek, obejrzał go uważnie. Zerknął na Ankę - oczy miała jak czarne szpareczki. A Paszka bawił się, było mu szalenie wesoło. Anton podał mu stożek.

- Z trzydziestu kroków nie spuśćuję do karty - oświadczył spokojnie. - Rozumie się, ze znanych mi pistoletów.

- Doprawdy? - powiedziała Anka, po czym zwróciła się do Paszki: - A ty, mój przyjacielu, trafisz do karty z trzydziestu kroków?

Paszka ustawiał stożek na głowie.

- Spróbujemy któregoś dnia - odrzekł szczerząc zęby. - Kiedyś strzelałem nie najgorzej.

Anton odwrócił się i ruszył ścieżką licząc na głos kroki:

- Piętnaście... szesnaście... siedemnaście...

Paszka powiedział coś, czego Anton nie dosłyszał, na co Anka głośno się roześmiała. Trochę za głośno.

- Trzydzieści - rzekł Anton i odwrócił się twarzą do nich.

Z odległości trzydziestu kroków Paszka wydawał się malutki. Czerwony stożek na jego głowie sterczał niby czapka błazeńska. Uśmiechał się. Wciąż jeszcze się bawił. Anton schylił się i zaczął powoli napinać cięciwę.

- Błogosławię cię, ojczy mój. Wilhelmie! - zawołał Paszka. - I dziękuję za wszystko, cokolwiek się stanie.

Anton założył strzałę i wyprostował się. Tamci dwoje patrzyli na niego. Stali obok siebie. Ścieżka wyglądała jak ciemny, wilgotny korytarz między wysokimi zielonymi ścianami. Anton podniósł kuszę. Instrument bojowy marszałka Toca stał się nad wyraz ciężki. Ręce mi drżą, pomyślał. To źle. Niepotrzebnie. Przypomniawszy sobie, jak kiedyś w zimie obaj z Paszką przez okrągłą godzinę rzucali śnieżkami w żelazną gałkę na słupku ogrodzenia. Rzucali z dwudziestu kroków, z piętnastu, z dziesięciu i za nic nie mogli trafić. A potem, gdy się już znudzili i zamierzali odejść, Paszka od niechcenia, nie patrząc, cisnął ostatnią śnieżką i trafił. Anton z całej siły przycisnął kolbę do ramienia. Anka stoi trochę za blisko. Chciał zawołać, żeby się odsunęła, ale w porę zorientował się, że wypadłoby to głupio. Wyżej. Jeszcze wyżej... Jeszcze... Nagle ogarnęła go pewność, że gdyby nawet odwrócił się do nich tyłem, funtowa strzała i tak wbije się w czoło Paszki, między wesołymi zielonymi oczami. Otworzył oczy i spojrzał na niego. Paszka już się nie uśmiechał. A Anka powolutku wznosiła dłoń z rozwartymi palcami, twarz miała napiętą i bardzo poważną. Wówczas Anton podniósł kuszę jeszcze wyżej i nacisnął spust. Nie widział, dokąd pomknęła strzała.

Ruszył ścieżką stąpając na sztywnych nogach. Paszka otarł twarz czerwonym stożkiem, rozwinął go, strzepnął i zaczął obwiązywać głowę. Anka schyliła się i podniosła swoją kuszę. Jeżeli teraz trzaśnie mnie tą zabawką w łeb, to jej podziękuję. Nie zaszczyciła go jednak nawet spojrzeniem.

Odwróciła się do Paszki i spytała.

- Idziemy?

- Zaraz - odpowiedział.

Popatrzył na Antona i w milczeniu puknął się kilka razy palcem w czoło.

- A ty już byłeś w strachu - powiedział Anton. Paszka jeszcze raz puknął się w czoło i poszedł za Anką. Anton włókł się za nimi starając się stłumić w sobie wątpliwości.

Cóż ja w końcu takiego zrobiłem, myślał apatycznie. Czemu się naburmuszyli? No dobrze, powiedzmy, że Paszka się przestraszył. Tylko że nie wiadomo, kto miał większego pietra - Wilhelm-tata czy Tell-syn. Ale czego dąsa się Anka? Na pewno bała się o Paszkę. A co ja miałem zrobić? Pętam się za nimi jak ubogi krewny. Pójdę sobie. Skręcę tu zaraz na lewo, tam są fajne moczary. Może uda mi się złapać sowę. Ale nawet nie zwolnił kroku. A więc to koniec,

myślał. Czytał, że bardzo często tak bywa.

Wyszli na zapuszczoną drogę wcześniej, niż się spodziewali. Słońce stało wysoko, było bardzo gorąco. Za kołnierzem kłuły sosnowe szpilki. Droga była wyłożona dwoma rzędami szaro rudych potrzaskanych płyt. W szczelinach między płytami rosła gęsta, sucha trawa, a na poboczach kępy zakurzonych łopianów. Nad drogą przelatywały bucząc złotówce, jeden arogancko stuknął Antona w czoło. Było cicho i melancholijnie.

- Patrzcie! - wykrzyknął Paszka.

Na zardzewiałym drucie, przeciągniętym w poprzek drogi, wisiała okrągła blaszana tarcza, powleczone łuszczącą się farbą. Można się było domyślić, że kiedyś był tam żółty prostokąt na czerwonym tle.

- Co to? - spytała Anka bez specjalnego zainteresowania.

Znak drogowy - odpowiedział Paszka. - „Zakaz wjazdu”.

- "Cegła" - wyjaśnił Anton.

- Dlaczego cegła?

- To znaczy, że tędy jechać nie wolno - powiedział Paszka.

- Po cóż więc ta droga? - Paszka wzruszył ramionami.

- Przecież to bardzo stara szosa.

- Anizotropowa szosa - dodał Anton. Anka stała odwrócona do niego plecami. - Jednokierunkowa.

- Mądrzy byli nasi przodkowie - rzekł zamyślony Paszka. - Jedziesz sobie, jedziesz ze dwieście kilometrów i nagle - stop! - "cegła", i jechać dalej nie wolno, i spytać nie ma kogo.

- Ciekawe, co też może być za tym znakiem? - Anka rozejrzała się. Dookoła rozciągał się na wiele kilometrów bezludny las i nie było nikogo, kto na to pytanie mógłby odpowiedzieć. - A jeśli to wcale nie "cegła"? Farba już całkiem oblazła...

Anton przymierzył się dokładnie i wystrzelił. Byłoby wspaniale, gdyby strzała przecięła drut i znak upadł wprost pod nogi Anki. Trafiła jednak w górną część, przebiła zardzewiałą blachę i na ziemię posypała się tylko zeschnięta farba.

- Głupi - rzuciła Anka nie odwracając się.

Było to pierwsze słowo z jej ust, skierowane do Antona po zabawie w Wilhelma Tella. Uśmiechnął się

- "And enterprises of great pitch and moment" - wyrecytował - with this regard their

current turn away and loose the name of action"

Niezawodny Paszka wykrzyknął

- Patrzcie, tędy przejechał samochód! Już po burzy. O, tam jest zgnieciona trawa! I tu...

Ma chłopak swój dobry dzień, pomyślał Anton. Zaczął się przypatrywać śladom na drodze i również spostrzegł zgniecioną trawę i czarny pas wyżłobiony protektorami w miejscu, w którym samochód zahamował przed wybojem na szosie.

- Aha! - rzekł - Paszka. - On się wycofał spod znaku.

Było to jasne nawet dla dziecka, Anton jednak zaprotestował:

- Nic podobnego, on jechał z przeciwnej strony. Paszka podniósł na niego zdumione oczy.

- Czyś ty oślepl?

- Jechał z tamtej strony - powtórzył uparcie Anton. - Chodźmy po śladach.

- Głupstwa gadasz! - zirytował się Paszka. - Przede wszystkim żaden przyzwoity kierowca nie pojedzie wbrew zakazowi. A po drugie, patrz: tu jest dziura, a tu ślad hamowania... Więc skąd jechał?

- W nosie mam twoich przyzwoitych kierowców! Ja jestem nieprzyzwoity i pójdę pomimo zakazu.

Paszka wściekł się do reszty.

- A idź, dokąd chcesz! - powiedział jękając się z lekka. - Półgłówek. Mózg zagotował mu się z gorąca!

Anton odwrócił się i patrząc wprost przed siebie minął znak drogowy. Marzył tylko o jednym: żeby gdzieś niedaleko objawił się wysadzony most i żeby trzeba było przedrzeć się na drugą stronę. Dużo mniej obchodzi ten przyzwoity! - myślał. - Niech sobie idą, gdzie chcą, razem... ze swoim Paszeńką. Przypomniawszy sobie, jak Anka ścięła Paszkę, gdy nazwał ją Aneczką i zrobiło mu się trochę lżej na sercu. Obejrzał się.

Najpierw zobaczył Paszkę: Bon Szarańcza zgięty w pasie w pałąk sunął śladem tajemniczego samochodu. Zardzewiała tarcza nad drogą kołysała się leciutko, w przestrzelenym otworze błyskało ciemnobłękitne niebo. A na poboczu siedziała Anka wsparłszy łokcie na gołych kolanach i brodę na dłoniach.

Powracali już o zmroku. Chłopcy wiosłowali, Anka była przy sterze. Nad czarnym lasem wschodził czerwony księżyc, żaby rechotały jak szalone.

- Wszystko było tak fajnie obmyślane - westchnęła smutno Anka. - Ee, z wami tak

zawsze!...

Chłopcy nie odpowiedzieli Po chwili Paszka zapytał półgłosem :

- Tolek, co tam było za znakiem?

- Wysadzony most - odpowiedział Anton. - I szkielet faszysty przykuty łańcuchami do karabinu maszynowego. -Zamyślił się i dodał: - Karabin cały wrósł w ziemię...

- No tak... - mruknął Paszka. - Bywa. A ja tam pomogłem jednemu facetowi naprawić samochód.

ROZDZIAŁ I

Gdy don Rumata minął mogiłę świętego Miki - siódmą z kolei i ostatnią na tej drodze - było już zupełnie ciemno. Zachwalany ogier chamacharski, którego przyjął od Tamea w długu karcianym, okazał się diabła wart. Spocił się, poobcierał nogi i biegł obrzydliwym chwiejnym truchtem. Rumata bódł go kolanami, chłostał rękawicą między uszy, lecz koń tylko smętnie potrząsał łbem, nie przyspieszając kroku. Wzdłuż drogi ciągnęły się zarośla Podobne w mroku do kłębów zastygłego dymu. Nieznośnie brzęczały komary. Na mglistym niebie migotały tu i ówdzie blade gwiazdy. Chwilami dał słaby wiatr, ciepły ' równocześnie chłodny, jak zwykle jesienią w tym nadmorskim kraju, w którym dni są duszne i pełne kurzu, a wieczory zimne.

Rumata owinął się szczelnie płaszczem i puścił wolno cugle. Spieszyć się nie było sensu. Do północy pozostała godzina, a Czkający Las rysował się już ząbkowaną linią na horyzoncie. Z obu stron drogi ciągnęły się zorane pola, połyskiwały w świetle gwiazd oparzeliska cuchnące zgniłą stęchlizną, ciemniały kopce i zbutwiałe częstokoły z czasów inwazji. Na lewo zapalała się i gasła daleka, posepna tuna. Widocznie gdzieś płonęła wioska, jedna z tych niezliczonych jednostajnych Padlinek. Mordownik, Ograbiłówek, przemianowanych niedawno w myśl sierpniowego zarządzenia na Miłowanie, Rajskie Siola i Aniołów. Na przestrzeni setek mil - od brzegów Cieśniny aż po saję Czkającego Lasu rozpościerał się ten kraj, przywalony niby pierzyną chmurami komarów, rozdarty wąwozami, zatapiany bagnami, nekany malarią, morem i smrodliwym katarem.

Na zakręcie drogi oderwała się od zarośli ciemna postać. Ogier szarpnął się zadzierając głowę. Rumata chwycił cugle, odruchowo podciągnął koronkowy mankiet na prawej ręce i oparł dłoń na rękojeści miecza, wpatrując się w mrok. Człowiek na drodze zdjął kapelusz.

- Dobry wieczór, szlachetny panie - wymówił cicho. - Proszę o wybaczenie.

- O co chodzi? - zapytał Rumata wyteżając słuch. Niema zasadzek, których nie zdradziłby jakiś szelest. Rozbójników wydaje skrzyp cięciwy, szarych szturmowców męczą nieustanne wymioty po ohydnych piwie, drużynnicy baronów sapią pożądliwie i szczękają żelazem, a mnisi polujący na niewolników - czochrają się hałaśliwie. Tymczasem w zaroślach panowała absolutna cisza. A więc ten człowiek nie był zapewne naganiaczem. Zresztą nie wyglądał na to - mały, krępy mieszczanin w skromnym płaszczu.

- Pozwolisz mi, panie, biec obok siebie? - spytał z ukłonem.

- Proszę - odpowiedział Rumata potrząsając cuglami. - Możesz się uchwycić strzemienia.

Mężczyzna ruszył naprzód. Trzymał kapelusz w ręku, na czubku głowy świeciła pokaźna łyšina. Komisant, pomyślał Rumata. Chodzi po baronach i hurtownikach, skupuje len albo konopie. Odważny, trzeba przyznać... A może to nie komisant. Może uczony. Zbieg. Wyzwolony chłop. Teraz pełno ich w nocy na drogach, więcej niż komisantów Albo równie dobrze szpieg.

- Kim jesteś i skąd Idziesz? - zapytał.

- Nazywam się Kiun - odpowiedział smutno mężczyzna. - Idę z Arkanaru.

- "Uciekasz z Arkanaru - rzekł Rumata pochylając się nad nim.

- Uciekam - przyznał ze smutkiem.

- Dziwak jakiś - myślał Rumata. - Lub wbrew pozorom szpieg. Trzeba sprawdzić... A właściwie, dlaczego? Komu to potrzebne? Kimże ja jestem, aby go sprawdzać? Po co? Czemu nie miałbym mu po prostu uwierzyć? Idzie oto człowiek, niewątpliwie uczony, ucieka z miasta ratując swoją głowę... Jest samotny, słaby, boi się, szuka obrony... Spotyka arystokratę. Arystokraci z powodu głupoty i pychy nie znają się na polityce, za to mają długie miecze i co ważniejsze, nie lubią szarych. Czemu więc mieszczanin Kiun nie miałby szukać bezinteresownej obrony u głupiego i pysznego arystokraty? Nie, nie będę go sprawdzał. Nie widzę powodu. Pogadamy, czas szybciej zleci i rozstaniemy się jak przyjaciele..,

- Kiun... - powtórzył. - Znałem jednego Kiuna. Sprzedawcę driakwi i alchemika z ulicy Blaszaney. Jesteś jego krewnym?

Niestety tak. Dalekim wprawdzie, ale to dla nich obojętne... od dwunastego pokolenia.

- I dokąd uciekasz, Kiun?

- Dokądkolwiek... Byle dalej. Dużo osób ucieka do Irukanu. Spróbuję i ja.

- Tak, tak - mruknął Rumata. - I wyobraziłeś sobie, że szlachetnie urodzony pan przeprowadzi cię przez roгатkę?

Kiun nic nie odpowiedział.

- A jeśli ów szlachetny pan ubóstwia do szaleństwa don Rebę? Jeśli jest całym sercem oddany szaremu słowu i szarej sprawie? A może sądzisz, że to niemożliwe?

Kiun milczał. Z ciemności po prawej stronie drogi wychynał łamany cień szubienicy. Pod górną belką białło nagie ciało, powieszona za nogi. Ee, pomyślał Rumata, to wszystko nie ma sensu. Ściągnął cugle, chwycił Kiuna za ramię i odwrócił twarzą do siebie.

- A jeśli szlachetny pan powiesi cię tu za chwilę obok tego włóczęgi? - powiedział wpatrując się w białą jak Kreda twarz z ciemnymi jamami oczu. - Własnoręcznie.

Szybko i sprawnie. Na mocnym arkanarskim powrozie W imię ideałów. Czemu nic nie mówisz, uczony Kiunie? Kiun milczał. Zęby mu dzwoniły, wił się niemrawo pod ręką Rumaty niczym przydeptana jaszczurka. Wtem coś z pluskiem wpadło do przydrożnego rowu i równocześnie Kiun, jakby pragnąc zagłuszyć ten plusk, krzyknął desperacko:

- No, wieszaj! Wieszaj, zdrajco Rumata odetchnął głęboko i puścił go.
- Żartowałem - powiedział. - Nie bój się.
- Fałsz, fałsz!... - mamrotał Kiun na wpół ze szlochem. - Wszędzie fałsz!...
- No już dobrze, nie gniewaj się. Podnieś lepiej, co tam rzuciłeś, bo się zamoczy...

Kiun stał jeszcze chwilę chwiejąc się i szlochając, potem od ruchu ów b poklepał się dłońmi po płaszczu i zszedł do rowu. Rumata czekał zgarbiony w siodle. A więc tak właśnie trzeba, myślał ze znużeniem, więc inaczej po prostu nie można... Kiun wylazł z rowu chowając w zanadrze paczkę.

- Książki zapewne - rzekł Rumata. Kiun potrząsnął głową.
- Nie - odparł schrypniętym głosem. - Tylko jedna książka. Moja książka.
- O czymże ty piszesz?
- Obawiam się, że was to nie zaciekawi, szlachetny panie.

Rumata westchnął.

- Trzymaj się strzemienia. Ruszamy. Długi czas oboje milczeli.
- Posłuchaj, Kiun - odezwał się wreszcie Rumata. - Ja naprawdę żartowałem. Nie bój się.
- Wspaniały świat - mruknął Kiun. - Wesoły. Wszyscy żartują, i wszyscy na jedną modłę.

Nawet szlachetny don Rumata.

Rumata zdziwił się.

- Znasz mnie?

- Znam. Poznałem was, panie, po obręczy na czole. Tak się ucieszyłem ujrzawszy was na drodze...

No tak, teraz wiem, co miał na myśli nazywając mnie zdrajcą, stwierdził w duchu Rumata. A głośno powiedział'

- Widzisz, wziąłem cię początkowo za szpiega. Zawsze zabijam szpiegów.

- Szpieg... - powtórzył Kiun. - Tale, oczywiście. W dzisiejszych czasach zawód szpiega jest łatwy i intratny. Nasz orzeł, szlachetny don Reba, pragnie nade wszystko poznać, co myślą i mówią poddani króla. Chciałbym być szpiegiem. Zwykłym informatorem w tawernie "Szara

Radość". Jakież to piękne, godne szacunku! O szóstej wieczorem wchodzę do piwiarni i siadam przy swoim stoliku. Właściciel w podskokach niesie mi pierwszy kufel. Mogę pić, ile wlezie, za piwo płaci don Reba, a raczej nikt nie płaci. Siedzę, popijam i słucham. Od czasu do czasu udaję, że notuję rozmowy, a przestraszony ludek bieży ku mnie, oferując mi przyjaźń i sakiewkę. W ich oczach dostrzegam tylko to, co chcę - psie oddanie, pełen szacunku strach i zachwycającą bezsilną nienawiść. Mogę bezkarnie obmacywać dziewczęta i ścisnąć żony na oczach ich mężów, chłopów jak dęby, a oni będą tylko służalczo chichotać... Cóż za wspaniała filozofia, prawda? Usłyszałem to z ust piętnastoletniego chłopaka, studenta Szkoły Patriotycznej...

- I coś mu na to powiedział? - spytał z ciekawością Rumata.

- A cóż mogłem powiedzieć? I tak nic by nie zrozumiał. Wspomniałem tylko, że ludzie Wagi Koła pochwyciwszy informatora rozpruwają mu brzuch i sypią pierze do wnętrzości... A pijani żołnierze pakują go do worka i topią w wychodku. Jest to święta prawda, ale on mi nie uwierzył. Odparł, że nie uczyli się o tym w szkole. Wyjąłem wówczas papier i zapisałem naszą rozmowę. Było mi to potrzebne do mojej książki, a ten biedaczysko sądził, że piszę donos i zsiusia) się ze strachu...

Niedaleko przed nimi zamigotały między krzewami światełka karczmy Szkieleta Bako. Kiun potknął się i umilkł.

- Co się stało? - spytał Rumata.

- Tam jest szary patrol - wymamrotał Kiun.

- Więc cóż z tego? Wysłuchaj lepiej jeszcze jednego Szumowania, czcigodny Kiunie. Lubimy i cenimy tych Prostych, nieokrzęsanych chłopców, nasze szare bojowe bydło. Są nam potrzebni. Odtąd człowiek prostego stanu Powinien trzymać język za zębami, jeśli nie chce wywalić go na szubienicy - Rumata roześmiał się, gdyż zabrzmiało to świetnie - zgodnie z najlepszymi tradycjami szarych koszar.

Kiun skulił się i wciągnął głowę w ramiona.

-Język prostaka powinien wiedzieć, do czego jest przeznaczony. Bóg dał go prostakowi bynajmniej nie po to, aby nim obracał, lecz aby lizał buty swego pana, do którego przynależy od wieków...

U konowiażu przed karczmą przestępowały z nogi na nogę osiodłane konie szarego patrolu. Przez otwarte okno dolatywały ochryple siarczyste przekleństwa. Grzechotały kości do gry. W drzwiach, zagrządzając przejście potwornym brzuszyskiem, stał Szkielet Bako w podartej

skórzanej kurtce z zakasnymi rękawami. We włochatej łapie trzymał jeszcze toporek, widać przed chwilą rąbał psie mięso na polewkę, zziął się i wyszedł zaczerpnąć tchu. Na stopniach siedział z markotną miną szary bojówkarz ściskając topór między kolanami. Drzewce topora przekrzywiło mu gębę na bok. Najwyraźniej mdliło go z przepicia. Zauważywszy jeźdźca zebrał się w sobie i wrzasnął ochryplym głosem:

-S-stój! Jak cię tam zwa... Ty szlachetnie rodzony!... Rumata zadarł brodę i przejechał obok nawet nie rzuciwszy nań okiem.

-...A jeśli język prostaka liże niewłaściwy but - ciągnął dalej głośno - to język ten należy wyrwać ze szczętem, albowiem powiedziane jest: "Język twój - wróg mój"...

Kiun chowając się za kłębem końskim szedł wielkimi krokami. Rumata widział kątem oka jego lśniącą od potu łysinę.

-Stój, powiadam! - ryknął szturmowiec. Słysząc było, jak łomocze toporem zbiegając po stopniach i złorzeczy jednym tchem Bogu, diabłu i wszelakiej szlachetnie urodzonej hołocie.

Będzie chyba z pięciu, myślał Rumata podciągając mankiety. Pijani rzeźnicy. Głupstwo. Minęli karczmę i skręcili w las.

- Mógłbym iść szybciej, jeśli trzeba - powiedział Kiun nienaturalnie pewnym głosem.

-Głupstwo! - Rumata osadził ogiera. - Nudno byłoby przejechać tyle mil i ani razu się nie bić. Czy ty nigdy nie masz chętki wziąć się z kimś za łby, Kiun? Wciąż tylko rozmowy, rozmowy...

-Nie - odparł Kiun. - Nigdy nie mam na to ochoty. - W tym całe nieszczęście - mruknął Rumata zawracając konia i powoli wciągając rękawiczki.

Zza zakrętu wypadli dwaj jeźdźcy i ujrawszy go zatrzymali się jak na komendę.

- Hej, ty szlachetnie urodzony! - zawołał jeden. -Pokaż no list podróżny!

- Chamy! - wymówił Rumata głosem dźwięcznym jak szkło. - Na cóż wam list podróżny, skoro nie umiecie czytać?

Ścisnął ogiera kolanami i ruszył klusem w stronę szturmowców. Tchórz ich oblatuje, pomyślał. Łamię się... No, choć ze dwa razy w pyski Nie... Nic z tego. A tak by się chciało wyładować nienawiść nagromadzoną w ciągu dnia i pewnie nic z tego nie wyjdzie. Pozostaniemy humanitarni, wszystkim przebaczymy i będziemy spokojni jak bogowie. Bogowie się nie spieszą, mają przed sobą całą wieczność...

Podjechał blisko. Szturmowcy niepewnie podnieśli topory i cofnęli się.

- N-no? - powiedział Rumata.

- Co to, jak to? - stropił się pierwszy szurmowiec. - Więc to szlachetny don Rumata?

Drugi natychmiast zawrócił konia i umknął galopem. Pierwszy ciągle się cofał opuściwszy topór.

- Wybacz nam, szlachetny panie - zaczął tłumaczyć skwapliwie. - Coś nam się pokręciło. Mała pomyłka. W służbie państwowej pomyłki są zawsze możliwe. Chłopaki troszkę popili, rwą się do czynu.. - Zaczął odjeżdżać bokiem. - Sami rozumiecie, szlachetny panie, czasy są -Ciężkie... Chwytny zbiegłych uczonych. Nie chcielibyśmy narazić się na gniew szlachetnego pana...

Rumata odwrócił się do niego plecami.

-Szczęśliwej drogi, szlachetny panie! - powiedział z ulgą bojówkarz.

Gdy odjechał, Rumata zawołał półgłosem:

-Kiun! - Nie było odpowiedzi.- Hej, Kiun!

Znów cisza. Rumata, wyciągając słuch, rozróżnił wśród brzęczenia komarów szelest w zaroślach. Kiun pospiesznie zmierzał przez pole na zachód w kierunku oddalonej o dwadzieścia mil granicy irukańskiej. No i koniec, myślał Rumata. Już po całej rozmowie. Zawsze ta sama historia Wzajemne sprawdzanie się, ostrożna wymiana dwuznacznych przypowieści... Całymi tygodniami tracisz siły psychiczne na trywialne gadanie z różną hołotą, nie ma czasu na rozmowę. Trzeba go ochronić, ocalić, wyprawić w bezpieczne miejsce, po czym odchodzi nie wiedząc, czy miał do czynienia z przyjacielem, czy z kapryśnym wyrokiem. Ty sam zresztą też nic się o nim nie dowiedziałeś, czego pragnie, na co go stać, po co żyje.

Wspominał Arkanar w godzinach wieczornych. Solidne murowane domy na głównych ulicach, przyjazne światło latarenki nad wejściem do tawerny, dobrodusznym spasiem sklepikarzem pijący piwo przy czystych stołach i rozprawiający o tym, że świat wcale nie jest taki zły, ceny na zboże spadają, ceny na zbroje rosną, spiski wykrywa się w porę, czarowników i podejrzanych uczonych wbija się na pal, król zgodnie z tradycją jest wielki i nietykalny, zaś don Reba bezgranicznie mądry i zawsze czujny. "Czego to nie wymyślą!... Świat okrągły! Dla mnie może być nawet kwadratowy, byle we łbach nie mać!..." - "Wszystko przez tę naukę, bracia, przez naukę... Nie w pieniądzech szczęście, powiadają, chłop też człowiek, no i coraz dalej, coraz gorzej, obelżywe wierszyki i wreszcie bunt!..." - "Na pal ich wszystkich, bracia!... Wiecie, co ja bym zrobił? Pytałbym wręcz: umiesz czytać i pisać? Na pal z tobą! Układasz wierszyki? Na pal!

Tabliczkę znasz? Na pał, trochę za dużo umiesz!" - "Chałka, maślana bułeczka, jeszcze trzy kufelki i porcja duszonego królika!" - A po bruku - rrum, rrum, rrum - wałą podkute buciory krępych czerwonogębych osiłeków w szarych koszulach, z toporami na prawym ramieniu. "Bracia, oto nasi obrońcy! Alboż oni dopuszczają? Nigdy w życiu! Tam idzie mój, zaraz, gdzie... Na prawym skrzydle! Jeszcze wczoraj brał ode mnie cięgi! Tak, bracia, to nie są niespokojne czasy Trwałość tronu, dobrobyt, nienaruszony spokój i sprawiedliwość. Wiwat szare roty! Wiwat don Reba! Chwała naszemu królowi! Ach, bracia, jakie cudowne zaczęło się życie!"

A na ciemnej równinie królestwa arkanarskiego, rozjaśnianej łunami pożarów i iskrami łuczyw, na drogach i ścieżkach, pokąsani przez komary, z poranionymi do krwi nogami, okryci kurzem i potem, wyczerpani, strwożeni, przybici rozpaczą, lecz twardzi jak stal w swych niezmiennych przekonaniach, biegną, idą, wloką się omijając rogatki setki nieszczęśników wyjętych spod prawa za to, że umieją i chcą leczyć i uczyć swój wyniszczony chorobami i grzęznący w ciemnocie naród. Za to, że na podobieństwo bogów tworzą z gliny i kamienia drugą naturę dla upiększenia życia nie znającego piękna narodu. Za to, że przenikają tajemnice natury pragnąc oddać je w służbę swemu narodowi, ciemnemu, zastraszonemu średniowiecznymi zabobonami... Bezbronni, dobrzy, niepraktyczni, daleko wyprzedzający swoją epokę...

Rumata ściągnął rękawicę i smagnął nią ogiera między uszy.

- Ruszaj się, truposzu! - rzekł po rosyjsku.

Była już północ, kiedy wjechał w las.

Nikt dziś dokładnie nie wie, skąd się wzięła ta dziwaczna nazwa - Czkający Las. Istniała wprawdzie oficjalna wersja legendy, że trzysta lat temu żelazne rotę cesarskiego marszałka Toca, w przyszłości pierwszego króla Arkanaru, przedierały się przez sajkę ścigając cofające się hordy miedzianoskórych barbarzyńców, a żołnierze na postojach warzyli piwo z kory białych drzew, wywołujące niepohamowaną czkawkę. Według tejże legendy marszałek Tok, obchodząc któregoś ranka obóz, wyrzekł marszcząc arystokratyczny nos następujące słowa: "Doprawdy to nie do zniesienia! Cały las czka i śmierdzi piwskim!" Stąd rzekomo wywodzi się ta dziwaczna nazwa.

Tak czy siak, nie był to całkiem zwyczajny las. Rosły w nim olbrzymie drzewa o twardych białych pniach, jakie nie zachowały się nigdzie w Imperium - ani w księstwie

Arkanaru, ani tym bardziej w handlowej republice. Soan, która już dawno wytrzebiła wszystkie swoje lasy na budowę okrętów. Opowiadano, że takich lasów jest dużo za Czerwonym

Północnym łańcuchem gór, w kraju barbarzyńców, ale czegoż o tym kraju się nie mówi...

Przez las biegła droga wyrąbana ze dwieście lat temu. Prowadziła do kopalni srebra i zgodnie z prawem lenna należała do baronów Pampa, potomków jednego ze współ-bojowników marszałka Toca. Prawo lenna baronów Pampa kosztowało królów arkanarskich dwanaście pudów czystego srebra rocznie, toteż każdy król po wstąpieniu na tron gromadził wojska i wyruszał na podbój zamku Bau, w którym gnieździli się baronowie. Mury zamku były mocne, baronowie odważni, każda wyprawa pochłaniała trzydzieści pudów srebra, a po powrocie rozbitej armii królowie arkanarscy znów potwierdzali prawo lenna baronów Pampa łącznie z innymi przywilejami, jak to - dłubanie w nosie przy stole królewskim, polowanie na zachód od Arkanaru i zwracanie się do książąt po imieniu bez dodatku tytułów i godności.

Czkający Las był pełen mrocznych tajemnic. Dniem ciągnęły drogą na południe tabory ze wzbogaconą rudą, w nocy zaś droga była pusta, gdyż niewielu śmiazków odważało się chodzić tamtędy przy świetle gwiazd. Opowiadano, że po nocach na Ojcu-Drzewie krzyczy ptak Siju, którego nikt nie widział i zobaczyć nie może, albowiem nie jest to zwyczajny ptak. Że wielkie kosmate pająki skaczą z gałęzi koniom na karki i w mgnieniu oka przegryzają żyły wypijając krew. że po lesie błądzi olbrzymi przedhistoryczny zwierz Pech, który jest pokryty łuską, wydaje potomstwo raz na dwanaście lat i wlecze za sobą dwanaście ogonów wydzielających jadowity pot. A ten i ów widział, jak w biały dzień przechodził drogę, mrużąc swoje skargi, goły odynec Y, wyklęty przez świętego Mikę - wściekła bestia, której nie sposób dosięgnąć żelazem, łatwo natomiast przebić kością.

Można tu spotkać zbiegłego niewolnika z piętnem wypalonym między łopatkami, milczącego i okrutnego jak kosmaty pajak-krwiopijca. I zgiętego wpół czarownika zbierającego tajemnicze grzyby do swoich czarodziejskich eliksirów, dzięki którym można stać się niewidzialnym, zamieniać się w niektóre zwierzęta lub uzyskać drugi cień Chadzali również w nocy tą drogą rozbójnicy groźnego Wagi Koła oraz uciekinierzy z kopalni srebra o czarnych dłoniach i białych przezroczystych twarzach. Znachorzy zbierali się tu na swoje nocne czuwania, a rubaszni jegrzy barona Pampy piekli na polanach skradzione byki w całości nadziane na rożny.

O milę od drogi, bodajże w samej kniei leśnej, pod uschniętym ze starości olbrzymim drzewem wrosła w ziemię krzywa chata z grubych bierwion, ogrodzona szerniałym częstokołem. Stoi tu od niepamiętnych czasów, drzwi jej są wiecznie zamknięte, a przed zbutwiałym gankiem sterczą pochylone bałwany, wyrzeźbione z całych pni. Wspomniana chata

jest najbardziej niebezpiecznym miejscem w Czkającym Lesie. Ponoć tu właśnie przychodzi raz na dwanaście lat prastary Pech, aby wydać na świat potomka, po czym wczołguje się pod chatę i zdycha zalewając całą piwnicę czarną jadowitą posoką, a kiedy jad wypłynie na zewnątrz, wówczas nastąpi koniec świata. Ponoć w słotne noce bałwany same wygrzebują się z ziemi, wychodzą na drogę i dają znaki, I ponoć w martwych oknach zapala się od czasu do czasu niesamowite światło, słychać jakieś dźwięki, a słup dymu z komina sięga pod niebo.

Nie tak dawno pewien wiejski półgłówek Irma Kukisz z chutoru Wonności (zwyczajnie mówiąc Śmierdziele) zawędrował któregoś wieczoru pod ową chatę i z głupoty zajrzał przez okno. Do domu powrócił całkiem już pomyłony, a ochłonawszy nieco, opowiedział, że chata była jasno oświetlona, przy sosnowym stole siedział z nogami na ławie jakiś mężczyzna i popijał z beczki, którą trzymał w jednej ręce. Twarz miał wielką i całą w plamach, a tak obwisła, że sięgała mu niemal do pasa. Był to, wiadoma rzecz, święty Mika we własnej osobie, jeszcze przed przyjęciem wiary, wielożeniec i pijanica z plugawym jęzorem. Trzeba było najpierw przemóc w sobie strach, żeby na niego spojrzeć. Z izby rozchodził się jakiś słodkawy, mdlący zapach, a po dookolnych drzewach snuły się cienie, ludzie schodzili się zewsząd, ciekawi opowieści głupka. Aż wreszcie skończyło się na tym, że przyjechali szturmowcy i wykręciwszy mu łokcie w tył, pognali do Arkanaru. Mimo to jednak opowieść o chacie nie ucichła, tyle że nazywano ją teraz Pijacką Gawrą.

Rumata przedarł się przez zarośla olbrzymich paproci i zsiadłszy z konia przed gankiem Pijackiej Gawry, okręcił lejce wokół jednego z bałwanów. W chacie paliło się światło, otwarte drzwi zwisały na jednej zawiasie. Ojciec Cabani siedział przy stole w stanie najgłębszej prostracji. Cała izba była przesycona gęstym odorem alkoholu, na stole pośród ogryzionych kości i kawałków gotowanej brukwi górował wielki gliniany kufel.

-Dobry wieczór, ojciec Cabani - rzekł Rumata przekraczając próg.

- Witam was, panie - odpowiedział ojciec Cabani głosem ochrypłym niczym róg bojowy.

Rumata dzwoniąc ostrogami podszedł do stołu, rzucił na ławę rękawice i znów popatrzył na ojca Cabani, który siedział nieruchomo wsparłszy na dłoni obwisłą twarz Krzacaste szpakowate brwi sterczały nad oczami jak zeschnięta trawa nad urwiskiem. Z nozdrzy porowatego nosa przy każdym wydechu wylatywało powietrze zatrute nie strawionym alkoholem.

- Ja sam to wymyśliłem! - przemówił nagle podnosząc z wysiłkiem prawą brew i zwracając na Rumate zapuchnięte oko. - Sam! Po co?... - Wysunął spod policzka prawą dłoń i

pokiwał włochatym palcem: - A przecież nie mam z tym nic wspólnego!... Ja wymyśliłem i nie mam z tym nic wspólnego, he? Tak jest - nic... To w ogóle nie są nasze pomysły, tylko diabli wiedzą czyje!...

Rumata rozpiął pas i zdjął przez głowę bandolety z mieczami.

- No, no! - mruknął.

- Skrzynia! - wrzasnął ojciec Cabani, po czym umilkł na czas dłuższy dziwacznie wydymając policzki.

Rumata nie spuszczać zeń oka przerzucił przez ławę nogi w pokrytych kurzem botfortach i usiadł kładąc obok siebie miecze.

- Skrzynia... - powtórzył ojciec Cabani przybitym głosem. - Powiadamy, że to nasze pomysły. A w gruncie rzeczy wszystko to dawien dawna zostało wymyślone. Ktoś z dawien dawna wszystko wymyślił, włożył do skrzyni, przewiercił w wieku otwór i poszedł... Poszedł spać... I cóż tedy? Przychodzi ojciec Cabani, zamyka oczy, wsuwa rękę w otwór. - Popatrz na swoją rękę.. - Phi! Wielkie rzeczy! Ja, powiada, właśnie nad tym samym myślałem A kto głupi. niech nie wierzy... Wsuwam rękę - raz! Co to? Drut kolczasty. Do czego? Oborę przed wilkami... Dobra! Wsuwam rękę - dwa! Co to? Chytra rzecz -maszynka... do mielenia mięsa. Na co? Sporządza delikatny farsz mięsny... Dobra! Wsuwam rękę - trzy! Co to? Woda palna... Do czego? Do rozpalania wilgotnych drew... He?

Umilkł i zaczął chylić się do przodu, jakby ktoś przyginał go za kark. Rumata wziął kufel, zajrzał do środka, potem wylał kilka kropel na dłoń. Były fioletowego koloru i śmierdziały olejem fuzlowym. Rumata wytarł starannie rękę koronkową chusteczką. Na materiale zostały tłuste plamy. Rozzochrana głowa ojca Cabani dotknęła stołu, po czym natychmiast się poderwała.

- Ten, kto złożył to wszystko do skrzyni, wiedział, do czego może posłużyć.. Kolce przeciwko wilkom?! To ja, głupiec, tak myślałem... Kopalnie, kopalnie odrutowywać tymi kolcami... Żeby nie uciekali przestępcy polityczni. Ale ja tego nie chcę! Ja sam jestem polityczny! A czy mnie spytali? Spytali! Kolce? Przeciwko wilkom? Tak... Doskonale, powiadają, świetnie! Odrutujemy kopalnie... Sam don Reba odrutowywał. I moją maszynkę do mięsa zabrał. Brawo, powiada! Głowę masz nie od parady!... I teraz w Wesołej Wieży kręci delikatny farsz... Podobno bardzo dobrze się sprawia...

Wiem, myślał Rumata. Wiem wszystko. Jak krzycałeś w gabinecie don Reby, jak

czółgałeś się u jego stóp błagając: "Oddaj, nie wolno!" Było już za późno. Już zaczęła się kręcić twoja maszynka...

Ojciec Cabani chwycił kufel i przypadł do niego włochatą paszczką. Przełykając trującą mieszanekę, ryczał niczym odyniec Y, potem rzucił kufel na stół i zaczął przegryzać kawałkiem brukwi. Po policzkach płynęły mu łzy.

- Woda piorunująca - przemówił wreszcie zdławionym głosem. - Do rozniecania ognisk i do wesołych sztuczek. Jaka tam ona palna, skoro można ją pić? A jeśli trochę domieszać do piwa, to ceny na to piwo nie będzie! Nie dam I Sam wypiję... No i piję. Dzień. Noc. Spuchłem cały, stać na nogach nie mogę. Niedawno, wierzcie mi, panie, podszedłem do lustra i przeraziłem się... Patrzę, Boże mój! Gdzie się podział ojciec Cabani?! Jakaś bestia morska, ośmiornica - cała gęba w kolorowych plamach. Raz czerwona. Raz sina. No tak, wymyśliłem wodę sztukmistrzowską, co się zowie...

Splunął na siół i poszurał nogą pod ławą, jakby rozcierając ślinę. Potem spytał nagle

- Jaki dziś mamy dzień?

- Wigilię Kąty Sprawiedliwego - odpowiedział Rumata.

- A dlaczego nie ma słońca

- Ponieważ jest noc.

- Znowu noc - zaskrzeczał smętnie ojciec Cabani i upadł twarzą w nie dojedzone resztki

Rumata, pogwizdując przez zęby, przyglądał mu się dłuższą chwilę, wreszcie wy dostał się zza stołu i poszedł do komórki. Tam, pomiędzy stosem brukwi a stosem opilek, połyskiwał szklanymi rurkami masywny agregat ojca Cabani, do pędzenia spirytusu - zadziwiający twór urodzonego inżyniera, instynktownego chemika i mistrzowskiego dmuchacza szkła. Rumata dwukrotnie obszedł dokoła "maszynę piekielną", po czym namacał w ciemnościach łom i kilka razy grzmotnął w nią z rozmachem, nie wybierając specjalnie miejsca. W komórce zadzwoniło, zabulgotało Ohydny smród skwaśniałych wysłodzin uderzył w nos.

Chrząszcząc obcasami po tłuczonym szkle Rumata przecisnął się w najdalszy kąt i zapalił latarkę elektryczną. Pod kupa rupieci stał tam w solidnej kasie pancernej mały syntetyzator połowy "Midas". Rumata rozrzucił rupiecie, wykręcił na tarczy kombinację cyfr i podniósł pokrywę kasy. Nawet w białym świetle latarki syntetyzator pośród tej masy śmieci sprawiał dość dziwne wrażenie. Rumata wsypał do lejka wlotowego kilka łopat opilek i syntetyzator cichutko zaśpiewał wtaczając automatycznie tablicę indykatora. Rumata czubkiem botforta przysunął

zardzewiałe wiadro do rynienki wylotowej, I oto w sekundę później -dzyń, dzyń, dzyń! - posypały się na zgniecione blaszane dno złote krążki z arystokratycznym profilem Pica Szóstego, króla Arkanaru.

Rumata przeniósł ojca Cabani na skrzypiącą pryczę ściągnął mu z nóg trzewiki, obrócił go na prawy bok przykrył wyliniałą skórą jakiegoś dawno wymarłego zwierza. Podczas tych zabiegów ojciec Cabani obudził się na chwilę. Nie był w stanie się poruszyć ani zebrać myśli. Poprzestał, więc na odśpiewaniu kilku strofek ze znajdującego się na indeksie romansu świeckiego i zaraz potężnie zachrapał.

Rumata sprzątnął ze stołu, zamiótł podłogę i przetaił szybę jedyne okna, poczerniała od brudu oraz eksperymentów chemicznych, które ojciec Cabani przeprowadzał na parapecie. Za odrapanym piecem znalazł beczkę spirytusu i wylał jej zawartość do szczurzej dziury. Wreszcie napoił chamacharskiego ogiera, nasypał mu owsa z torby u siodła, umył się i siadł w oczekiwaniu wpatrując się w kopcący płomyk lampy oliwnej. Szósty już rok pędził ten dziwny podwójny żywot i, rzec można, przywykł do niego całkowicie, a jednak od czasu do czasu, na przykład w tej chwili, zjawiała się nagła myśl, że w gruncie rzeczy nie ma żadnego zorganizowanego bestialstwa ani napierającej szarości, odbywa się tylko dziwaczny spektakl teatralny, w którym on, Rumata, gra główną rolę. I że lada moment, po jakiejś wyjątkowo celnej jego replice, zerwą się huczne brawa i zasiadający w łóżach koneserzy z Instytutu Historii Eksperymentalnej zaczną wołać z zachwytem: "Znakomicie, Anton! Genialnie! Brawo, Tolek!" Bezwiednie powiódł wzrokiem dokoła lecz zamiast przepełnionej sali były tylko czarne, omszałe ściany z gołych bierwion pokrytych nawarstwieniami kopcium. Na podwórzu zarżał cichutko i stuknął kopytami chamacharski ogier. Rozległ się niski, jednostajny warkot, do ściśnięcia w gardle znajomy i absolutnie tu niewiarygodny. Rumata nasłuchiwał z półotwartymi ustami. Warkot ustał, jęczyczek płomienia nad kagankiem zakolebał się i rozblęsnął silniej. Rumata zaczął podnosić się z ławy i równocześnie z nocnej ciemności wszedł do izby don Condor, Sędziego Generalnego i Strażnika Wielkiej Pieczęci republiki handlowej Soan, wiceprezes Konferencji Dwunastu Negocjantów oraz kawaler Orderu Prawicy Miłosiernej.

Rumata skoczył, omal nie przewróciwszy ławy. Chciał Podbiec, uściskać go, ucałować w oba policzki, ale już nogi zgodnie z etykietą same ugięły się w kolanach, ostrogi zadźwięczały uroczysto, prawa ręka opisała szeroki półokrąg od serca w bok, a głowa pochyliła się tak nisko, że broda utonęła w pianistych koronkach kryzy. Don Condor zerwał aksamitny beret ze zwykłym

podróżnym piórem, pośpiesznie, jakby odganiając komary, machnął nim przed Rumatą, po czym rzuciwszy beret na stół, obiema rękami rozpiął pod szyją kłamry płaszcza. Płaszcz jeszcze spływał powoli z jego pleców na ziemię, a on już siedział na ławie szeroko rozstawiwszy nogi, lewą ręką podparty pod bok, prawą zaś obejmując rękojeść złożonego miecza, wbitego w zbutwiałe deski podłogi. Był małego wzrostu, chudy, twarz miał wąską, bladą i duże wypukłe oczy. Czarne włosy ujmowała taka sama, jak u Rumaty, masywna złota obręcz z wielkim zielonym kamieniem między brwiami.

- Jest pan sam, don Rumata? - zapytał ostro.

- Sam, szlachetny panie - odpowiedział melancholijnie Rumata.

Ojciec Cabani przemówił nagle grubym i trzeźwym głosem: "Szlachetny don Reba! Pan jesteś obrzydliwą hieną..."

Don Condor nie odwrócił głowy.

- Przyleciałem - oznajmił.

- Miejmy nadzieję - rzekł don Rumata - że pana nie widzieli.

- Legenda więcej, legenda mniej - w głosie don Condora brzmiała irytacja. - Nie mam czasu na konne podróże. Co się stało z Budachem? Gdzież on się podział? Niechże pan usiądzie, don Rumata, bardzo proszę. Boli mnie kark.

Rumata siadł posłusznie na ławie.

-Budach zniknął. Czekałem na niego na Uroczysku Ciężkich Mieczów. Tymczasem zjawił się tylko jakowyś oberwaniec, wymienił hasło i oddał mi worek z książkami. Czekałem jeszcze dwa dni, po czym skontaktowałem się z don Hugiem i otrzymałem od niego informację, że odprowadził Budacha do samej granicy i że Budachowi towarzyszy pewien szlachcic całkowicie godny zaufania jako że straciwszy majątek w karty, zaprzedał się don Hugowi duszą i ciałem. Stąd wniosek, że Budach zniknął gdzieś w Arkanarze. To wszystko, co wiem.

- Niewiele pan wie - mruknął don Condor.

- W tej chwili nie o Budacha mi chodzi - odparł Rumata. - Jeśli żyje, znajdę go i wyciągnę. Już ja to potrafię- Chciałem z panem pomówić, o czym innym. Jeszcze raz zwrócić pańską uwagę na to, że sytuacja w Arkanarze wykracza już poza ramy teorii podstawowej. - Na twarzy don Condora pojawił się kwaśny wyraz. - Zaraz, sekundę, proszę mnie wysłuchać. Czuje, że drogą radiową nigdy nie zdołam się z panem porozumieć. A w Arkanarze zaszły wielkie zmiany! Powstał jakiś nowy, systematycznie działający czynnik. Wygląda na to, że don Reba

świadomie szczuje na uczonych całą szarość w królestwie. Wszyscy, którzy bodaj trochę wyrastają ponad przeciętny szary poziom, są zagrożeni. Niech pan mnie wysłucha, don Condor, to nie są emocje, to są fakty. Jeżeli ktoś jest człowiekiem wykształconym, inteligentnym, mówi ciekawie, wreszcie nie pije wina - grozi mu niebezpieczeństwo. Pierwszy lepszy sklepikarz ma prawo zaszczyć go choćby na śmierć. Setki, tysiące ludzi są wyjęte spod prawa. Bojówkarze wyłapują ich i wieszają przy drogach. Głową w dół, nagich... Wczoraj na mojej ulicy zdeptali buciorami jakiegoś starca, dowiedziawszy się, iż jest oświecony. Deptali podobno dwie godziny i pot im ściekał z tępych zwierzęcych mord... - Rumata opanował się i dokończył już spokojnie: - Jednym słowem, w Arkanarze nie pozostanie wkrótce ani jeden świątły człowiek. Jak na obszarze Świętego Zakonu po rzezi barkańskiej.

Don Condor przygląda) mu się badawczo, sznurując usta.

- Nie podobasz mi się, Anionie - rzekł po rosyjsku.

- Mnie też nie podoba się wiele rzeczy - odparował Rumata. - Nie podoba mi się, że sami związaliśmy sobie ręce i nogi takim a nie innym ustawieniem problemu. Nie podoba mi się, że nazywa się on Problemem Bezkrwawego Oddziaływania. Albowiem w moich warunkach oznacza to naukowo uzasadnioną beczynność! Znam z góry wszystkie pańskie kontrargumenty! Znam także teorię. Ale tu nie ma żadnej teorii, tu jest typowo faszystowska praktyka, tu bestie bez ustanku zabijają ludzi! Tu wszystko jest bezowocne. Brakuje wiedzy, a złoto traci wartość, ponieważ się spóźnia.

- Nie gorączkuj się tak, Antonie. Wierzę ci, że sytuacja w Arkanarze jest zupełnie wyjątkowa, ale z drugiej strony mogę iść o zakład, że nie masz żadnej konstruktywnej propozycji.

- Istotnie - zgodził się Rumata - nie mam konstruktywnych propozycji. Bardzo mi jednak trudno utrzymać się w ryzach.

- Antonie - powiedział don Condor. - Jest nas dwustu pięćdziesięciu na tej planecie. Wszyscy trzymają się w ryzach i wszystkim przychodzi to z wielką trudnością. Najbardziej doświadczeni przebywają tu już dwadzieścia dwa lata. Przylecieli wyłącznie jako obserwatorzy. Zabroniono im w ogóle w cokolwiek ingerować. Wyobraź to sobie przez chwilę: zabroniono w ogóle. Nie mieliby nawet prawa ocalić Budacha. Nawet gdyby go w ich oczach miażdżono buciorami.

- Nie powinien pan mówić do mnie jak do dziecka.

- Bo pan jest niecierpliwy jak dziecko. A trzeba być niesłuchanie cierpliwym.

Rumata uśmiechnął się gorzko.,

- Przez ten czas, gdy my będziemy wyczekiwać, przymierzać się i szykować - powiedział
- bestie będą co dzień, co minutę unicestwiać ludzi.

Posłuchaj, Antonie. We wszechświecie są tysiące planet, na które jeszcze nie przybyliśmy
i na których historia toczy się własną koleją.

- Ale tu już przybyliśmy!

- Tak, to prawda. Przybyliśmy jednak po to, by pomóc tej ludzkości, a nie zaspokajać
swój słuszny gniew. Jeżeli czujesz się zbyt słaby, odejdz. Wracaj do domu. W końcu naprawdę
nie jesteś dzieckiem i wiedziałeś, co tu zobaczysz.

Rumata milczał. Don Condor, nagle oklapnięty i postarzały, przeszedł się koło stołu
ciągnąc miecz za rękojęć, Jak łaskę, i smutno kiwając nosem.

- Rozumiem to dobrze - powiedział. - Przecież ja to wszystko przeżyłem. Był czas, że
poczucie bezsiły i własne podłości wydawało mi się czymś najstraszniejszym. Niektórzy, co
słabsi, wariowali od tego, odsyłano ich na Ziemię i teraz przechodzą kurację. Piętnastu lat
potrzebowałem, mój drogi, by zrozumieć, co jest najstraszniejsze. Stracić ludzkie oblicze,
Antonie. Zbrukać duszę, stać się zatwardziałym. Jesteśmy tu jak bogowie, Antonie, i musimy być
mądrzejsi od tych bogów z legend, których tutejszy lud tworzy na obraz swój i podobieństwo. A
przecież chodzimy brzezkiem trzęsawiska. Powinno ci się noga i wpadasz w błoto, którego przez
całe życie nie zmyjesz. Goran Irukański w "Historii przybycia" pisał: "Kiedy Bóg zstąpiwszy z
nieba, wyszedł do ludu z Bagien Pitańskich, nogi miał unurzane w błocie".

- I za to właśnie Gorana spalili - rzekł Rumata posepnie.

- Tak, spalili. A to odnosiło się do nas. Jestem tu od piętnastu-lat, mój drogi. Już nawet
sny o Ziemi przestały mnie nawiedzać. Kiedyś, grzebiąc w papierach, znalazłem fotografię
kobiety i długo nie mogłem sobie przypomnieć, kto to taki. Co pewien czas uświadamiam sobie z
nagłym przerażeniem, że już od dawna nie jestem pracownikiem Instytutu, lecz jego muzealnym
eksponatem, generalnym sędzią feudalnej republiki handlowej i że jest w muzeum sala, w której
należy mnie umieścić. To koszmarnie tak wejść w rolę. W każdym z nas szlachecki fuzel walczy
z komunardem. I wszystko dokoła pomaga temu fuzlowi, a komunard sam jak palec - od Ziemi
dzieli go tysiąc lat i tysiąc parseków. - Don Condor zamilkł patrząc na swoje kolana. - Tak to
wygląda, Antonie - głos jego nabrał twardych nut. - Pozostaniemy komunardami.

On nic nie rozumie. Bo i skąd może rozumieć? Jemu się powiodło, nie wie, co to znaczy szary terror, kim jest don Reba. Wszystko, czego był świadkiem w ciągu piętnastu lat pracy na tej planecie, mieści się bądź co bądź w ramach teorii podstawowej. I kiedy mówię o faszyzmie, o szarych szturmowcach, o aktywizacji mieszczaństwa, on przyjmuje to jako określenia czysto emocjonalne. "Niech Pan nie robi żartów z terminologią, Antonie! Chaos terminologiczny pociąga za sobą niebezpieczne następstwa". On za „nic nie może pojąć, że obecny poziom średniowiecznego bestialstwa to szczęśliwe wczoraj Arkanaru. Don Reba to według niego ktoś w rodzaju księcia Richelieu. mądry i dalekowzroczny polityk broniący absolutyzmu przed feudalną wolnością. Tylko ja jeden na całej planecie widzę straszliwy cień nadpełzający na ten kraj, ale cóż z tego, gdy nie mogę rozpoznać, czyj to cień i po co... Jakże więc mam go przekonać, skoro on lada chwila, czytam to z jego oczu, wyśle mnie na leczenie na Ziemię.

- Jak się miewa czcigodny Sinda? - zapytał.

Don Condor przestał świdrować go wzrokiem i burknął: - Dobrze, dziękuję panu. - A potem rzekł: - Trzeba wreszcie dokładnie uświadomić sobie, że ani ty, ani ja, ani żaden z nas nie ujrzy konkretnych owoców swojej pracy. Nie jesteśmy fizykami, lecz historykami. Nasza jednostka czasu to nie sekunda, lecz wiek, a nasza praca to nawet nie zasiew, my tylko przygotowujemy glebę pod zasiewy. A tu przybywają z Ziemi... entuzjaści, psiakrew... Sprinterzy z krótkim oddechem...

Rumata uśmiechnął się krzywo i zaczął bez potrzeby podciągać botfordy. Sprinterzy. Tak, bywali sprinterzy.

Dziesięć lat temu Stefan Orłowski, onże don Capada, dowódca kompanii kuszników jego cesarskiej mości, gdy torturowano publicznie osiemnaście estorskich wiedźm, rozkazał swym żołnierzom otworzyć ogień do siepaczy, zarąbał sędziego oraz dwóch komorników, po czym został wzięty na kopie przez straż pałacową. Wijąc się w mękach przedśmiertnych krzychał: "Wszak ludźmi jesteście! Bijcie ich, bijcie!" - ale mało kto słyszał jego słowa wśród wrzasków tłumu: "Ognia! Podsycić ogień!..."

Mniej więcej w tym czasie na drugiej półkuli Karl Rosenblum, jeden z największych znawców wojen chłopskich w Niemczech i we Francji, on że handlarz wełną Pani-Pa, wywołał powstanie chłopów muryskich, zdobył szturmem dwa miasta i zginął od strzały w tył głowy, gdy usiłował położyć kres grabieżom. Żył jeszcze, gdy przyleciano po niego helikopterem, ale mówić nie mógł, tylko patrzył ze skruchą i zdziwieniem wielkimi błękitnymi oczami, z których bez

przerwy płynęły lży... "

A na krótko przed przybyciem Rumaty świetnie zakonspirowany przyjaciel-konfident tyrana kajszańskiego (Jeremi Tafnat, specjalista od historii reform rolnych) nagle ni stąd ni zowąd dokonał przewrotu pałacowego, przejął władzę, w ciągu dwóch miesięcy usiłował zaprowadzić Złoty Wiek, uparcie nie reagując na gniewne interpelacje sąsiadów i Ziemi, zasłużył na sławę obłąkańca, szczęśliwie uniknął ośmiu zamachów, wreszcie został porwany przez brygadę awaryjną pracowników Instytutu i łodzią podwodną przewieziony do bazy na wyspie pod Biegunem Południowym.

- I pomyśleć tylko! - mruknął Rumata. - Do dziś cała Ziemia wyobraża sobie, że najbardziej skomplikowanymi problemami zajmuje się fizyka zerowa...

Don Condor podniósł głowę.

- No, nareszcie! - powiedział cicho.

Zastukały kopyta, histerycznie zarżał chamacharski ogier, ktoś zaklął soczyście z wyraźnym akcentem irukańskim. W drzwiach ukazał się don Hug, starszy komorzy jego ekscelencji księcia Irukanu, gruby, rumiany, z zawadiacko podkreślonym wąsem, uśmiechnięty od ucha do ucha i wesoło błyskający małymi oczkami spod pukli kasztanowatej peruki, I znów Rumata w pierwszym odruchu chciał pochwycić go w objęcia, bo wszakże był to Paszka, ale don Hug wyprężył się nagle, na jego twarzy rozlała się cikliwa słodycz, zgiął się z lekka i złożony wargi w ryjek przycisnął do piersi kapelusz. Rumata spojrzał przelotnie na Aleksandra Wasiliewicza. Ale tamten zniknął. Na ławie siedział Sędzia Generalny i Strażnik Wielkiej Pieczęci z nogami szeroko rozstawionymi, z lewą ręką wspartą na biodrze i prawą obejmującą rękojeść złoczonego miecza.

Bardzo pan się spóźnił, don Hug - powiedział nieprzyjemnym tonem.

- Tysiącrotnie przepraszam! - wykrzyknął don Hug podchodząc płynnym krokiem do stołu. - Klnę się na rachityzm mego księcia, że przeszkodziły mi nieprzewidziane okoliczności! Cztery razy zatrzymywał mnie patrol jego królewskiej mości, władcy Arkanaru, i dwa razy biłem się z jakimiś chamami. - Eleganckim gestem podniósł lewą rękę owiniętą zakrwawioną chustą. - A propos, szlachetni panowie, czyj to helikopter stoi za chatą?

- Mój - odparł swarliwie don Condor. - Ja nie mam czasu na bójki na drogach.

Don Hug skwitował to miłym uśmiechem i siadłszy okrakiem na ławie oznajmił:

- Otóż, szlachetni panowie, rzeczywistość nakazuje nam stwierdzić, iż doktor wszech

nauk Budach zniknął w tajemniczy sposób gdzieś między granicą irukańską a Uroczykiem Ciężkich Miecz...

Ojciec Cabani poruszył się nagle na swoim łóżu.

- Don Reba - wymówił basem nie budząc się ze snu - Zostawcie Budacha mnie - powiedział z rozpaczą Rumata. - I spróbujcie mimo wszystko coś zrozumieć.

ROZDZIAŁ II

Rumata drgnął i otworzył oczy. Był już dzień. Pod oknami wybuchła jakaś uliczna awantura. Ktoś, zapewne wojskowy, wrzeszczał: „Ty łajdaku! Złizesz to błoto jęzorem! (Miłe dzień dobry! - pomyślał Rumata.) Milczeć!... Bo na grzbiet świętego Miki, wyprowadzisz mnie z równowagi!” Drugi głos, gruby i ochryply, dudnił, że na tej ulicy trzeba patrzeć pod nogi. "Nad ranem deszczyk spadł, a brukowali ją sami, wiecie kiedy, szlachetny panie..." - "On mnie tu będzie uczył, gdzie mam patrzeć!..." - Puśćcie mnie lepiej, szlachetny panie, nie ciągnijcie za koszulę..." - "On mnie tu będzie uczył..." Rozległo się głośnie klaśnięcie. Prawdopodobnie był to już drugi policzek, pierwszy obudził Rumatę. "Nie bijcie mnie, szlachetny panie..." - dudnił głos na dole.

Znajomy głos, kto to może być? Chyba don Tameo. Trzeba będzie dziś przegrać do niego z powrotem tę chamacharską chabetę. Ciekawe, czy kiedykolwiek stanę się znawcą koni? Co prawda, my, Rumatowie Estorscy, od wiek wieków nie znaleźliśmy się na koniach. Znamy się za to na wielbłądach bitewnych. Dobrze, że w Arkanarze nie ma wielbłądów. Rumata przeciągnął się, aż chrupnęło mu w stawach, namacał u wezgowia pleciony jedwabny sznur i szarpnął zań kilka razy. W głębi domu zadźwięczały dzwonki. Chłopiec z pewnością przysłuchuje się awanturze - pomyślał Rumata. Mógłbym wstać i ubrać się sam, ale po co ma oglądać takie obrazki. Wyzwiska były coraz głośniejsze. Jak wielka jest potęga języka! Nieprawdopodobna entropia. Oby go tylko don Tameo nie zasiek)... Ostatnio pojawili się w gwardii amatorzy, którzy głoszą, że do szlachetnej walki służy im tylko jeden miecz, drugiego zaś używają specjalnie przy łapanekach ulicznych, a te dzięki staraniom don Reby nadzwyczaj rozpleniły się w sławetnym Arkanarze. Don Tameo, zresztą, nie z takich... Tchórzem podszyty, no i polityk znany...

Obrzydliwość, gdy dzień zaczyna się od don Tamea... Rumata usiadł obejmując rękami kolana pod wykwinną puszystą kołdrą. Zjawia się poczucie ołowianej szarości, mimo woli człowiek zaczyna melancholijnie rozmyślać o tym, jak bardzo jesteśmy słabi i nędzni w obliczu pewnych okoliczności... Na Ziemi nawet nam to nie przychodzi do głowy. Tam jesteśmy zdrowi, pewni siebie faceci, którzy przeszli kondycjonowanie psychiczne i są na wszystko przygotowani. Mamy nerwy jak postronki - umiemy nie odwracać się, gdy kogoś biją lub uśmiercają. Jesteśmy niezwykle odporni - potrafimy wytrzymywać wynurzenia najbardziej beznadziejnych kretynów Zapomnieliśmy o wstręcie, zadowolają nas naczynia, które zgodnie ze zwyczajem daje się wylizać psom, a potem, żeby było ładniej, przeciera brudną połą. My, wielcy impersonatorzy,

nawet we śnie nie mówimy językami Ziemi. Posiadamy niezawodną broń - podstawową teorię feudalizmu wypracowaną w ciszy gabinetów i pracowni, w kurzu wykopalisk, w poważnych dyskusjach...

Szkoda tylko, że don Reba nie ma pojęcia o tej teorii. Szkoda, że zaprawa psychologiczna złaży z nas jak opalenizna, wpadamy w krańcowości, jesteśmy zmuszeni do ciągłych ćwiczeń: "Zaciśnij zęby i pamiętaj, żeś zamaskowanym bogiem, że oni nie wiedzą, co czynią, prawie żaden z nich nie ponosi winy, dlatego też powinieneś być cierpliwy i wyrozumiały..." Okazuje się, że źródła humanizmu w naszych duszach, niewyczerpane, zdawałoby się, na Ziemi, wysychają z zastraszającą szybkością. Święty Miko, przecież tam na Ziemi byliśmy naprawdę humanistami, naszym kościołem moralnym był humanizm, w uwielbieniu Człowieka, w naszej miłości do niego byliśmy bliscy antropocentryzmu, o tu nagle spostrzegamy z przerażeniem, że nie Człowieka kochaliśmy, lecz jedynie komunarda, Ziemianina równego nam... Coraz częściej chwytają się na myśli: "Dość tego, alboż to są ludzie? Alboż zdolni są stać się nimi chociażby z czasem?" I wtedy przypominamy sobie takich, jak Kira, Budach, Arata Garbaty, jak wspaniały baron Pampa, i wstyd nas ogarnia. I to też jest uczucie dziwne, nieprzyjemne, i co najważniejsze - nie przynosi ulgi...

Dosyć już o tym, pomyślał Rumata. Przynajmniej z rana. Niech diabli porwą don Tamea!... Nagromadziło się w duszy zniechęcenie i jak mu dać upust w takiej samotności. Otóż to, w samotności! Czując się tacy silni i pewni siebie, czy przypuszczaliśmy, że znajdziemy się tu osamotnieni? Przecież nikt nam nie uwierzy! Anton, bracie, co się z tobą dzieje? O trzy godziny lotu na zachód jest Aleksander Wasiliewicz, złoty człowiek i przy tym mądry, na wschodzie - Paszka, siedem lat na jednej ławie szkolnej, wierny, pełen humoru przyjaciel. Po prostu rozkleiłeś się, Tolek. No cóż, szkoda, sądziliśmy, że jesteś mocniejszy, ale każdemu może się to zdarzyć. Robota piekielna, rozumiemy dobrze. Wracaj więc na Ziemię, odpoczniesz, popracujesz nad teorią, a później zobaczymy.

A tak na marginesie, to Aleksander Wasiliewicz jest czystej wody dogmatykiem. Skoro teoria podstawowa nie przewiduje szarych („Ja, mój drogi, w ciągu piętnastu lat pracy takich uchybień od teorii nie zauważyłem...”), to znaczy, że szarzy mi się tylko uroili. A skoro zaczynam mieć urojenia, to znaczy, że nerwy mi nawaliły i trzeba mnie wysłać na odpoczynek. "No dobrze, obiecuję, że sam sprawdzę i wtedy powiem swoje zdanie. Ale na razie, don Rumata, bardzo proszę, żadnych ekscesów..." Paweł zaś, przyjaciel z lat dziecińczych, erudyta, studnia

informacji zapuścił się na całego w historię dwóch planet i bez trudu dowiódł, że szary ruch jest tylko zwykłym wystąpieniem mieszczań przeciwko baronom. "Wpadnę zresztą w tych dniach do ciebie i zobaczę. Szczerze mówiąc, trochę mi nieprzyjemnie z powodu Budacha..." Dziękuję i za to! Wystarczy! Zajmę się Budachem, jeśli do niczego innego nie jestem zdolny.

Wielce uczony doktor Budach. Rdzenny Irukańczyk, znakomity medyk, którego księżę Irukanu omal nie obdarzył szlachectwem, ale się rozmyślił i zamknął go w wieży. Najwybitniejszy w Imperium specjalista toksykolog. Autor znanego powszechnie traktatu „O ziołach i innych roślinach mogących stać się tajemną przyczyną bólu, radości i ukojenia, jak też o ślinie i sokach gadów, pająków i gołego odyńca Y, takowe oraz inne właściwości posiadających". Człowiek bez wątpienia nieprzeciętny, prawdziwy humanista, głęboko inteligentny i bezinteresowny - cały jego majątek stanowił worek z książkami. Komuż więc mogłeś się przydać, doktorze Budach, w tej ponurej, nieoświeconej krainie, tonącej w krwawym grzęzawisku spisków i chciwości?

Przypuśćmy, że żyjesz i znajdujesz się w Arkanarze. Niewykluczone też, że schwyтали cię barbarzyńscy rabusie, którzy zbiegli, z odnóg Czerwonego Północnego pasma gór. W takim przypadku don Condor zamierza skomunikować się z naszym przyjacielem Szusztuletidowodusem, specjalistą od historii kultur pierwotnych, który pracuje obecnie jako szaman-epileptyk u wodza o czterdziestopięciogłoskowym imieniu. Jeśli jednak przebywasz w Arkanarze, to przede wszystkim mogły cię schwytać nocne psy gończe Wagi Koła. Nawet nie schwytać, raczej zagarnąć, gdyż główną zdobyczą był dla nich twój przewodnik, szlachetny don, który zgrał się do ostatniego szeląga. W każdym razie oni cię nie zabiją, Waga Koło jest na to zbyt chytry.

Mógł cię również złapać jakiś głupi baron. Bez żadnej złej intencji, po prostu z nudów i hipertroficznej gościnności. Zachciało mu się współbiesiadować ze szlachetnie urodzonym rozmówcą, wysłał więc na drogę swych drużynników i zaciągnął do zamku twego przewodnika. Będziesz więc siedział w śmierdzącej czeladnej, dopóki panowie nie spiją się na umór i nie rozejdą się w końcu. W tej sytuacji też nic ci nie grozi.

Ale są jeszcze zaszyte gdzieś w Zgniłojarze resztki niedawno rozbitej armii chłopskiej don Ksi i Perty Kręgosłupa których podkarmia teraz cichaczem sam nasz wielki don Reba na wypadek bardzo realnych komplikacji z baronami. Ci zupełnie nie znają litości i lepiej o nich nie myśleć. Jest jeszcze don Satarina, rodowity arystokrata, liczący ponad sto lat i całkowicie

zdziecinniały. Jego ród Pozostaje na stopie wojennej z rodem książąt Irukańskich, więc od czasu do czasu pobudzając się do aktywności zaczyna wylapywać wszystko, cokolwiek przekracza granicę irukańską. Jest bardzo niebezpieczny, gdyż w momencie ataku pęcherzyka żółciowego zdolny jest do wydawania takich rozkazów, że grabarze nie nadążają wywozić zwłok z jego lochów.

I wreszcie rzecz najważniejsza. Nie dlatego, że taka groźna, lecz że najbardziej prawdopodobna. Szare patrole don Reby. Szturmowcy na gościńcach. Mogłeś wpaść im w łapy przypadkowo i wtedy należy liczyć na rozwagę i zimną krew twego przewodnika. Ale co, jeśli don Reba interesuje się tobą? On miewa zaskakujące zainteresowania... Szpiedzy mogli mu donieść, że będziesz przejeżdżał przez Arkanar, więc wystano patrol pod dowództwem gorliwego szarego oficera, szaraczkowego bękarta, i oto siedzisz teraz w kamiennym worku pod Wesołą Wieżą

Rumata jeszcze raz szarpnął niecierpliwie za sznur Drzwi sypialni otworzyły się z obrzydliwym skrzekiem i na progu stanął służący, młodziutki chłopak, chudy i ponury. Na imię miał Uno, a jego losy mogłyby posłużyć za temat do ballady. Skłonił się nisko i szurając zdeptanymi trzewikami podszedł do łóżka i postawił na stoliku tacę z listami, kawą oraz grudka, aromatycznej kory do czyszczenia i zarazem wzmacniania zębów Rumata spojrzał na niego gniewnie'

- Czy ty kiedykolwiek nasmarujesz te drzwi? Chłopiec milczał wpatrując się w podłogę. Rumata odrzucił kołdrę, spuścił z łóżka nogi i sięgnął do tacy.

- Myłeś się dzisiaj? - zapytał.

Chłopak znów nic nie odpowiedział i zaczął chodzić po pokoju zbierając rozrzuconą odzież.

- Zdaje się, że cię pytałem, czy myłeś się dzisiaj? - rzekł Rumata otwierając pierwszy list.

- Woda grzechów nie zmyje - mruknął chłopak. - Czy to ja jestem szlachcic, żeby się myć?

- A co ci opowiadałem o mikrobach?

Uno powiesił zielone spodnie na poręczy fotela i prze żegnał się szybko, odpędzając złego ducha.

- Trzy razy modliłem się, w nocy. To jeszcze mało?

- Bałwan jesteś - rzekł Rumata i zaczął czytać list. Pisała donna Okana, dama dworu,

najnowsza faworyta don Reby. Prosiła, by Rumata odwiedził ją dziś wieczorem, "czule tęskniącą". Postscriptum otwarcie wyjawiał czego autorka listu się po tej wizycie spodziewa. Rumata zaczerwienił się mimo woli. Obejrzawszy się ukradkiem na chłopca, mruknął:

- No, no, w rzeczy samej...

Nad tym warto było się zastanowić. Wizyta przejmowała go wstrętem, zlekceważenie zaprosin byłoby głupotą, gdyż donna Okana, wiedziała dużo. Wypił duszkiem kawę i włożył do ust grudkę kory.

Następna koperta z grubego papieru miała naruszona pieczęć łąkową, widocznie list był otwierany. Pisał don Ripat, zdeklarowany karierowicz, lejtnant szarej rotacji galanteryjników. Informował się o zdrowie, wyrażał przekonanie, iż szara sprawa zwycięży, i prosił o prolongatę długu powołując się na jakieś bzdurne okoliczności. "Dobrze, dobrze..." - mruknął Rumata, wziął ponownie kopertę i obejrzał ją z zaciekawieniem. Tak, zaczęli już stosować delikatniejsze metody. Znacznie delikatniejsze.

W trzecim liście ktoś wyzywał go na miecze z powodu donny Pytii, zgadzał się jednak cofnąć wyzwanie, jeśli Rumata zechce przedstawić dowody, że nic go z donną Pytią nie łączyło i nie łączy. List był standardowy - zasadniczy tekst sporządził kaligraf, pozostawione puste miejsca wypełniono koślawym pismem z błędami ortograficznymi, wstawiając imiona i daty.

Rumata odrzucił list i podrapał rękę pokąsaną przez komary.

- No, szykuj mycie - nakazał.

Chłopak zniknął za drzwiami i po chwili znów się ukazał taszcząc drewnianą balię z wodą. Następnie wybiegł jeszcze raz po drugą pustą balię oraz dzban.

Rumata zeskoczył z łóżka, ściągnął przez głowę starą nocną koszulę z misternym haftem ręcznym i wyjął z pochwy wiszące u wezglowia miecze. Chłopak na wszelki wypadek stanął za fotelem. Poćwiczywszy z dziesięć minut wypady i parowanie, Rumata rzucił miecze, nachylił się nad pustą balię i zawołał: "Lej!" Mycie się bez mydła było nieprzyjemne, ale zdążył się już do tego przyzwyczaić. Chłopiec wylewał mu dzban za dzbanem na kark, na głowę i przez cały czas zręczył: "U wszystkich jest zwyczajnie, po ludzku, tylko u nas różne cudactwa. Widziane to rzeczy, żeby myć się w dwóch naczyniach. W wychodku też jakiś garnek wymyślili... Co dzień im dawaj czysty ręcznik... A sami nawet się nie pomodlą tylko na golasa z mieczami latają..."

Rumata rozcierając ciało ręcznikiem, rzekł pouczająco:

Nie jestem jakiś tam wszawy baron, służę u dworu. Dworzanin musi być czysty i pięknie

pachnieć.

Jego królewska mość akurat nie ma nic do roboty, tylko pana wachać - odparł chłopak. - Wszyscy wiedzą, że król dzień i noc modli się za nas grzesznych. A na przykład don Reba nigdy się nie myje. Sam słyszałem, jak ich lokaj opowiadał.

- Dobra, przestań burczeć - rzekł Rumata wkładając nylonowy podkoszulek.

Chłopak patrzył na jego czynności nieprzychylnym okiem. Od dawna już wśród służby arkanarskiej krążyły różne plotki o tej części garderoby jego pana. Gdy wciągał gatki, chłopak odwrócił głowę i poruszył wargami, jakby spluwając od złego uroku.

Mimo wszystko warto by wprowadzić w modę dolną bieliznę - pomyślał Rumata. Byłoby to jednak możliwe, rzecz oczywista, tylko za pośrednictwem kobiet, a Rumata i w tej dziedzinie odznaczał się niedopuszczalnie, jak na zwiadowcę, wybrednym smakiem. Kawaler i lekkoduch, obyty ze stołecznym stylem życia i zesłany za pojedynkę o damę serca na prowincję, powinien mieć przynajmniej ze dwadzieścia kochanek. Rumata dokładał heroiczkich starań, aby podtrzymać tę swoją reputację. Polowa jego agentury, zamiast zajmować się właściwymi sprawami, szerzyła o nim sensacyjne plotki, budzące zawiść i niesłychany podziw wśród arkanarskiej młodzieży gwardyjskiej. Dziesiątki rozczarowanych dam, u których Rumata specjalnie przesiadywał czytając im wiersze do późna w nocy (trzecie straż, braterskie cmoknięcie w policzek i skok z balkonu prosto w ramiona dowódcy nocnego patrolu, znajomego oficera) opowiadały sobie na wyścigi o igrzyskach wielkomięjskich obyczajach kawalera z metropolii. Rumata płynął na fali próżności tych głupich i obrzydliwie rozpustnych bab, niemniej problem dolnej bielizny pozostawał otwarty. O ileż łatwiej poszło z chusteczkami do nosa! Zaraz na pierwszym balu Rumata wyciągnął zza mankietu wytworną koronkową chusteczkę i osuszał nią wargi- Na następnym dzielni gwardziści ocierali już spocone twarze większymi lub mniejszymi kawałkami materii w różnych kolorach, ozdobionymi haftowanym monogramem. A po miesiącu roilo się już od modnisiów noszących na zgiętej w łokciu ręce całe prześcieradła, których końce sztywnie wlokły się po ziemi.

Rumata wciągnął zielone spodnie i białą batystową koszulę z zapranym kołnierzykiem.

- Czy ktoś tam czeka? - spytał.

- Golibroda - odpowiedział chłopiec. - I w salonie siedzą jeszcze dwaj panowie, don Tameo i don Sera. Kazali podać wino i rzną w kości. Czekają na pana ze śniadaniem.

Idź, przywołaj golibrodę. Szlachetnych panów zawiadom, że będę gotów lada chwila.

Tylko nie bądź ordynarny, zachowuj się grzecznie...

Śniadanie było niezbyt obfite, pozostawiało miejsce na obiad, który nastąpił niebawem. Podano pieczone mięso suto przyprawione różnymi ingrediencjami oraz psie uszy marynowane w occie. Do tego wina - musujące irukańskie, gęste, brunatne estorskie, białe soańskie. Don Tameo, zręcznie dzieląc dwoma kindzałami baranią nogę, uskarżał się na bezczelność niższych stanów.

Mam zamiar złożyć raport Jego Królewskiej Mości - oznajmił. - Szlachta żąda, aby chłopom i rzemieślniczej hałastrze zabroniono pokazywać się w miejscach publicznych i na ulicach. Niech chodzą przez podwórza i tyłami zabudowań. W przypadkach, których nie da się uniknąć, mianowicie przy dostawie do domów szlacheckich chleba, mięs i wina, chłop musi posiadać specjalne zezwolenie Ministerstwa Ochrony Berła.

- Główka nie od parady! - wymamlał z zachwytem don Sera, bryzgając śliną i sokiem z mięsa. - A wczoraj na dworze królewskim... - I opowiedział najświeższą plotkę. Dama serca don Reby, frejlina Okana, przez nieuwagę nadepnęła królowi na chorą nogę. Jego Królewska Mość, bardzo rozgniewany, rozkazał don Rebie przykładnie ukarać przestępczynię, na co ten ostatni odpowiedział nawet nie mrugnawszy powieką: "Tak jest. Najjaśniejszy Panie. Zaraz dzisiejszej nocy!" Omal nie pękł ze śmiechu - mówił don Sera trzęsąc głową - aż oderwały mi się dwa haczyki przy kamizeli...

- Protoplazma - myślał Rumata. - Po prostu żarłoczna rozmnażająca się protoplazma.

- Tak, tak, moi panowie - powiedział głośno. - Don Reba to człowiek wielkiego rozumu...

- Oho-ho! - zawołał don Sera. - Wręcz niezwykłego! Najmądrsza głowa w królestwie!...

- Wybitny polityk! - dorzucił don Tameo z żarliwym naciskiem.

- Dziś wydaje się nie do wiary - ciągnął Rumata z miłym uśmiechem - co się o nim mówiło jeszcze rok temu. Pamięta pan, don Tameo, jak dowcipnie wykpił pan jego krzywe nogi?

Don Tameo zakrztusił się nagle, po czym jednym haustem opróżnił szklanicę irukańskiego.

- N-nie przypominam sobie... - mruknął. - A zresztą, jaki tam ze mnie ironista...

- Tak było, tak - potwierdził don Sera kiwając z wyrzutem głową.

- Ach, rzeczywiście! - wykrzyknął Rumata. - Pan przecież był obecny przy tej rozmowie, don Sera! Pamiętam, pamiętam, don Tameo sypał dowcipami, a pan śmiał się do rozpuku, aż coś panu odleciało w garderobie...

Don Sera spurpurowiał i zaczął się gęsto, a niezdarnie tłumaczyć, kłamiąc przy tym jak z nut. Zdehumorowany don Tameo przypiął się do mocnego estorskiego, a że, jak sam oświadczył, "zaczął przedwczoraj z rana i ani rusz nie może przestać", musieli go po wyjściu z domu prowadzić z obu stron pod ramiona.

Dzień był pogodny, słoneczny. Pospółstwo tłoczyło się przed domami gapiąc się, na co tylko się dało, dzieciaki wrzeszcząc i piszcząc obrzucały się błotem, z okien wychylały się ładniutkie mieszczki w czepeczkach, ruchliwe jak frygi służebne strzelały w przelocie nieśmiałym oczkiem spod rzęs, toteż humory zaczęły się panom z wolna poprawiać. Don Sera bardzo zręcznym chwytem zwałił z nóg jakiegoś chłopca i omal nie umarł ze śmiechu obserwując, jak tamten tarza się w kałuży. Don Tameo, który odkrył nagle, że bandolet z mieczami założył tyłem do przodu, wykrzyknął "Stójcie!" i obracając się w kółko usiłował przekreślić się wewnątrz pasa. Z kamizeli don Sera znów coś odleciało. Rumata chwycił za różowe uszko przebiegającą obok służebną i poprosił, by pomogła don Tameowi. Wokół trzech szlachciców natychmiast zebrała się gromada gapiów dających służebnej rady, od których pąsowiała jak piwonia, a z kamizeli don Sera sypały się gradem klamerki, guziki i sprzączki. Gdy ruszyli dalej, don Tameo zaczął na cały głos wygłaszać uzupełnienie do swego raportu, wskazując w nim na konieczność "nie-zaliczania do stanu chłopskiego oraz pospółstwa prawdziwych ślicznotek płci żeńskiej". Nagle zagroził im całą szerokość ulicy wielki wóz naładowany garnkami. Don Sera obnażył obydwie miecze oświadczając, że nie przystoi szlachcicom obchodzić bokiem jakichś tam garnków i że utoruje sobie drogę na przełaj. Już się zaczął przymierzać usiłując rozróżnić, gdzie kończy się ściana domu i zaczynają garnki, ale Rumata zdążył temu zapobiec - chwycił wóz za koła i wykręcił oswobodzając przejście. Capie obserwujący z zachwytem tę scenę wrzasnęli mu trzykrotnie "wiwat". Równocześnie z okna na drugim piętrze wyjrzał gruby siwy sklepikarz i zaczął się rozwódzić nad wybrykami dworzan, na których "nasz niezrównany don Reba wkrótce znajdzie sposób". Wypadło więc zatrzymać się chwilę i posłać w to okno cały ładunek garnków. Do ostatniego garnka Rumata wrzucił dwie złote monety z profilem króla Pica Szóstego i wręczył to wszystko osłupiałemu właścicielowi wozu.

- Ile pan mu dał? - zapytał don Tameo, gdy ruszyli w dalszą drogę.
- Drobiazg - odparł niedbale Rumata. - Dwa dukaty.
- Na grzbiet świętego Miki!- wykrzyknął don Tameo. Pan jesteś bogaczem! Może pan kupi mego chamacharskiego ogiera?

- Wolę go wygrać od pana w kości.

- Racja! - rzekł don Sera zatrzymując się. - Dlaczego nie mielibyśmy zagrać w kości?

- Tu? - spytał Rumata.

- A czemu nie? Nie widzę przeszkód, aby trzej szlachetnie urodzeni nie mogli zagrać w kości tam, gdzie im się podoba!

Wtem don Tameo przewrócił się jak długi Don Sera potknął się o jego nogi i również upadł.

- Na śmierć zapomniałem - zawołał. - Mamy przecież objąć wartę. Najwyższy czas.

Rumata pomógł im wstać i prowadził podtrzymując za łokcie. Przed wielkim posepnym domem don Satariny zwolnił nagle kroku.

- Może wpadniemy na chwilę do starszego pana? - zapytał.

- Absolutnie nie widzę przeszkód, aby trzej szlachetnie urodzeni nie mogli wpaść do starego don Satariny - oświadczył don Sera.

Don Tameo otworzył oczy.

- Będąc w służbie królewskiej - obwieścił - winniśmy wszechstronnym wzrokiem ogarniać przyszłość. D-don Satarina i-to etap miniony. Naprzód panowie! Pilno mi na posterunek...

- Naprzód - zgodził się Rumata.

Don Tameo znów opuścił głowę na pierś i już więcej nie budził się z drzemki. Don Sera zaginając palce wyliczał swe miłosne podboje. W ten sposób dotarli do pałacu. Na wartowni Rumata z ulgą ułożył don Tamea na ławie, zaś don Sera rozsiadł się przy stole, niedbale odsunął plik rozkazów z podpisem królewskim i oświadczył, że najwyższy czas przepłukać gardło zimnym irukańskim. Niech gospodarz przytoczy beczkę - rozkazał - a te dzierlatki (skinął w stronę gwardzistów grających w karty przy drugim stole) niech się stąd wynoszą. Nadszedł dowódca warty, podporucznik kompanii gwardyjskiej. Długo i uważnie przypatrywał się don Tameowi i don Sera, a gdy ten ostatni zapytał go, "czemu wszystkie kwiaty powiędły w ogrodzie miłości tajemnej", zorientował się, że posyłać ich teraz na posterunek raczej nie warto. Niech sobie na razie poleżą.

Rumata przegrał do podporucznika dukata, pogawędził z nim o nowych przepisowych bandoletach oraz o sposobach ostrzenia mieczy. Wspomniał też mimochodem, że wybiera się do don Satariny, który posiada niezwykle zbiór zabytkowej broni, i zmartwił się bardzo

usłyszawszy, że czcigodny wielmoża całkiem znikował - miesiąc temu uwolnił swych jeńców, rozpuścił drużynę, a niesłuchanie bogaty arsenał narzędzi tortur przekazał bezpłatnie na rzecz państwa. Studwuletni starzec zamierzał resztę życia poświęcić dobrym uczynom, a więc z pewnością długo nie pociągnie.

Pożegnawszy się z oficerem Rumata opuścił pałac i udał się do portu. Szedł omijając kałuże, przeskakując wyboje pełne zapleśniałej wody, bezceremonialnie roztrącając zagapionych prostaczków, puszczając oko do dziewcząt, które najwyraźniej nie mogły się oprzeć jego urokowi, kłaniał się niesionym w lektykach damom, przyjaźnie witał się ze znajomymi dworzanami, udając przy tym, że nie dostrzega szarych szturmowców.

Nadłożył nieco drogi, by wstąpić do Szkoły Patriotycznej. Przed dworna lata założył ją własnym sumptem don Reba w celu kształcenia młodych kadr wojskowych i administracyjnych, wywodzących się z drobnej szlachty oraz sfer kupieckich. Był to nowoczesny gmach bez kolumn i płaskorzeźb, o grubych murach, wąskich oknach w kształcie otworów strzelniczych, z półokrągłymi wieżyczkami po obu stronach głównego wejścia. W razie potrzeby można tu było przetrwać dłuższy czas.

Rumata wszedł po wąskich schodach na pierwsze piętro i dzwoniąc ostrogami o kamienną posadzkę skierował się do gabinetu prokuratora szkoły. Z klas dolatywał szmer głosów, chóralne wykrzykiwanie tekstu: "Kto to jest król? Najjaśniejszy Pan. Kto to są ministrowie? Wierni, nie popadający w zwątpienie..." „I oto Bóg, stwórca nasz, rzekł: Wyklnę was. i wyklął..." "...A kiedy trąbka dwakroć zatrąbi, rozsypać się dwójkami jakby w tyralię, opuściwszy przy tym dzidy..." "...Gdy jednak torturowany traci przytomność, należy badanie niezwłocznie przerwać..."

- Ot, szkoła - myślał Rumata. - Gniazdo mądrości. Podstawa kultury.

Pchnął bez pukania niskie drzwi o łukowatym sklepieniu i wszedł do gabinetu, w którym panował półmrok i lodowaty piwniczny chłód. Zza ogromnego biurka, zavalonego stosami papierów i trzciny przeznaczonych do chłosty, wybiegł wysoki kanciasty mężczyzna z łysą głową i wpadniętymi oczami, noszący obcisły szary mundur z naszywkami Ministerstwa Ochrony Berła. Był to prokurator Szkoły Patriotycznej, wielce uczony ojciec Kin - sadystyczny morderca, późniejszy mnich, autor "Traktatu o donosie", który w swoim czasie wzbudził zainteresowanie don Reby. Rumata skinął niedbale głową w odpowiedzi na kwieciste powitanie i usiadł w fotelu zakładając nogę na nogę. Ojciec Kin stał nadal pochylony, w pozie pełnej szacunku.

- No, cóż nowego słyhać? - spytał Rumata łaskawie. - Jednych ludzi świątłych wyrzynamy, drugich produkujemy?

- Człowiek świątły nie jest wrogiem króla. - Ojciec Kin wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Wrogiem jest uczony-marzyciel, uczony, który zwątpił, uczony niewierzący! My zaś tu...

- Tak, tak - przerwał Rumata. - Wierzę. Co teraz piszesz? Czytałem twój traktat, pożyteczna książka, ale głupia. Jak ty mogłeś? Nieładnie, i to prokurator!...

- Nie starałem się nikogo olśnić mądrością - odparł z godnością ojciec Kin. - Przyświecał mi tylko jeden cel, aby to było z pożytkiem dla państwa. Mądrzy są nam niepotrzebni. Potrzebni są wierni, i my...

- Tak, tak - przerwał znów Rumata. - Wierzę. Piszesz więc coś nowego?

- Zamierzam właśnie złożyć do rozpatrzenia ministrowi rozprawę o nowym państwie, którego wzorcem jest dla mnie Obszar Świętego Zakonu.

- Co takiego? - zdziwił się Rumata. - Chcesz nas wszystkich zapędzić do klasztoru?...

Ojciec Kin zacisnął ręce i pochylił się.

- Pozwolę sobie wyjaśnić, szlachetny panie - rzekł zapalczywie, oblizując wargi - że chodzi tu o coś zupełnie innego! O podstawowe zasady nowego państwa. Są to zasady proste i jest ich tylko trzy - ślepa wiara w nieomylność ustaw, bezwzględne podporządkowanie się onym oraz wzajemna nieustanna obserwacja!

- Hm - rzekł Rumata. - A po co?

- Jak to "po co"?

- Głupi jesteś mimo wszystko. No dobrze, wierzę ci. Co to ja chciałem powiedzieć?... Aha! Jutro przyjmiesz dwóch nowych nauczycieli. Jeden z nich, ojciec Tarra, bardzo czcigodny starzec, jest biegły w tej... kosmografii. a drugi, brat Nanin, też człowiek biegły - w historii. To moi ludzie, więc przyjmij ich, jak należy. Oto zastaw. -Rumata rzucił z brzękiem no stół sakiewkę. - Z tego pięć dukatów dla ciebie... Wszystko jasne?

- Tak, szlachetny panie - odpowiedział ojciec Kin. Rumata ziewnął i rozejrzał się po gabinecie.

- To dobrze. Mój ojciec nie wiem dlaczego bardzo lubił ich obu i w swej ostatniej woli polecił mi urządzić im odpowiednie życie. Wytłumacz mi, mój mędrce, skąd w wielkim panu wzięło się takie upodobanie do uczonych?

- Może jakieś specjalne zasługi? - podsunął ojciec Kin.

- Co masz na myśli? - spytał podejrzliwie Rumata... - Chociaż... dlaczego nie? Tak... Była jakaś ładniutka córka czy siostra... Wina oczywiście nie masz?

Kin ze skrucną rozłożył ręce. Rumata wziął ze stołu arkusz papieru i przez chwilę trzymał go przed oczami.

- "Sprzyjanie..." - przeczytał. - Mądrale, ho, ho! - Upuścił papier na podłogę i wstał. - Pilnuj, by twoja uczona zgraja nie zrobiła im tu jakiej krzywdy. Wpadnę któregoś dnia i jeżeli się dowiem... - Podsunął Kinowi pięść pod nos. - No, dobrze już, dobrze, nie bój się...

Kin zachichotał z należytym szacunkiem. Rumata skinął mu głową i wyszedł rysując ostrogami podłogę.

Na ulicy Arcydziękczynienia wstąpił do sklepu z bronią, kupił nowe pierścienie do pochwy na miecze, wypróbował kilka kindżałów (rzucił nimi w ścianę, przymierzał do dłoni, ale nie spodobały mu się), następnie przysiadłszy się na ławie wdał się w pogawędkę z właścicielem, ojcem Haukiem. Hauk miał smutne, pocziwe oczy i małe, blade ręce upstrzone plamami z atramentu. Rumata podyskutował z nim chwilę o walorach wierszy Curena, wysłuchał interesującego komentarza do wersu: "Jako liść zwiędły opada na duszę...", poprosił Hauka o przeczytanie któregoś z najnowszych utworów własnych i powzdychawszy wraz z autorem nad niewypowiedziane smutnymi strofami, zadeklamował mu przed odejściem "Być albo nie być" w swoim przekładzie na język irukański.

- Święty Miko! - wykrzyknął rozpromieniony ojciec Hauk. - Czyje to wiersze?

- Moje - odpowiedział Rumata i wyszedł.

Wstąpił do "Szarej Radości", wypił szklanekę arkanarskiej kwaśnicy, uszczypnął w policzek oberżystkę, przewrócił, sprytnie zawadziwszy mieczem, stolik etatowego informatora wybałuszającego nań baranie oczy, następnie powędrował w najdalszy kąt lokalu i odszukał tam brodatego obszarpańca z kałamarzem zawieszonym na szyi.

- Witaj, bracie Nanin - powiedział. - Ile próśb napisałeś dzisiaj?

Brat Nanin odsłonił w nieśmiałym uśmiechu drobne zepsute zęby.

- Ludzie mało piszą teraz próśb, szlachetny panie. Jedni uważają je za bezcelowe, drudzy zaś liczą na to, że w najbliższym czasie wezmą sobie bez pozwolenia.

Rumata nachyliwszy się szepnął mu na ucho, że w Szkole Patriotycznej wszystko załatwione.

- Masz tu dwa dukaty - dodał na zakończenie. - Przyodziej się, doprowadź do

przyzwoitego wyglądu i bądź bardzo ostrożny... przynajmniej w pierwszych dniach. Ojciec Kin to człowiek niebezpieczny.

- Przeczytam mu mój "Traktat o pogłoskach" - rzekł wesoło brat Nanin. - Dziękuję, szlachetny panie.

- Czegóż się nie robi dla pamięci ojca! A teraz powiedz mi, gdzie mogę znaleźć ojca Tarre?

Nanin przestał się uśmiechać i z konsternacją zamrugał powiekami.

- Wczoraj wybuchła tu bijatyka - powiedział. - Ojciec Tarra wypił trochę za dużo. A poza tym jest przecież rudy... Złamali mu żebro.

Rumata chrząknął z irytacją.

- Ładna historia! I dlaczego wy tyle pijecie?

Chwilami nie sposób wytrzymać - odparł smutno Nanin.

- To prawda. No, trudno, masz tu jeszcze dwa dukaty. Pilnuj go.

Nanin schylił się szukając jego ręki. Rumata cofnął się.

- No, no - powiedział. - Nie jest to najlepszy z twoich żartów, bracie Nanin. Żegnaj.

* * *

W porcie cuchnęło jak nigdzie w Arkanarze. Słoną wodą, zatechłym mułem, przyprawami, smołą, dymem, zleżałą peklowiną, z tawern buchał odór czadu, smażonej ryby, skwaśniałego piwa. W dusznym powietrzu kłębiły się różnojęzyczne przekleństwa. Na molo, w ciasnych przejściach między składami, wokół tawern tłoczyły się tysiące ludzi o najbardziej osobliwym wyglądzie - rozchełstani marynarze, nadęci kupcy, rybacy z ponurymi twarzami, handlarze niewolników, handlarze kobiet, wymalowane dziewczki, pijani żołnierze, jakieś podejrzane, obwieszone bronią indywidua, fantastyczni oberwańcy ze złotymi bransoletami na brudnych łapach. Wszyscy byli podnieceni i wściekli. Z rozkazu don Reby już trzeci dzień żaden statek ani czółno nie mogły opuścić portu. U pomostów szarzy szturmowcy bawili się zardzewiałymi rzeźnickimi toporami, spluwali obrzucając tłum bezczelnym, złośliwym wzrokiem. Na zasekwestrowanych statkach siedzieli w kucki grupami po pięć, sześć osób miedzianoskórzy ludzie, odziani w skóry zwierzęce i miedziane kołpaki. Byli to najemnicy barbarzyńscy, nic nie warcili w walce wręcz, natomiast bardzo groźni na odległość z powodu swej broni - długachnych rurek wyrzucających zatrute kolce pod naporem sprężonego powietrza. A za lasem masztów na otwartej redzie czerniały w martwym bezwietrzu długie galery królewskiej

floty wojennej. Od czasu do czasu tryskały z nich czerwone strumienie ognia zmieszanego z dymem - to podpalano na postrach ropę naftową.

Rumata minął urząd celny, gdzie przed zamkniętymi drzwiami stała gromada posepnych wilków morskich, daremnie oczekujących na pozwolenie wyjścia w morze, przepchnął się przez krzykliwy tłum handlujący czym popadło (od niewolnic i czarnych pereł do narkotyków i tresowanych pajaków), wyszedł na molo spostrzegłszy kątem oka ułożone rzędem na widok publiczny rozdęte trupy w marynarskich bluzach, wreszcie opisał łuk przez zaśmiecone pustkowie i zapuścił się w cuchnące uliczki dzielnicy Portowej. W drzwiach nędznych spelunek drzemały półnagie dziewczki, na skrzyżowaniu ulic leżał twarzą w dół Pijany żołnierz z kieszeniami wywróconymi podszewką na wierzch, pod ścianami domów skradały się podejrzane typy o wybladłych twarzach.

Rumata znalazł się tu po raz pierwszy w biały dzień, toteż był początkowo zdziwiony, że jego osoba nie wzbudza zainteresowania - przechodnie spoglądali zapuchniętymi oczami gdzieś obok lub jak gdyby skroś niego, aczkolwiek ustępowali mu z drogi. Ale gdy skręcając w boczną ulicę obejrzał się przypadkowo, zdążył zauważyć, jak kilkanaście głów różnego kalibru, męskich i kobiecych, kudłatych i łysych, znika błyskawicznie w drzwiach, oknach i podsieniach. Dopiero wtedy uświadomił sobie dziwną atmosferę tego ohydneho miejsca, nie tyle wrogą czy niebezpieczną, ile pełną jakiejś niedobrej, wyrachowanej ciekawości.

Pchnął ramieniem drzwi i wszedł do jednej ze spelunek. W mrocznej salce drzemał za bufetem długonosy staruch z twarzą mumii. Przy stołach było pusto. Rumata podszedł cicho do bufetu i już miał wymierzyć staremu prztyczka w długi nos, gdy nagle spostrzegł, że tamten wcale nie śpi, lecz spod zmrużonych bezrzęsnych powiek uważnie mu się przygląda. Rumata rzucił na ladę srebrną monetę i oczy starucha natychmiast rozwarły się szeroko.

- Czym mogę służyć, szlachetny panie? - spytał rzeczowo. - Ziołami? Tabaką? Ślicznotką?

- Nie udawaj - odpowiedział Rumata. - Wiesz dobrze, po co tu przychodzę.

- Oo, ależ to don Rumata! - wykrzyknął staruch z niezwykleym zdumieniem. - Właśnie tak patrzę, coś mi znajomego...

Wyrzekłszy te słowa, znów przymknął powieki. Sprawa była jasna. Rumata okrążył bufet i przez wąskie drzwi wsunął się do sąsiedniego pokoju. Ciasno tu było i ciemno, w powietrzu stał kwaśny, śmierdzący zaduch. Pośrodku za wysokim kantorkiem pochylał się nad papierami

starszy pomarszczony człowiek w płaskiej czarnej mycce. Na kantorku migotał kaganek, w półmroku ledwie majaczyły twarze ludzi siedzących nieruchomo pod ścianami. Rumata przytrzymując miecze również namacał stołek pod ścianą i usiadł. Obowiązywały tu swoiste prawa i swoista etykieta. Nikt nie zwrócił uwagi na wchodzącego - skoro ktoś przyszedł, to znaczy, że tak być powinno, a jeśli nie powinno, wystarczy jedno mrugnięcie okiem i już po nim. Szukaj wiatru w polu... Pomarszczony mężczyzna skrzybiał gorliwie piórem, ludzie pod ścianami tkwili nieruchomo. Tylko od czasu do czasu któryś wydawał przeciągłe westchnienie. Po ścianach biegały z leciutkim stukotem niewidoczne jaszczurki muchołówki.

Nieruchomi ludzie byli hersztami band - niektórych Rumata od dawna znał osobiście. Owe tępe zwierzęta same przez się niewielką przedstawiały wartość. Ich psychika nie różniła się niczym od psychiki przeciętnego sklepikarza. Byli prymitywni, okrutni, no i doskonale władali nożem oraz krótką maczugą. A ten człowiek przy kantorku...

Nazywał się Waga Koło i był wszechwładnym, nie mającym konkurentów wodzem wszystkich przestępczych sił na terenach za Cieśniną - od Bagien Pitańskich na zachodzie Irukanu aż po granice morskie handlowej republiki Soan. Był wyklęty przez trzy oficjalne kościoły Imperium za nadmierną pychę, albowiem mienił się młodszym bratem osób panujących. Rozporządzał nocną armią, liczącą blisko dziesięć tysięcy ludzi, bogactwem idącym w setki tysięcy dukatów, a jego agentury przenikały w najtajniejsze ogniwa aparatu państwowego. W ciągu ostatnich dwudziestu lat był czterokrotnie tracony, za każdym razem wobec wielkiego zbiegowiska ludzi. Według oficjalnej wersji, znajdował się w trzech najbardziej ponurych katowniach Irukanu równocześnie, a don Reba wydał kilka dekretów "odnośnie karygodnego rozsiewania przez przestępców politycznych oraz innych złoczyńców legend o osobniku zwanym Waga Koło, w rzeczywistości nie istniejącym, a więc mitycznym". Tenże don Reba wzywał ponoć do siebie baronów dysponujących silnymi drużynami, proponując im pięćset dukatów nagrody za Wagę martwego lub siedem tysięcy dukatów za dostarczenie go żywcem. W swoim czasie wiele zachodu kosztowało Rumatę nawiązanie kontaktu z tym człowiekiem. Waga budził w nim niesłychaną odrazę, czasem jednak bywał nad wyraz użyteczny, wprost niezastąpiony. Poza tym interesował Rumatę z naukowego punktu widzenia. Stanowił jeden z najciekawszych okazów w jego kolekcji średniowiecznych monstrów, był osobnikiem nie Posiadającym chyba żadnej genealogii...

Waga odłożył na koniec pióro, wyprostował się i przemówił skrzypiącym głosem:

- No więc tak, dzieci moje. Dwa i pół tysiąca dukatów w ciągu trzech dni. A rozchody wyniosły tylko tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt sześć. Pięćset cztery małe okrągłutkie dukaty dla nas. Przez trzy dni - nieźle, dzieci moje, nieźle..

Nikt się nie poruszył. Waga odszedł od kantorka, usiadł w kącie i mocno zatarł suche dłonie.

- Mam dla was radosną wiadomość, dzieci moje - powiedział. - Idą dobre czasy, czasy obfitości... Ale trzeba będzie się napracować. Och, i jak jeszcze! Mój starszy brat, król Arkanaru, postanowił wytepić wszystkich uczonych ludzi w naszym wspólnym królestwie. No cóż, on wie lepiej. Zresztą nie nam roztrząsać jego najjaśniejsze decyzje. Niemniej korzyść z owych decyzji wyciągnąć można i należy. Jako wierni poddani króla oddamy mu przysługę. A jako poddani nocni, uskubniemy przy tej okazji coś niecoś i dla siebie. On tego nie zauważy i nie będzie gniewać się na nas. Prawda?

Milczenie.

- Wydało mi się, że Piga westchnął. A może się mylę, synku?

W mroku ktoś się gwałtownie poruszył, odchrząknął. - Ja nie wzdychałem, Wago - odezwał się gruby głos. - Skądże, jak możesz...

- Bardzo słusznie, Piga, nie wolno! Nie wolno! Powinniście teraz wszyscy wysłuchać mnie z zapartym tchem. Rozejdziecie się stąd, przystąpicie niebawem do ciężkiej pracy i wtedy nie będzie nikogo, kto by wam doradził. Otóż mój starszy brat, Jego Królewska Mość, obiecał przez usta swego ministra, don Reby, niemałe pieniądze za głowy niektórych zbiegłych i ukrywających się uczonych mężów. Musimy dostarczyć mu te głowy, sprawić radość staremu władcy. Z drugiej strony jednak niektórzy uczeni mężowie pragną ukryć się przed gniewem mego starszego brata i nie pożałują na to swych zasobów. W imię miłosierdzia, jak też chcąc uchronić sumienie mego starszego brata od ciężaru zbyt licznych zbrodni pomożemy owym ludziom. Później zresztą Najjaśniejszy Pan otrzyma te głowy, o ile mu będą potrzebne. Tanio całkiem za bezcen...

Umilkł i spuścił głowę. Po jego policzkach zaczęły nagle płynąć powolne, starcze łzy.

- Starzeję się już, dzieci moje - zaszlochał - Ręce mi drżą, nogi uginają się pode mną i pamięć zaczyna nie dopisywać. Zapomniałem przecież, na śmierć zapomniałem, że wśród nas, w tej ciasnej i dusznej klitce, znajduje się możny pan, którego nic a nic nie obchodzą nasze groszowe rachunki. Odejde. Odejde, dzieci moje, na odpoczynek. Ale póki co, przepróśmy

szlachetnego pana...

Wstał i postępując zgiął się w niskim ukłonie. Tamci również podnieśli się i skłonili, z widoczną jednak niepewnością, nawet przestraszonym. Rumata dosłownie słyszał, jak trzeszczą ich tępe, prymitywne mózgi, na próżno usiłując nadażyć za sensem słów i poczynań tego zgarbionego starca.

A sprawa tymczasem była prosta: rozbójnik skorzystał z dodatkowej szansy, aby przemycić do wiadomości don Reby, iż nocna armia będzie w obecnym pogromie działać ręką w rękę z szarymi. Teraz jednak, gdy nadeszła pora konkretnych wskazówek, gdy trzeba było wymieniać nazwy oraz terminy operacji, obecność Rumaty stawała się, delikatnie mówiąc, uciążliwa. Powinien był więc czym prędzej wyłożyć, co go tu sprowadza, i zniknąć stąd. Ponury staruch. Straszny, I co on robi w mieście? Waga przecież nie znosi miasta.

- Masz rację, czcigodny Wago - powiedział. - Spieszno mi bardzo. Przepraszam jednak winieniem ja, gdyż zabieram ci czas w sprawie zupełnie bagatelnej. - Siedział dalej, tamci zaś słuchali go stojąc. - Tak się złożyło, że potrzebna mi twoja rada... Możesz usiąść.

Waga uklonił się raz jeszcze i usiadł.

- Otóż - ciągnął Rumata - trzy dni temu miałem się spotkać na Uroczysku Ciężkich Mieczów z moim przyjacielem, pewnym szlachcicem z Irukanu. Ale do spotkania nie doszło, ponieważ ów szlachcic zniknął. Wiem dobrze, że granicę irukańską przekroczył szczęśliwie. Może coś wiesz o jego dalszych losach?

Wago długo nie odpowiadał. Bandyty sapali i wzdychali. Wreszcie stary odchrząknął:

- Nie, szlachetny panie. Nic nam o tej sprawie niewiadomo.

Rumata wstał niezwłocznie.

- Dziękuję ci, czcigodny. - Wyszedł na środek pokoju i położył na kantorku sakiewkę z dziesięcioma dukatami. - Zostawiam to z prośbą: gdybyś się czegoś dowiedział, daj znać. - Dotknął kapelusza. - Żegnaj.

Przy drzwiach zatrzymał się i rzucił niedbale przez ramię:

- Wspomniałeś tu o uczonych mężach. Przyszła mi do głowy pewna myśl. Czuję, że dzięki staraniom króla już po miesiącu nie uświadczysz w Arkanarze ani jednego uczonego z prawdziwego zdarzenia. Ja zaś muszę ufundować w metropolii uniwersytet, ślubowałem to za uleczenie mnie z czarnej zarazy. Bądź tak dobry i jak ich wyłapiesz, zawiadom najpierw mnie, a dopiero później don Rebę. Możliwe, że wybiorę paru dla potrzeb uniwersytetu.

- To będzie drogo kosztowało - zastrzegł słodkim głosem Waga. - Towar atrakcyjny, długo nie poleży.

- Honor droższy - odparł wyniośle Rumata i wyszedł.

ROZDZIAŁ III

Ciekawe - myślał Rumata - jak by to było, gdyby tak schwytać tego Wagę i wywieźć na Ziemię? Technicznie rzecz niezbyt skomplikowana. Można by to zrobić na przykład teraz. Jak by też poczynił sobie na Ziemi? Rumata spróbował wyobrazić sobie zachowanie Wagi. Do jasnego, klimatyzowanego pokoju o lustrzanych ścianach, pełnego zapachu igliwia lub morza, wrzucono olbrzymiego włochatego pająka. Pająk przywarł do lśniącej posadzki, konwulsyjnie powiódł dokoła złymi oczkami - i cóż zrobił? Boczkciem, chyłkiem uciekł w najciemniejszy kąt, zaszył się w nim, złowrogo wystawiając jadowite szczęko-czułki. Waga, rzecz jasna, zaczęłyby przede wszystkim szukać niezadowolonych, I, rzecz jasna, najgłupszy z nich wydałby mu się zbyt czysty i nie nadający się do wykorzystania. Chybaby się stary rozchorował. Może nawet umarł. A zresztą, kto go tam wie. To właśnie najgorsze, że psychologia takich potworów jest jak najciemniejszy las. Święty Miko! Dużo trudniej zorientować się w niej niż w psychologii cywilizacji pozaziemskich. Zachowanie się potworów można wyjaśnić, lecz diabelnie trudno je przewidzieć. Tak, możliwe, że umarłby z nudów. Ale możliwe też, że po pewnym czasie adaptowałby się, zaczęłyby kalkulować, co i jak, i w końcu zostałby leśniczym w jakimś rezerwacie. Niepodobna przecież, by nie miał bodaj malutkiej, całkiem nieszkodliwej pasji, która tutaj mu tylko przeszkadza, a tam mogłaby stać się treścią jego życia. Zdaje się, że on lubi koty. Podobno w swojej norze ma ich całe stado, przydzielił specjalnego człowieka do opieki nad nimi. I nawet go opłaca, mimo że jest skąpy i mógłby mu zwyczajnie przygrozić. Ale co począłby na Ziemi ze swą potworną żądzą władzy - nie wiadomo!

Rumata zatrzymał się przed tawerną i już miał wejść do środka, gdy nagle odkrył brak sakiewki. Stał przed wejściem zupełnie zdezorientowany (w żaden sposób nie mógł się oswoić z podobnymi faktami, choć spotkało go to nie pierwszy raz) i długo szperał po wszystkich kieszeniach. Miał przy sobie tylko trzy woreczki po dziesięć dukatów w każdym. Jeden otrzymał prokurator, ojciec Kin, drugi dał Wadze. Trzeci zniknął. Kieszenie były puste, zniknął również kindżał u pasa, a z lewej nogawki odcięto równiutko wszystkie złote sprzączki.

Wtem zauważył, że nie opodal zatrzymali się dwaj szturmowcy i przyglądają mu się szczerząc zęby. Pracownik Instytutu powinien to zignorować, lecz w szlachcicu, don Rumacie Estorskim, zawrzała krew. Ruszył ku nim, bezwiednie podnosząc zaciśniętą pięść. Twarz miał widocznie bardzo zmienioną, gdyż szyderycy cofnęli się z zastygłym jak u paralityków uśmiechem i czym prędzej wpadli do tawerny.

I wówczas Rumatę ogarnął strach. Raz tylko w życiu doświadczył podobnego uczucia, gdy jeszcze jako pilot zmianowy normalnie kursującego gwiazdolotu uległ atakowi malarii. Nie wiadomo skąd się wzięła ta choroba, zresztą już po dwóch godzinach wyleczono go śmiejąc się i przygadując z wesołym zdziwieniem, Rumata jednak nigdy nie zapomniał wstrząsu, jakiego on, człowiek absolutnie zdrowy, nigdy nie chorujący, doznał na myśl, że coś się w nim rozprzęgło, że poniósł jakiś uszczerbek w pewnym sensie utracił władzę nad swoim ciałem.

Przecież nie chciałem tego, rozmyślał. Ani mi to w głowie powstało. W końcu oni nic takiego nie robili, no, po prostu stali, szczyrzyli zęby... Bardzo głupio szczyrzyli, ale ja też chyba nie miałem najmądrzejszej miny, gdy szperałem gorączkowo po kieszeniach. Przecież omal ich nie zasiekłem, uświadomił sobie nagle. Gdyby nie zwiali, to-bym zasiekł. Ciarki go przeszły, gdy wspomniał wygrany niedawno zakład - jednym ciosem miecza rozrąbał od góry do dołu kukłę odzianą w podwójny pancerz soański... Ci dwaj leżeliby teraz jak świńskie tusze, a ja stałbym bezradny z mieczem w ręku... Dobry Boże! Rozjuszylem się jak bestia...

Poczuł nagle ból we wszystkich mięśniach, jak po ciężkiej pracy fizycznej. No, no, spokojnie, tłumaczył sam sobie. Nic strasznego. To już minęło. Zwyczajny wybuch. Chwilowy wybuch i wszystko wróciło do normy. Bądź co bądź jestem tylko człowiekiem i zwierzęce reakcje nie są mi obce... Po prostu nerwy. Nerwy i napięcie ostatnich dni... A co najgorsze - świadomość nadciągającego cienia. Nie wiadomo, czyj to cień, nie wiadomo skąd, nadpełza jednak powoli i nieuchronnie...

Tę nieuchronność wyczuwało się we wszystkim, I w tym, że szturmowcy, którzy niedawno jeszcze gnieździli się tchórzliwie w koszarach, teraz spacerowali z obnażonymi toporami środkiem ulic, gdzie dotychczas wolno było chodzić jedynie szlachcom, I w tym, że mieszkańcy miasta przestali śpiewać kuplety o treści politycznej, stali się nad wyraz poważni, przy czym bezbłędnie wiedzieli, co jest dla dobra państwa konieczne. I w tym, że nagle i z nie wyjaśnionych przyczyn zamknięto port. I w tym, że "wzburzony lud" porozbijał i spalił wszystkie antykwarenki, jedyne miejsca w królestwie, gdzie można było dostać rzeczy unikalne, kupić lub wypożyczyć książki lub rękopisy we wszystkich językach Imperium, a także starożytnych, dziś już umarłych językach Aborygenów zamieszkujących kraj za Cieśniną, I w tym, że ozdoba miasta, błyszcząca wieża Obserwatorium Astrologicznego, sterczała teraz jak czarny spróchniały ząb na tle błękitnego nieba, strawiona "przypadkowym pożarem", I w tym, że spożycie alkoholu przez ostatnie dwa lata wzrosło czterokrotnie - w Arkanarze, który i tak od niepamiętnych

czasów słynął z niepohamowanego pijaństwa. I w tym, że zastraszeni i udręczeni wieśniacy zaryli się na dobre pod ziemię w swoich Wonnościach, Rajskich Przybytkach i Pocałunkach Wiatru, nie mając odwagi wyjść z ziemianek nawet do niezbędnych robót polowych, I wreszcie w tym, że stary sęp Waga Koło przeniósł się do miasta, wietrząc niecodzienny żer... Gdzieś w głębiach pałacu, w luksusowych apartamentach, gdzie podagryczny król, syn własnego pradziada, od lat dwudziestu nie oglądający słońca ze strachu przed własnym cieniem, podpisuje z kretyńskim chichotem jeden po drugim ohydne dekryty skazujące na śmierć męczeńską ludzi najuczciwszych i najczarniejszych - wzbierał potworny wrzód i pęknięcia tego wrzodu należało się spodziewać lada dzień...

Rumata pośliznął się na rozgniecionej dyni i podniósł głowę. Znajdował się na ulicy Arcydziękczynienia, w królestwie solidnych kupców, bankierów, wekslarzy oraz mistrzów sztuki jubilerskiej. Po obu stronach wznosiły się stare, solidne domy ze sklepami i magazynami, chodniki były tu szerokie, a jezdnia wyłożona granitową kostką. Zazwyczaj spotykało się tu szlachtę i to co możniejszą, teraz jednak walił w kierunku Rumaty gęsty tłum rozgorączkowanego pospólstwa. Wymijano go ostrożnie, rzucając mu uniżone spojrzenia, wielu kłaniało się na wszelki wypadek. W oknach górnych pięter majaczyły tłuste gęby, na których malowało się zaciekawienie. Z daleka dolatywały rozkazujące okrzyki: "Przechodźcie dalej. Rozejść się!... Prędziej!..." W tłumie wymieniano uwagi:

- Tacy to najgorsze zło, bać się ich trzeba jak morowej zarazy. Z pozorów cisi, grzeczni, solidni kupcy, a w środku jad siedzi.

- Ależ oni go... niech to diabli!... Niejedno już widziałem, ale wiesz, niedobrze mi się zrobiło...

- Co tam dla nich,.. Twarde chłopaki! Aż się serce raduje. Oni nie zdradzą.

- A może powinno się inaczej? To jednak człowiek, żywe stworzenie... Zgrzeszył, to prawda, więc go ukarać, Pouczyć, ale dlaczego tak...

- Przestań już!... A przede wszystkim mów ciszej, dokoła Pełno ludzi...

- Panie, hej, panie! Jest piękne sukno, towar jak złoto, targować się nie będą, oddadzą, tylko ich dobrze nacisnąć... Ale pośpieszyć się trzeba, bo znów subiekci PQ. kina sprzątną nam sprzed nosa...

- Grunt, żebyś nie wątpił synku. Wierz mi, to najważniejsze. Jeżeli władza tak postępuje, to znaczy, że wie, co robi.

Znów kogoś zabił, pomyślał Rumata. Chciał skrócić i ominąć to miejsce, skąd płynął tłum i dobiegały rozkazy. Nie skrócił jednak. Powiódł tylko ręką po włosach odsuwając z czoła kosmyk, aby nie zakrywał kamienia pośrodku złotej obręczy. Kamień nie był klejnotem, lecz obiektywem nadajnika telewizyjnego, a złota obręcz -radiostacją. Historycy na Ziemi widzieli i słyszeli wszystko, co widziało i słyszało dwustu pięćdziesięciu zwiadowców na dziesięciu kontynentach planety, i dlatego obowiązkiem zwiadowców było patrzeć i słuchać.

Rumata podniósł wysoko głowę i trzymając miecze w ten sposób, by nikt nie mógł się o niego otrzeć, ruszył środkiem jezdni na wprost zbliżającego się tłumy, a ludzie pospiesznie usuwali mu się z drogi. Czterech krępych tragarzy o wymalowanych gębach przeszło na drugą stronę ulicy, niosąc srebrzystą lektykę. Zza firanek wyjrzała piękna chłodna twarzyczka i oczy z uczernionymi rzęsami. Rumata zerwał kapelusz i skłonił się dwornie. Była to donna Okana, najnowsza faworyta arkanarskiego orła, don Reby. Spozrzegłszy znakomitego kawalera, uśmiechnęła się do niego tęsknie i obiecująco. Można by bez większego namysłu wymienić co najmniej dwudziestu szlachetnie urodzonych, którzy po zaszczyceniu ich takim uśmiechem pobiegliby w te pędy do swych żon i kochanek z radosną nowiną: "Teraz niech się inni mają na bacności, teraz dopiero kupię ich i sprzedam, porachuję się z nimi za wszystko!..." Takie uśmiechy to rzecz wyjątkowa, a niekiedy bezcenna. Rumata zatrzymał się odprowadzając wzrokiem lektykę. Trzeba się zdecydować, pomyślał. Trzeba się wreszcie zdecydować... Wstrząsnął się na myśl, ile to będzie go kosztowało. A jednak musi! Musi... Trudno, innego wyjścia nie ma... Dziś wieczorem. Zrównał się ze sklepem, w którym był niedawno, oglądał kindżały, słuchał wierszy. Ach, więc to tak... Więc to na ciebie przyszła kolej, zacny ojciec Hauk...

Tłum już się rozproszył. Drzwi sklepu były wyrwane z zawiasów, okna powybijane. W progu stał oparty nogą o futrynę potężnego wzrostu szturmowiec w szarej koszuli. Drugi, znacznie węższy, siedział w kucki pod ścianą. Wiatr rozrzucał po jezdni zmięte zapisane arkusze papieru.

Dryblas włożył palec do ust, ssał przez chwilę, potem wyjął go i uważnie obejrzał. Palec był zakrwawiony. Pochwyciwszy wzrok Rumaty, szturmowiec rzucił niedbale zwracając się do koleżki:

- Gryzie, ścierwo, jak ten twój śmierdzący tchórz... Drugi szturmowiec skwapliwie zachichotał. Taki cherlawy, błądy smarkacz z pryszczatą gębą, niezbyt pewny siebie, od razu

widać, że nowicjusz, mała gadzina, szczeniak...

- Co tu się stało? - spytał Rumata

- Wykurzyliśmy jednego mola książkowego, co się tu chował - odpowiedział nerwowo szczeniak.

Dryblas znów zaczął ssać palec nie zmieniając pozy.

- Ba-a-czość! - zawołał półgłosem Rumata. Szczeniak zerwał się co żywo i podniósł topór. Dryblas zastanawiał się chwilę, w końcu opuścił nogę i stanął względnie wyprostowany.

- A co to za jeden? - pytał dalej Rumata.

- Skąd mogę wiedzieć - odparł szczeniak. - Z rozkazu ojca Cupika ..

- No i jak? Złapaliście go?

- Tak jest! Złapaliśmy!

- To dobrze - powiedział Rumata. Rzeczywiście sprawa przedstawiała się nie najgorzej. Zostało jeszcze trochę czasu. Nie ma nic droższego ponad czas, myślał Rumata. Godzina ma wartość życia, dzień jest bezcenny.

- I co z nim? Do Wieży?

- Hę? - szczeniak stropił się nieco.- Pytam, czy siedzi w Wieży.

Na przyszczatym pyszczku rozlał się niepewny uśmiech. Drągał zarechotał. Rumata szybko odwrócił głowę. Po Drugiej stronie ulicy na poprzecznej belce bramy wisiał niby wór ze szmatami trup ojca Hauka. Gromadka oberwanych malców na podwórku przyglądała mu się z otwartymi ustami.

- Teraz nie każdego wsadza się do Wieży - rzucił znów niedbale drągał za plecami Rumaty. - Teraz u nas piorunem. Pętla za ucho i jazda na spacer...

Szczeniak zachichotał. Rumata odwrócił się i spojrział na niego ślepym wzrokiem, po czym z wolna przeszedł na drugą stronę ulicy. Twarz smutnego poety była czarna i obca. Rumata spuścił oczy. Tylko ręce były znajome, długie wątłe palce, poplamione atramentem...

Dziś z życia się nie odchodzi,

Dziś wrywają cię z życia.

I jeśli nawet ktokolwiek

Pragnąłby temu położyć kres,

Bezsilny i nieporadny.

Opuści ręce nie wiedząc,

Gdzie serce ma ośmiornica

I czy to serce w ogóle jest...

Rumata westchnął i odszedł z tego miejsca. Poczciwy, słaby Hauk... Ośmiornica ma serce, I wiemy, gdzie jest umieszczone. To właśnie najstraszniejsze, mój cichy, bezradny przyjacielu. Wiemy, gdzie jest i nie możemy go przebić bez rozlewu krwi tysięcy ludzi zastraszonych, otumanionych, ślepych, nie miotanych żadnymi wątpliwościami. A jest tak dużo, rozpaczliwie dużo tych ciemnych, samotnych, rozjuszonych wieczną niewdzięczną harówką, poniżonych, niezdolnych jeszcze wznieść się ponad przyziemną myśl o dodatkowym miedziaku... Nie można ich jeszcze uświadomić, zespolić, pokierować nimi, ocalić od samych siebie. Za wcześnie, o całe stulecia za wcześnie wezbrała w Arkanarze szara topiel, jeszcze nie napotka ona tamy, więc pozostaje tylko jedno: ratować tych niewielu, których na razie zdąży się uratować - Budacha, Tarrę, Nanina, może jeszcze dziesięciu, jeszcze dwudziestu...

Sama jednak myśl o tym, że tysiące innych, choćby nawet mniej utalentowanych, lecz równie uczciwych, naprawdę szlachetnych ludzi jest skazanych na zgubę, przejmowała lodowatym chłodem i poczuciem własnej podłości. Chwilami poczucie to stawało się tak dominujące, że zmysły Rumaty zaczynały się mącić widział jak na jawie plecy szarej hałustry oświetlone liliowymi płomieniami strzałów, wykrzywioną zwierzęcym strachem twarz don Reby, zwykle taką zamkniętą i nijaką, z wolna walącą się w gruzy Wesołą Wieżę. O tak, to byłaby rozkosz. Prawdziwe działanie. Prawdziwe makroskopijne zwycięstwo. Ale później... Oni tam w Instytucie z pewnością mają rację. Później rzeczy przybrałyby nieunikniony obrót. Krwawy chaos w kraju. Nocna armia Wagi wychodząca z ukrycia, dziesięć tysięcy zbirów wyklętych przez wszystkie kościoły, gwałcicieli, wykolejeńców, morderców. Hordy miedzianoskórych barbarzyńców spadające z gór i unicestwiający wszystko co żywe, od niemowląt do starców. Niezliczone tłumy oślepych z przerażenia mieszkańców wsi i miast uciekających w góry, w lasy, na pustynie, I twoi stronnicy, weseli, odważni ludzie - rozpruwający sobie nawzajem brzuchy w okrutnej walce o władzę, o prawo zawładnięcia kaemem po twej niechybnie gwałtownej śmierci... I ta absurdałna śmierć - w czarze wina podanej ręką przyjaciela, lub od strzały, która świśnie gdzieś zza portiery i utkwi w twoich plecach, I skamieniała twarz tego, który będzie przysłany z Ziemi na twoje miejsce i zostanie kraj wyludniony, tonący we krwi, w którym wszystko, ale to wszystko przyjdzie zaczynać od nowa...

Gdy Rumata pchnął drzwi swego domu i wszedł do wspaniałego, nieco nadszarpniętego

zębem czasu hollu, był posepny jak chmura gradowa. Muga, siwy zgarbiony służący z czterdziestoletnim stażem lokajskim, skulił się na jego widok i tylko patrzył z głową wsuniętą w ramiona, jak młody pan zrywa gniewnie kapelusz, płaszcz i rękawice, ciska na ławę bandolety i idzie na górę do swych pokoi. W salonie czekał na Rumatę mały Uno.

- Każ podawać obiad - warknął Rumata. - Do gabinetu.

Chłopak nie ruszał się z miejsca.

- Czekają tam na pana - oznajmił ponuro.

- Kto taki?

- Jakaś dziewczyna. A może i donna. Z zachowania jakby dziewczyna, taka swojska i milutka, ale ubrana po Pańsku... Ładna.

Kira, pomyślał Rumata z tkliwością i ulgą. Och, co za szczęście! Jak ona wyczuła, maleńka moja... Stał chwilę z zamkniętymi oczami, zbierając myśli.

- Mam ją przepędzić? - spytał rzeczowo chłopak.

- Cymbał jesteś. Ja ci przepędzę!... Gdzie ona jest?

- Ano w gabinecie - coś na kształt uśmiechu złagodziło twarz Una.

Rumata szybkim krokiem skierował się do gabinetu.

- Obiad na dwie osoby - rzucił w przelocie. - I pamiętaj, żeby nie wpuszczać nikogo! Nawet króla, nawet diabła, nawet samego don Reby...

Była w gabinecie, siedziała z podwiniętymi nogami w fotelu i wsparłszy głowę na piastce przebiegała roztargnionym wzrokiem "Traktat o pogłoskach". Kiedy wszedł, zerwała się, lecz on nie pozwolił jej wstać, podbiegł, objął ją i zanurzywszy twarz w przepysznych pachnących włosach, mruzczał: "O, jak to dobrze, że przysłaś, Kiro. Jak to dobrze!..."

Nie wyróżniała się niczym szczególnym. Osiemnastoletnie dziewczątka, jakich wiele, z zadartym noskiem. Ojciec jej był pomocnikiem skryby sądowego, brat sierżantem szarej armii. Do małżeństwa z nią nie kwapiono się zbyt, gdyż była ruda, a rude nie miały w Arkanarze powodzenia. Z tego też powodu była niezwykle cicha i nieśmiała, zgoła niepodobna do owych krzykliwych pulchnych mieszczek, cieszących się takim wzięciem u mężczyzn wszystkich stanów. Ani do zmysłowych dworskich piękności, które zbyt wcześnie i dokładnie poznały, na czym polega sens doli kobiecej. Ale kochać umiała tak, jak kochają dziś na Ziemi - spokojnie, bez oglądania się na nic...

- Czemu płakałaś?

- A ty, czemu jesteś taki zły?
 - Najpierw powiedz, dlaczego płakałaś?
 - Później ci powiem. Oczy masz takie strasznie zmęczone... Co się stało?
 - Później. Kto cię skrzywdził?
 - Nikt mnie nie skrzywdził. Zabierz mnie stąd.
 - Na pewno zabiorę.
 - Dokąd wyjedziemy?
 - Nie wiem, maleńka. Ale wyjedziemy na pewno.
 - Daleko?
 - Bardzo daleko.
 - Do metropolii?
 - Tak... do metropolii. Do mnie.
 - Dobrze tam jest?
 - Nad podziw dobrze. Nikt tam nigdy nie płacze.
 - To niemożliwe.
 - No tak, oczywiście. To niemożliwe. Ale ty nigdy nie będziesz płakała.
 - A ludzie jacy są?
 - Tacy jak ja.
 - Wszyscy?
 - Nie wszyscy. Są o wiele lepsi.
 - Nie, to już zupełnie niemożliwe.
 - Właśnie jest możliwe!
 - Dlaczego tobie wierzy się tak łatwo? Ojciec nie wierzy nikomu. Brat mówi, że wszyscy są świnię, tyle że jedni brudne, a drudzy nie. Nie wierzę im, tobie wierzę zawsze...
 - Kocham cię...
 - Zaczekaj... Najmilszy... Zdejmij obręcz... Mówiłaś, że to grzech...
- Rumata wybuchnął szczęśliwym śmiechem, ściągnął z głowy obręcz, położył ją na stole i nakrył książką.
- To jest oko boga - powiedział. - Niechaj się zamknie... - Wziął ją na ręce. - Wielki grzech, ale gdy jestem z tobą, bóg mi nie jest potrzebny. Prawda?
 - Prawda - szepnęła.

Gdy zasiedli do stołu, pieczone już wystygło, a wino przyniesione z piwnicy było ciepławe. Zjawił się Uno i stając bezszelestnie, jak uczył go stary Muga, zapalał na ścianach kaganki, mimo że było jeszcze widno.

- To twój niewolnik? - spytała Kira.

- Nie, on jest wolnego stanu. Bardzo dobry chłopak, tylko okropne skąpiradło.

- Pieniądze lubią, jak się je szanuje - zauważył Uno nie odwracając głowy.

- Więc nie kupiłeś nowych prześcieradeł?

- A po co? Stare jeszcze ujdą...

- Posłuchaj, Uno - rzekł Rumata. - Ja nie mogę przez okrągły miesiąc spać na tych samych prześcieradłach.

- Ehe - mruknął chłopak. - Jego Królewska Mość po pół roku sypiają i też się nie skarży...

- A oliwa - spytał Rumata mrugając do Kiry - oliwa do kaganków? Dostajesz ją za darmo?

Uno zatrzymał się.

- Przecież pan ma gości - oświadczył rezolutnie po krótkim namyśle.

- Widzisz, jaki mądrała! - zawołał Rumata.

- On jest dobry - rzekła Kira z powagą. - I lubi cię. Weźmy go z sobą.

- Zobaczymy.

Uno spytał podejrzliwie:

- Dokąd znów? Ja nigdzie nie pojadę.

- Pojedziemy tam - tłumaczyła Kira - gdzie wszyscy ludzie są tacy, jak don Rumata.

Chłopak zastanowił się chwilę, po czym mruknął: "Chyba do raju dla jaśnie państwa?"... Parsknął drwiąco i wyniósł się z gabinetu szurając rozczłapanymi butami. Kira patrzyła za nim.

- Miły dzieciak - powiedziała. - Naburmuszony jak niedźwiadek. Dobrego masz w nim przyjaciela

- Wszyscy moi przyjaciele są dobrzy.

- A baron Pampa?

- Skąd ty go znasz?

- Przecież bez przerwy o nim "powiadasz. Ciągłe tylko słyszę - baron Pampa i baron Pampa.

- Bo to świetny towarzysz.

- Śmieszne, baron i towarzyszu?

- Zaczny człowiek, to miałem na myśli. Dobry i wesoły, I bardzo kocha swoją żonę.

- Chciałabym go poznać... A może krępuje cię moja osoba?

- Nie, cóż znowu. Tylko, widzisz, on wprawdzie jest zacnym człowiekiem, ale zawsze to baron.

- A... - powiedziała. Rumata odsunął talerz.

- Powiedz mi teraz, dlaczego płakałaś, I przybiegłaś tu sama. Czy to rozsądnie w obecnych czasach biegać samej po mieście?

- Nie mogłam wytrzymać w domu. Ja tam nie wrócę. Pozwól mi zostać i służyć ci, dobrze? Za darmo.

Rumata roześmiał się mimo nagłego ściśnięcia krtani.

- Ojciec dzień w dzień przepisuje donosy - mówiła z cichą rozpaczą. - A papiery, z których przepisuje, są całe przesiąknięte krwią. Takie mu wręczają w Wesołej Wieży. Och, czemu ty nauczyłaś mnie czytać? Co wieczór, co wieczór... Przepisze zeznanie z tortur i upija się... To straszne, straszne!... "Widzisz, - Kira mówi do mnie - nasz sąsiad, kaligraf, uczył ludzi pisać. A wiesz, co to za jeden? Na torturach przyznał się, że jest czarownikiem i szpiegiem irukańskim. Komuż, więc można dziś wierzyć? Ja sam uczyłem się u niego pisać". A mój brat wraca z patrolu pijany jak bela, na rękach ma plamy zaschniętej krwi. "Wszystkich wyrzniemy - mówi - wszystkich do dwunastego pokolenia..." Ojcu urządza przesłuchania, dlaczego, z jakiego powodu nauczy' się czytać i pisać... Dziś razem ze swymi koleżkami przywłókł do domu jakiegoś człowieka... Tłukli go, całe mieszkanie krwią zbryzgali. On nawet już krzyczeć przestał. Nie mogę dłużej, nie wrócę tam, zabij mnie raczej!...

Rumata wstał i zaczął pieszczotliwie głaskać ją po włosach. Patrzyła w jeden punkt suchymi, błyszczącymi oczami, I cóż mógł jej rzec kojącego? Wziął ją na ręce, zaniósł na kanapę, usiadł bliźutko i zaczął opowiadać o kryształowych świątyniach, o ciągnących się milami przepięknych ogrodach, wolnych od zgnilizny, komarów i innego plugastwa, o czarownym mieście Leningradzie, o swych przyjaciółach - ludziach dumnych, wesołych i dobrych, o przedziwnej krainie za morzami, za górami, noszącej nie znaną tu nazwę Ziemia... Kira słuchała cicho i uważnie i tylko mocniej przytulała się do niego, gdy na ulicy pod oknami - grruch, grruch, grruch - waliły o bruk Podkute buciory.

Miała cudowną naturę, święcie i wielkodusznie wierzyła w dobro. Gdyby opowiedzieć

laka bajkę poddanemu chłopu ten uśmiechnąłby się sceptycznie, utarł nosa rękawem i odszedłby bez słowa oglądając się raz po raz na dobrego jasnie pana, który bynajmniej nie podpisał sobie, tylko - och, co za nieszczęście - dostał lekkiego bzika. A gdyby na jego miejscu znaleźli się don Tameo i don Sera, jeden zasnąłby po chwili, drugi zaś czknałby na cały głos i spytał: "To bardzo wzniosłe, taak, ale a propos kobietek, jak się tam rzeczy mają?"... Co się tyczy don Reby, to wysłuchałby z uwagą do końca, po czym mrugnął na szurmowców, by wykręcili szlachetnie urodzonemu łokcie w tył i wydusili z niego dokładną informację, od kogo nasłuchiwał się owych niebezpiecznych bajd i komu już zdążył je powtórzyć.

Gdy Kira ukołysana opowieścią, zasnęła, Rumata dotknął ustami jej powiek, przykrył zimowym płaszczem z futrzanym obszyciem i wyszedł na palcach zamykając delikatnie drzwi, które mimo to skrzypnęły zgrzytliwie. Minał ciemne pokoje, zszedł na dół do czeladnej i oznajmił, patrząc ponad schylone z uszanowaniem głowy:

- Przyjąłem nową ochmistrzynię. Ma na imię Kira. Będzie mieszkała na górze. Pokój obok mego gabinetu jutro z samego rana starannie sprzątnąć. Wszystkich poleceń ochmistrzyni słuchać tak jak moich. - Powiódł wzrokiem po twarzach, czy na którejś nie spostrzeże uśmiešku. Nikt się nie uśmiechał, słuchano go z należytym szacunkiem. - A jeśli ktoś spróbuje paplać za bramą, wyrwę mu język!

Skończywszy stał jeszcze chwilę dla większego wrażenia, potem odwrócił się i poszedł na górę do siebie. W salonie obwieszonym zardzewiałą bronią, zastawionym dziwacznymi meblami, stanął przy oknie i wsparłszy się czołem o chłodną szybę, patrzył na ulicę. Wybiły pierwsze strażę. W oknach naprzeciwko zapalano światła i zamykano okiennice, aby nie przyciągać złych ludzi oraz złych duchów. Było cicho, tylko raz jeden gdzieś na dole wrzasnął przeraźliwie jakiś pijak - albo go rozbierano, albo walił do cudzych drzwi.

Najstraszniejsze były te wieczory, koszmarnie samotne, bez przebłysku nadziei. Sądziliśmy, że będzie to nieustanna walka, zagorzała i zwycięska. Byliśmy przekonani, że zawsze potrafimy wyraźnie rozróżnić pojęcie dobra i zła, wroga i przyjaciela, I było to na ogół słuszne przekonanie, z tym tylko, że wielu rzeczy nie wzięliśmy pod uwagę. Na przykład nie wyobrażaliśmy sobie takich wieczorowi choć dobrze wiedzieliśmy, że bada...

Na dole rozległ się zgrzyt żelaza - zamykano na noc zasuwę. Kucharka modliła się do świętego Miki, aby ze-stał jej męża, niech już będzie siaki taki, byle tylko był samodzielny i z niegłupim pomysłem. Stary Muga ziewał żegnając się pospiesznie dużym palcem. Służący w

kuchni dopijali wieczorne piwo i plotkowali, a Uno błyskając złym okiem karcił ich tonem dorosłego: "Przestańcie już strzępić jęzory, knury sprośne..."

Rumata odszedł od okna i zaczął przechadzać się po salonie. To beznadziejne, rozmyślał. Nie ma siły zdolnej wyrwać ich z kręgu głęboko zakorzenionych pojęć i nawyków. Można dać im wszystko. Można osiedlić ich w supernowoczesnych spektrogłasowych domach i nauczyć procedur jonowych, a oni będą po dawnemu zbierać się wieczorami w kuchni, rżnąć w karty i ryczeć z sąsiada, którego tłucze połowica, i ten styl życia będzie im zawsze odpowiadał najbardziej. Tu don Condor miał rację - don Reba jest zupełnie nieważny w porównaniu z ogromem tradycji, zasad stadności, uświęconych przez wieki, niepodważalnych, sprawdzonych, zrozumiałych dla najlepszego bałwana, zwalniających od konieczności myślenia i jakichkolwiek zainteresowań. A don Reba z pewnością nie wejdzie nawet do programu szkolnego. "Drobny awanturnik z epoki umacniania absolutyzmu".

Don Reba, don Reba! Niewysoki, ale również trudno go nazwać niskim, nieotyły, ale daleko mu do chudości, nie odznaczający się bujnym owłosieniem, ale bynajmniej nie łysy. Ruchy ma niezbyt żywe, ale i nie powolne, twarz, której się nie pamięta i która przypomina tysiące innych twarzy. Uprzejmy, pełen galanterii wobec dam, uważny rozmówca, nie wyróżniający się zresztą błyskotliwym umysłem...

Trzy lata temu wychynął z jakichś spleśniałych zakamarków pałacowej kancelarii niepozorny, służalczy urzędniczy-mizerak o sinozielonej cerze. Niebawem ówczesny premier został aresztowany i stracony, zginęło również na torturach kilku oszalałych ze strachu dygnitarzy, nie pojmujących nic z tego, co się dzieje, i oto, rzecz można, na ich trupach wyrósł, niby olbrzymi błądy grzyb, ten sprytny i okrutny geniusz przeciętności. Jest nikim. Zjawił się znikąd. Ani to, jak bywało w historii, potężny umysł u boku słabego monarchy, ani wielki i straszny człowiek, który całe życie poświęcił idei walki o zjednoczenie państwa w imię autokracji. Ani chwilowy władca, myślący jedynie o złocie i kobietach, zabijający na prawo i lewo, aby panować i panujący, aby zabijać. Przebąkują nawet po cichu, że to wcale nie jest don Reba, tamten to ktoś zupełnie inny, a ten Bóg wie, co za jeden - wilkołak, sobowtór, podstawiona figura...

Cokolwiek zamierzył, zawsze kończyło się fiaskiem. Podjudził przeciwko sobie dwa wpływowe rody w królestwie, by je osłabić, a potem natrzeć szerokim frontem na baronię. Tymczasem rody pogodziły się obwieszczając przy brzęku pucharów sojusz wieczysty i w

rezultacie zabrały królowi spory kawał ziem należących z dawien dawna do Toców Arkanarskich. Wydał wojnę Irukanowi, sam poprowadził armię ku granicy, potopił ją w bagnach, pogubił w lasach, zostawił wszystko na łasce losu i uciekł z powrotem do Arkanaru. Dzięki staraniom don Huga, czego, rzecz jasna, nawet nie podejrzewał, udało mu się zawrzeć z księciem Irukana pokój za cenę dwóch nadgranicznych miast, a później król musiał jeszcze wyskrobać do dna opustoszałą szkatułę państwową celem stłumienia buntów chłopskich, jakie ogarnęły cały kraj. Za takie błędy każdy inny minister wisiałby głową w dół na szczycie Wesołej Wieży, don Reba jednak dziwnym trafem pozostał u władzy. Zniósł ministerstwa oświaty i zaopatrzenia ludności, usunął ze stanowisk w rządzie arystokrację rodową oraz nielicznych uczonych, zrujnował definitywnie gospodarkę, napisał traktat „O bydlęcej naturze rolnika” i na koniec w ubiegłym roku utworzył "gwardię ochronną" - "Szare Oddziały". Hitler miał za sobą monopole. Don Reba nie miał nikogo i z góry było wiadomo, że szturmowcy pożrą go ostatecznie jak muchę. On jednak dalej mącił i mieszał, jedno głupstwo goniło drugie, lawirował, jakby chciał oszukać samego siebie, jakby nic dla niego nie istniało poza jedną paranoiczną ideą - wytrzebieniem kultury. Podobnie jak Waga Koło nie miał żadnej genealogii. Jeszcze przed dwoma laty pierwszy lepszy arystokratyczny bez kart odzywał się z pogardą o "nędznym chamie, który opętał monarchę", a dziś każdy arystokrata mieni się przy okazji krewnym po kądzieli ministra Ochrony Berła.

Teraz oto musi mieć Budacha. Znow nonsens. Znow jakaś dzika finta. Budach jest intelektualistą. Intelektualistę na pal. Z hukiem, z pompą, żeby wszyscy się dowiedzieli. Tymczasem huku ani pompy nie ma. A więc potrzebny mu żywy Budach. Po co? Czyżby Reba był na tyle głupi, że spodziewa się zmusić Budacha, by dla niego pracował? A może jednak jest głupi? Może jest po prostu głupim intrygantem, któremu szczęście sprzyja, który sam dobrze nie wie, czego chce i z chytrą miną udaje wobec wszystkich Greka? Śmiechu warte, śledzę go od trzech lat i do dziś nie wiem, co to za typ. Zresztą, gdyby sytuacja przedstawiała się odwrotnie i on śledził mnie, tak samo nic by nie wiedział. Wszystko przecież jest możliwe i to właśnie jest zabawne! Teoria podstawowa konkretyzuje tylko główne rodzaje ukierunkowania psychologicznego, a w gruncie rzeczy jest ich tyle, ilu jest ludzi i każdy z nich może się znaleźć u władzy! Na przykład człowieczek, któremu życie schodziło na udrećzaniu sąsiadów. Pluł do cudzych garnków, podrzucał tłuczone szkło do cudzego siana. Oczywiście, że zmiotą go w końcu, zdąży jednak do woli napluć się, nacieszyć, naszkodzić... I nic go nie obchodzi, że śladu

po nim nie zostanie w historii, lub że dalecy potomkowie będą sobie łamać głowy dopasowując jego zachowanie do teorii następstw historycznych.

Już mi teraz nie do teorii, pomyślał Rumata. Wiem tylko jedno: człowiek jest nosicielem rozumu, wszystko, co mu przeszkadza w rozwoju tego rozumu, jest złe, a zło należy usuwać natychmiast i wszelkimi sposobami. Wszelkimi? Czyżby? Nie, z pewnością nie wszelkimi. A może jednak? Mazgaj! - skarcił się w duchu. Trzeba się zdecydować. Prędzej czy później i tak będę musiał się zdecydować.

Przypomniał sobie nagle donnę Okanę. No i masz, decyduj się, pomyślał. Zaczynj właśnie od tego. Jeżeli bóg zabiera się do sprzątnia wychodka, niech mu się nie zdaje, że zachowa czyste ręce... Poczł mdłości na samą myśl o tym, co go czeka. Ale ostatecznie lepsze już to, niż zabijanie. Lepsze błoto aniżeli krew. Na palcach, by nie obudzić Kiry, wszedł do gabinetu i przebrał się. Przez chwilę trzymał w palcach obręcz z nadajnikiem, wreszcie Zdecydowanym ruchem schował ją do szuflady. Potem wetknął we włosy nad prawym uchem białe pióro, symbol namiętej miłości, przypiął miecze i narzucił elegancki płaszcz. Gdy odmykał na dole zasuwę, zawahał się prze; sekundę tknięty myślą, że jeśli don Reba się dowie, don na Okana przypłaci to głową. Ale na odwrót było już za późno.

ROZDZIAŁ IV

Goście zebrali się w komplecie, a donna Okana jeszcze się nie ukazywała. Przy złożonym stoliku z przekąskami popijali malowniczo, prostując się i wypinając chuderlawe zadki, królewscy gwardziści, wstawieni pojedynkami oraz przygodami erotycznymi. Obok kominka chichotały leciwe podniszczone damulki, niczym się nie wyróżniające i dlatego pełniące rolę zauszniczek donny Okany. Siedziały blisko siebie na niziutkich sofkach, przed nimi zaś kręcili się w lansadach trzej wiekowi panowie na cienkich, ustawicznie poruszających się nogach - słynni wytwornisie z czasów minionej regencji, ostatni mistrzowie dawno zapomnianych anegdot. Powszechnie było wiadomo, że bez tych starych lwów salon nie byłby salonem. Pośrodku, rozstawiwszy szeroko nogi w botfortach, stał don Ripat, wierny i niegłupi agent Rumaty, porucznik szarego batalionu galanteryjników ze wspaniałymi wąsikami i bez jakichkolwiek zasad. Wetknął duże czerwone ręce za skórzany pas i słuchał don Tamea, mętnie wykładającego mu nowy projekt wyzyskania chłopów na rzecz stanu kupieckiego, od czasu do czasu ruszając wąsem w stronę don Sera, który błędził czepiając się ścian zapewne w poszukiwaniu drzwi. W kącie, rzucając na prawo i lewo ugrzecznione spojrzenia, dwóch znakomitych portrecistów dojadło duszonego z czeremchą krokodyla, obok w niszy okiennej siedziała starsza osoba w czerni - duenna przydana Okanie przez don Rebę. Patrzył przed siebie surowym nieruchomym wzrokiem, co pewien czas podając się nagle całym ciałem w przód. Z dala od reszty gości persona krwi królewskiej oraz sekretarz ambasady soańskiej zabawiał się grą w karty. Persona oszukiwała, sekretarz uśmiechał się pobłaźliwie. Był jedynym nie próżnującym człowiekiem w salonie - zbierał materiały do kolejnego raportu ambasady.

Gwardziści przy stoliku powitali Rumatę rześkimi okrzykami Mrugnął do nich przyjaźnie i zaczął obchodzić salon witając się z gośćmi. Wymienił ukłony z dwoma wiekowymi elegantami, sypnął kilka komplementów zauszniczkom, które z miejsca wlepiły oczy w białe pióro za jego uchem, poklepał personę krwi królewskiej po opasłych plecach i skierował się w stronę don Ripata i don Tamea. Gdy przechodził obok niszy, duenna znów wykonała nurkujący ruch ciałem, przy czym zaleciało od niej skisłym odorem wina.

Na widok Rumaty don Ripat wyjął ręce zza pasa i trzasnął obcasami, zaś don Tameo wykrzyknął półgłosem

- Czy to pan, mój przyjacielu? Co za szczęście, że pan się zjawił, już prawie straciłem nadzieję .. "Jak łabędź ze skrzydłem złamanym do gwiazdy śle tęskne wołanie". Okropnie się

wynudziłem... Gdyby nie kochany don Ripat, chyba umarłbym z nudów!

Widać było, że don Tameo zdążył wytrzeźwieć, mimo to pohamować się nie mógł.

- Co ja słyszę? - zdziwił się Rumata. - -Cytujemy buntownika Zurena?

Don Ripat od razu się wyprostował i spojrzał drapieżnie na don Tamea.

- Eee... - don Tameo stracił kontenans. - Zurena? Dlaczego? Ach tak, ale przecież ja w sensie ironicznym, zapewniam panów! Kimże jest Zuren? Podłym, niewdzięcznym demagogiem. Chciałem jedynie podkreślić...

A donny Okany wciąż nie ma - podchwycił Rumata - i panu cknę się bez niej.

- Otóż to właśnie.

- A propos, co z donną Okaną?

- Oczekujemy jej lada chwila - powiedział don Ripat podszedł z lekkim ukłonem.

Zauszniczki z otwartymi ustami wpatrywały się w białe Pióro. Stare lwy chichotały nienaturalnie. Wreszcie i don Tameo spostrzegł pióro i drgnął z wrażenia.

- Mój przyjacielu! - rzekł ściszym głosem. - Na co to Panu? Za chwilę może wejść don Reba... Wprawdzie nie spodziewają się go dzisiaj, ale wszystko jedno...

- Nie mówmy o tym - odparł Rumata rozglądając się niecierpliwie. Pragnął to już mieć za sobą.

Gwardziści zbliżali się do nich z napełnionymi pucharami.

- Pan taki blady... - szeptał don Tameo. - Ja rozumiem, miłość, namiętność... Jednak na świętego Mikę! Państwo jest ponad wszystkim... A poza tym, to niebezpieczne... Obraza uczuć...

Coś się zmieniło w wyrazie jego twarzy, zaczął się cofać, odstępować coraz dalej kłaniając się bez przerwy. Rumatę otoczyli gwardziści. Któryś podał mu puchar.

- Za honor i króla! - zawołał jeden.

- Za miłość - dodał drugi.

- Niech pan jej pokaże, don Rumata, co potrafi gwardia - rzucił trzeci.

Rumata ujął puchar i nagle zobaczył donną Okanę?. Stała w drzwiach poruszając wachlarzem i kołysząc w zadumie ramionami. Ładna była, trudno zaprzeczyć! Z daleka wydawała się nawet piękna. Zupełnie nie w guście Rumaty, ale naprawdę była ładna ta głupia, lubieżna gęś, Wielkie ciemnobłękitne oczy, bez cienia myśli i ciepła, delikatne zmysłowe usta, przepyszne, umiejętnie, nakładem wielu starań obnażone ciało... Gwardzista za plecami Rumaty cmoknął głośno, widocznie nie mogąc nad sobą za panować. Rumata nie oglądając się wsunął

mu swój puchar do rąk i długimi krokami skierował się do donny Okany. Goście w salonie odwrócili od nich oczy i gorliwie zajęli się rozmową o błahostkach.

- Cudna - wymówił Rumata półgłosem, szcękając mieczami w głębokim ukłonie. - Pozwól mi, pani, zostać u twych stóp... Na podobieństwo charta leżeć u stóp piękności nagiej i obojętnej...

Donna Okana zasłoniła się wachlarzem i zalotnie zmrużyła oczy.

- Śmiało poczynasz sobie, mój panie... My, biedne prowincjuszki, nie potrafimy odeprzeć takiego natarcia... - Głos miała niski, lekko zachrypnięty. - Niestety, pozostaje mi tylko otworzyć bramy twierdzy i wpuścić zwycięzcę.

Rumata zgrzytnął zębami ze wstydu i złości i zgiął się w jeszcze głębszym ukłonie. Donna Okana opuściła wachlarz i zawołała:

- Bawcie się, moi państwo! My z don Rumatą Wrócimy niebawem! Obiecałam mu pokazać moje nowe irukańskie kobierce...

- Nie opuszczaj nas na długo, o piękna! - zaskrzeczał jeden ze starych lwów.

- Zachwycająca! - powiedział słodko drugi. - Istna czarodziejka!

Gwardziści brzęknęli jak na komendę mieczami. "On doprawdy słyszy, jak trawa rośnie" - zauważyła głośno persona królewskiej krwi. Donna Okana ujęła Rumatę za rękaw i pociągnęła za sobą. Już na korytarzu doleciały go słowa don Sera wypowiedziane urażonym tonem: - "Nie widzę przeszkód, by szlachcic wysokiego rodu nie mógł obejrzeć irukańskich kobierców..."

Na końcu korytarza donna Okana zatrzymała się nagle, objęła Rumatę za szyję i z ochryplym jękiem, mającym oznaczać wybuch długo hamowanej namiętności, wpiła się w jego wargi. Rumata wstrzymał oddech. Od czarodziejki mocno zalatywało zapaszkiem nie domytego ciała pomieszanym z wonią estorskich perfum. Wargi miała gorące, mokre i lepkie od słodczy. Czyniąc nadludzki wysiłek, spróbował oddać jej pocałunek i widocznie mu się to udało, gdyż donna Okana ponownie jęknęła i z zamkniętymi oczami zwiśla mu na rękach. Trwało to całą wieczność. Czekał, ty lafiryndo, ja ci pokażę, pomyślał i zmiażdżył ją w ramionach. Coś chrupnęło, może gorset, a może zebra, piękność pisnęła załośnie, otworzyła zdumione oczy i zatrzepotała się usiłując się wyswobodzić. Rumata czym prędzej rozluźnił uścisk.

- Wstrętny - wyszeptała oddychając ciężko. - Omal mnie nie zgmiotłeś...

- Płonę z miłości - bąknął skruszony.

- Ja też. Tak długo czekałam! Chodźmy prędzej... Powlokła go przez jakieś ciemne,

zimne pokoje. Rumata wyjął chusteczkę i otarł ukradkiem usta. Cały ten pomysł wydał mu się teraz wręcz beznadziejny. Tak trzeba, myślał. Różne rzeczy człowiek musi nieraz robić!... Tu się pięknymi słówkami nie wymigam. Święty Miko, czemu oni w tym Pałacu nigdy się nie myją? Ma baba temperament. Żeby choć przyszedł don Reba... Okana ciągnęła go milcząco, nieustępliwie, jak mrówka zdechłą gąsienicę. Czując się jak ostatni idiota, zaczął pleść jakieś kurtuazyjne brednie o zwinnych nóżkach i pąsowych usteczkach, na które odpowiadała zalotnym chichotem. Wepchnęła go wreszcie do silnie nagrzanego i rzeczywiście wysłanego kobiercami buduaru, rzuciła się na ogromne łoże i leżąc na poduszkach wpatrywała się w Rumatę wilgotnym, hiperstenicznym wzrokiem. A on stał jak słup. W buduarze czuć było najwyraźniej pluskwami.

- Jakiś ty piękny - szepnęła. - Chodź do mnie. Tak na ciebie czekałam.

Rumata zatoczył oczami, chwyciły go mdłości. Kroplisty pot zaczął z nieprzyjemnym łaskotaniem spływać mu po twarzy. Nie mogę, pomyślał. Niech diabli porwą tę całą informację... Chytra lisica. Czupiradło... To przecież gwałt na własnej naturze, brud... Brud lepszy niż krew, ale to jeszcze o wiele gorsze!

- Czemu zwlekasz, mój panie? - zawołała piskliwym, łamiącym się głosem donna Okana.

- Chodźże, nie daj mi czekać!

- D-diabli... - wykrztusił ochryple Rumata. Zerwała się i podbiegła do niego.

- Co ci jest? Jesteś pijany?

- Nie wiem - mruknął. - Duszo mi.

- Może kazać przynieść miedniczkę? - Jaką miedniczkę?

- No nic, nic... Zaraz przejdzie... - Dygocącymi z niecierpliwości palcami zaczęła mu rozpinąć kamizelkę.

- Piękny jesteś... - mówiła zdyszczanym szeptem. - Ale nieśmiały jak nowicjusz. Nigdy bym nie przypuszczała... O święty Baro, to przecież urocze...

Był zmuszony przytrzymać jej rękę. Patrzył na nią z góry widział błyszczące od lakieru niechlujne włosy, krągłe ramiona obsypane grudkami zlepionego pudru, drobne, malinowe konchy uszu. Obrzydliwość, myślał. Nic z tego nie wyjdzie. A szkoda, ona musi sporo wiedzieć... Don Reba gada przez sen... Zabiera ją na badania, Okana bardzo to lubi... Nie, stanowczo nie mogę.

- No? - spytała z rozdrażnieniem.

- Piękne są pani kobierce - powiedział głośno. - Ale na mnie czas.

W pierwszej chwili nie zrozumiała, potem twarz jej wykrzywił grymas.

- Jak śmiesz?! - zasyczała, lecz on już namacał łopatkami drzwi, wypadł na korytarz i oddalił się szybkim krokiem. Od jutra, myślał, przestaję się myć. Tu trzeba być wieprzem, a nie bogiem!

- Wałach! - wrzasnęła za nim. - Wykastrowana niedojda. Baba! Na pal z tobą.

Rumata otworzył jakieś okno i wyskoczył do ogrodu. Przez pewien czas stał pod drzewem wdychając łapczywie chłodne powietrze. Przypomniawszy sobie idiotyczne białe pióro, wyszarpnął je ze złością, zmiął i wyrzucił. Pászka też by nic tu nie zdziałał - pomyślał. - Nikt nie byłby w stanie. "Jesteś pewny?" - "Tak, jestem." - "Wobec tego wszyscy funta kłaków nie jesteście warci!" - "Ale ja się tego brzydzę!" - "Dla Eksperymentu obojętne są twoje doznania. Jak nie możesz, to się nie bierz". - "Nie jestem zwierzęciem!" - "Jeżeli Eksperyment tego wymaga, trzeba stać się zwierzęciem" - "Eksperyment nie może tego wymagać". - "Może, jak widzisz". - "W takim razie..." - "Co w takim razie?" - Nie wiedział. "W takim razie... W takim razie... Dobrze, uważajmy więc, że jestem marnym historykiem. - Wzruszył ramionami. - Spróbujemy się podciągnąć. Spróbujemy powoli zamieniać się w świnię..."

Było blisko północy, gdy wrócił do domu. Nie rozbierając się - rozpiął tylko sprzączki bandoletu - padł na kanapę w salonie i zasnął jak kamień.

Obudziły go pełne oburzenia protesty Una i dobroduszny basowy ryk:

- Zmykaj, zmykaj, ty wilcze szczenię, bo ci ucho oberwę.

- Przecież mówię panu, że oni śpią!...

- A kysz, przestań mi się plątać pod nogami!...

- Nie wolno i już!

Drzwi otworzyły się szeroko i do salonu wpakował się olbrzymi niczym zwierzę Pech baron Pampa don Bau, rumiany, błyskający bielą zębów, ze sterczącymi spiczasto Wąsami, w aksamitnym berecie nasuniętym na ucho i w Wytwornym malinowym płaszczu, pod którym połyskiwał matowo miedziany pancerz. Wlókł za sobą Una uczeponego prawej nogawki jego spodni.

- Baron! - wykrzyknął Rumata spuszcżając nogi z kanapy. - Skąd pan się wziął w mieście, przyjacielu? Uno, zostaw barona w spokoju.

- Okropnie czupurny smarkacz - huczał baron idąc do Rumaty z otwartymi ramionami. -

Będzie z niego pożytek. Ile pan chce za niego? Zresztą o tym później... Niechże pana uściskam!

Uścisnęli się. ,Od barona zapachniało przyjemnie kurzem dróg, końskim potem oraz bukietem przeróżnych win.

- Widzę, że pan też jest zupełnie trzeźwy - zauważył baron melancholijnie. - Zresztą, pan jest zawsze trzeźwy. Szczęśliwiec.

- Siadaj, przyjacielu. Uno, przynieś estorskiego, tylko jak najwięcej.

Baron podniósł ogromną dłoń. - Ani kropli!

- Ani kropli estorskiego? Uno, przynieś irukańskie!

- Żadnych w ogóle win! - oznajmił z żalem baron. - Nie piję.

- Co się stało? - spytał zaniepokojony. - Coś panu dolega?

- Jestem zdrow jak byk. Tylko te przeklęte scysje rodzinne... Krótko mówiąc, pokłóciłem się z baronową i dlatego znalazłem się tutaj.

- Pokłócił się pan z baronową?! Pan! Doprawdy wolne żarty, baronie!

- Wystaw sobie, przyjacielu. Ja sam nie mogę się pozbierać. Sto dwadzieścia mil przebyłem jak otumaniony!

- Drogi baronie natychmiast wsiadamy na koń i pędzimy do Bau.

- Ależ mój koń jeszcze nie odpoczął! A po drugie, chcę ją ukarać.

- Kogo?

- Baronową, u diabła! Ostatecznie jestem mężczyzną, tak czy nie?! Skoro nie podoba się jej Pampa pijany, niech posmakuje, jaki jest na trzeźwo. Raczej tu zgniję od wody, niż wrócę do zamku...

Uno odezwał się nachmurzony.

- Niech mu pan powie, żeby nie zawracał głowy...

- Zmykaj, szczeniaku! - zagrzmiał dobrodusznie baron. - I przynieś piwa Spociłem się, muszę więc wyrównać ubytek płynów.

Po półgodzinie wyrównywania wspomnianego ubytku baron z lekka osowiał. W przerwach między haustami piwa zwierzał się Rumacie ze swoich zmartwień. Nie obeszło się bez dosadnych przekleństw pod adresem "tych pijusów sąsiadów" nachodzących jego zamek. Przyjeżdżają z rana niby na polowanie, a potem ani się obejrzą - wszyscy już mają w czubie i dalejże rąbać meble. Włóczą się po całym zamku, brudzą wszędzie, obrażają służbę, kaleczą psy i dają jak najgorszy przykład młodemu baronowi. Wreszcie rozjeżdżają się do domów, a on, w

trupa pijany, zostaje sam na sam z baronową...

Pod koniec swej opowieści baron rozstroił się no dobre i nawet zażądał był estorskiego, ale w lot się zreflektował i rzekł do Rumaty:

- Chodźmy stąd, przyjacielu. Pańska piwnica jest zbyt zasobna!... Jedźmy gdziekolwiek.

- Ale dokąd?

- Wszystko jedno! Chociaż do "Szarej Radości"...

- Hm... A cóż tam będziemy robić?

Baron milczał przez jakiś czas, wściekle targając węża.

- No jak to? - powiedział wreszcie. - Aż się wierzyć nie chce... Zwyczajnie posiedzimy, pogadamy...

- W "Szarej Radości"? - zapytał sceptycznie Rumata.

- Taak. Rozumiem pana. To przerażające. Ale mimo wszystko chodźmy. Tu bez przerwy mam chętkę na estorskie.

- Konia dla mnie - rzucił Rumata i poszedł do gabinetu po nadajnik.

W kilka minut później jechali obok siebie wąską ulicą Pograżoną w piekielnych ciemnościach. Baron, który nieco się ożywił, opowiadał na cały głos, jak przedwczoraj upolowali odyńca, o niezwykłych zaletach młodego baroneta, o cudzie w klasztorze świętego Tukki, gdzie z boku przeora wyszedł chłopiec o sześciu palcach... Nie omieszkał Przy tym zabawić się - od czasu do czasu wyl jak wilk, Potem wołał "bierz go" i walił szpicrutą w zamknięte okiennice.

Gdy podjechali pod "Szara Radość", baron ściągnął konia i pograżył się w zadumie. Rumata czekał. Przez brudnawe szyby oberży biło jaskrawe światło, konie u konowiazu przestępowały z nogi na nogę, leniwie kłóciły się wymalowane dziewoje, siedzące rządkiem na ławce pod oknami, dwóch służących z trudem wtoczyło przez otwarte drzwi olbrzymią beczkę z plamami saletry.

Baron wymówił ze smutkiem:

- Sam... Strach pomyśleć, przede mną długa noc a ja sam!... I ona tam sama...

- Niechże pan się tak nie trapi, przyjacielu - pocieszał go Rumata. - Przecież z nią jest baronet, a z panem ja.

- To zupełnie co innego. Nic pan nie rozumie, mój drogi. Jest pan jeszcze zbyt młody i lekkomyślny... Panu zapewne sprawia przyjemność nawet widok tych lafirynd...

- A czemuż by nie? - odparł Rumata spoglądając z ciekawością na barona. - Moim

zdaniem to bardzo miłe dziewczuszki.

Baron pokiwał głową i uśmiechnął się sarkastycznie.

- O, ta, która tam stoi - powiedział głośno - ma obwisły tyłek. A ta, co teraz poprawia włosy, w ogóle nie ma tyłka... To są krowy, przyjacielu, najłagodniej mówiąc, krowy. Niech pan sobie przypomni baronową! Co za ramiona, co za gracia... Jaka postawa, mój drogi...

- Tak - zgodził się Rumata. - Baronowa jest prześliczna. Chodźmy stąd.

- Dokąd? - spytał melancholijnie baron. - I po co? - Twarz jego przybrała nagle stanowczy wyraz. - Nie, mój przyjacielu, nigdzie się stąd nie ruszę. A pan jak sobie chce. - Zsiadł z konia. - Aczkolwiek byłoby mi bardzo przykro, gdyby pan zostawił mnie tu samego.

- Oczywiście, że zostanę z panem. Ale...

- Żadnych "ale" - uciął baron.

Rzucili lejece nadbiegającemu słudze, dumnie przeszli obok damulek i przekroczyli próg sali. Nie było tu czym oddychać. Światło kaganków z trudem przedzierało się przez kłęby oparów, niczym w wielkiej i bardzo brudnej łaźni. Na ławach za długimi stołami pili, jedli, zaklinali się, śmiali, płakali, całowali się, ryczeli sprośne piosenki spoceni żołnierze w rozpiętych mundurach, morskie włóczęgi w kolorowych kaftanach na gołe ciało, kobiety z ledwo przysłoniętą piersią, szarzy szturmowcy z toporami wsuniętymi między kolana, rzemieślnicy w przeżartych smarami łachmanach. Po lewej stronie majaczył w oparach bufet, za którym na specjalnym podwyższeniu pośród olbrzymich beczek siedział oberżysta i dyrygował stamtąd rojem obrotnych, cwaniackich sług, po prawej jasno oświetlony prostokąt wskazywał wejście do czystej połowy lokalu, przeznaczonej dla szlachty, solidnych kupców i szarych oficerów.

Ostatecznie, czemu nie mielibyśmy się napić? - zirytował się baron Pampa i chwyciwszy Rumatę za rękaw, pociągnął go w stronę bufetu wąskim przejściem między stołami, drapiąc po plecach siedzących gości metalowymi kolcami pancerza. Przy bufecie wyrwał z rąk oberżysty okazałych rozmiarów czerpak, którym tamten rozlewał wino do kufla, wychylił go w milczeniu do dna, po czym oznajmił, że teraz już wszystko przepadło, pozostaje tylko jedno - zabawić się na całego. Następnie, odwracając się do oberżysty, spytał tubalnym głosem, czy jest w tym lokalu jakieś miejsce, gdzie ludzie szlachetnego rodu mogliby przyzwicie i skromnie spędzić czas nie czując się skępowani sąsiedztwem różnej hołoty, szumowin oraz innego tałałajstwa. Oberżysta zapewnił go solennie, że właśnie w tym lokalu istnieje takie miejsce.

- Doskonale! - rzekł majestatycznie baron i rzucił mu kilka dukatów. - Proszę nam podać,

co tu macie najlepszego i niech nas obsługuje nie jakaś ładniutka trzpiotka, lecz solidna starsza osoba.

Oberżysta sam zaprowadził jaśnie panów do czystej połowy. Gości tu było niewiele. W rogu zabawiała się posepnie grupa szarych oficerów - czterej porucznicy w przyciasnych mundurkach oraz dwaj kapitanowie w krótkich Płaszczach z naszywkami Ministerstwa Ochrony Berła. Pod oknem nudziło się przy dużym wysmukłym dzbanie dwóch młodych arystokratów z kwaśnymi minami, wyrażającymi generalne rozczarowanie. Opodal nich siedziało Kilku szlacheckich hołyszów w wytartych koletach i pocerowanych płaszczach. Popijali małymi łydkami piwo i raz po raz wodzili po sali zgłodniałym wzrokiem.

Baron gruchnął na ławę przy wolnym stole, spojrzął z ukosa na szarych oficerów i warknął: "A jednak i tu nie obeszło się bez hołoty..." Na szczęście przystojna kobieta w fartuszkach podała właśnie pierwsze danie. Odchrząknął więc, wyciągnął zza pasa kindżał i przystąpił do uczty. Pożerał w milczeniu wielkie kęsy pieczonej sarniny, stopy marynowanych ślimaków, góry krewetek, kopiałe faski sałat i majonezów, podlewając to wszystko wodospadom, winą, piwem, brzezki oraz winą zmieszanego z piwem i brzezka. Szlacheccy hołysze zaczęli po jednym, po dwóch przysiadając się do jego stołu, on zaś, pomrukując jak niedźwiedź, zapraszał ich zamaszystym gestem.

Nagle przestał jeść, wlepił w Rumatę wylupiaste oczy i ryknął dzikim głosem:

- Dawno już nie byłem w Arkanarze, mój przyjacielu! I powiem ci szczerze, że coś mi się tu nie podoba.

- Co takiego, baronie? - spytał z zaciekawieniem Rumata ogryzając skrzydełko kurczęcia.

Na twarzach szlachciców odmalowało się pełne szacunku skupienie.

- Wytłumacz mi, mój drogi - mówił baron wycierając zatłuszczone ręce w połę płaszcza - jak też i wy, szlachetni panowie! Odkąd to w stolicy miłościwie nam panującego monarchy tak się dzieje, że potomkowie starożytnych rodów Imperium nie mogą zrobić kroku, by nie natknąć się na różnych sklepikarzy i rzeźników?

Szlachcice wymienili spojrzenia i zaczęli się dyskretnie odsuwać. Rumata zerknął w stronę, gdzie siedzieli szarzy. Przystano tam pić i patrzono na barona.

- Otóż ja wam powiem, w czym rzecz, moi panowie - ciągnął baron Pampa. - Dzieje się tak dlatego, że wszystkich was tchórz ogarnął. Znosicie ich, ponieważ się boicie. O, ty na przykład portkami trzęsiesz - wrzasnął zwracając się do szlachcica, który siedział najbliżej.

Tamtemu twarz się wyciągnęła, uśmiechnął się blado i czym prędzej się wycofał. - Tchórze! - zaklął baron. Wąsy mu się nastroszyły.

Oczywiście, ze szlacheckich gołców pożytku było niewiele. Nie zdradzili najmniejszej chęci do bitki, za to wyraźną do wypitki i zakąski.

Baron natomiast przerzucił jedną nogę przez ławę, szarpnął prawy wąs i wpijając wzrok w grupę szarych oficerów, oznajmił:

- A ja się ani trochę nie boję. Tłukę to szare draństwo gdziekolwiek mi się napatoczył

- Co tam chrypi ta beczka piwa? - zapytał głośno szary kapitan z długą twarzą.

Baron uśmiechnął się zadowolony. Wygramolił się z hukem zza stołu i wlaź na ławę. Rumata podniósł brwi i zabrał się do drugiego skrzydełka.

- Hej, szara hołoto! - baron dał się, jakby oficerowie byli oddaleni przynajmniej o wiorstę. - Onegdaj ja, baron Pompa don Bau, sprawiłem waszym nie lada łaźnię! Wie pan, przyjacielu - mówił spoglądając na Rumatę nie-omal spod sufitu - piliśmy właśnie z ojcem Cabani wieczorem u mnie w zamku, a tu nagle przylatuje stajenny z wieścią, że banda szarych roznosi karczmę "Złota Podkowa". Moją karczmę na mojej rodowej ziemi! Krzyknąłem "Na koni" - i pogналиśmy tam ile pary w końskich płucach. Przysięgam na ostrogę, że była ich cała banda, ze dwudziestu. Złapali jakichś trzech ludzi, popili się jak świnię... Pić to ci sklepikarze nie umieją... dalej wszystkich siekać i wszystko rozbijać. Schwyciłem jednego za nogi i zaczęła się zabawa. Pędziłem ich aż do Ciężkich Mieczów... Krwi było, nie uwierzy pan, po kolana, a ile toporów tam się poniewierało...

W tym punkcie opowiadanie barona zostało przerwane. Kapitan z długą twarzą zamachnął się i ciężki metalowy nóż szczęknął o napierśnik barona.

- Dawno tak trzeba było! - zawołał baron i wyciągnął z pochwy wielki oburęczny miecz.

Zadziwiająco zwinnie zeskoczył na podłogę, miecz jak błyskawica przeciął powietrze i rozrąbał belkę pułapu. Baron zaklął. Sufit osiadł, na głowy obecnych posypały się śmieci.

Teraz już wszyscy byli na nogach. Szlacheccy hołysze odskoczyli pod ściany. Młodzi arystokraci wdrapali się na stół, by lepiej widzieć. Szarzy utworzyli półkole i trzymając brzeszczoty na sztych, ruszyli drobnymi kroczkami na barona. Jedyne Rumata siedział dalej zastanawiając się, po której ręce barona stanąć, by się nie dostać pod jego miecz.

Szerokie ostrze świszczało złowieszczą opisując migoczące kręgi nad głową barona. Ten człowiek porażał wyobraźnię. Było w nim coś z ciężarowego śmigłowca ze śmigłem na jałowych

obrotach.

Szarzy okrążywszy barona z trzech stron byli zmuszeni się zatrzymać. Jeden stanął niefortunnie tyłem do Rumaty, który przechylił się przez stół, chwycił go za kołnierz i ścisnąwszy na talerze z resztkami jedzenia, trzasnął go kantem dłoni poniżej ucha. Szary zamknął oczy i znieruchomiał. Baron zawołał:

- Dobij go, przyjacielu, a ja się rozprawię z tamtymi! On tu ich wszystkich wysiecze, pomyślał Rumata z niezadowoleniem.

- Posłuchajcie - zwrócił się do szarych. - Nie będziemy psuć sobie wzajemnie wesołej nocy. Nie dotrzymacie nam placu. Rzućcie broń i opuśćcie ten lokal.

- Jeszcze czego! - zaprotestował gniewnie baron. - Ja chcę się bić! Niech oni też się biją! Bijcież się, do stu tysięcy fur beczek!

Z tymi słowami ruszył na szarych jak burza, kręcąc młyńca mieczem. Szarzy cofali się błędąc coraz bardziej. Bez wątpienia nigdy w życiu nie widzieli ciężarowego Śmigłowca. Rumata jednym susem przeskoczył stół.

- Chwileczkę, przyjacielu - powiedział. - Doprawdy nie warto wszczynać burdy z tymi ludźmi. Nie podoba się panu ich obecność w tym lokalu? Więc pójdą sobie.

- Bez broni nie pójdziemy - odezwał się ponuro któryś z poruczników. - Oberwiemy za to. Jestem w patrolu.

- No to zabierzcie broń, czort z wami - zgodził się Rumata. - Klingi do pochew, ręce na kark, przechodzić pojedynczo! ! żadnych draństw! Bo kości połamię!

- Jak mamy przejść? - spytał z irytacją kapitan. - Ten szlachcic zagradza nam drogę!

- I będę zagradzać! - upierał się baron.

Młodzi arystokraci parsknęli obraźliwym śmieszkiem.

- No dobrze - rzekł Rumata. - Będę trzymał barona, ale pospieszcie się, bo długo nie zdołam go utrzymać! Hej tam, w drzwiach, oswobodzić przejście!... Baronie - z ledwością objął Pampę w pól - zdaje mi się, że zapomniał pan o jednej ważnej okoliczności. Przecież ten sławny miecz służył pańskim przodkom tylko w szlachetnej potrzebie, albowiem powiedziane jest: "Nie obnażaj miecza w tawernach".

Na twarzy barona bez przerwy wywijającego mieczem pojawił się wyraz zadumy.

- Ale ja nie mam drugiego miecza - mruknął niezdecydowanie.

- Tym bardziej!... - rzekł z naciskiem Rumata.

- Sądzi pan? - Baron wciąż jeszcze się wahał.

- Pan wie o tym lepiej ode mnie!...

- Tak. Racja jest po pańskiej stronie. - Popatrzył w górę na swą szaleńczo młynkującą dłoń. - Nie uwierzy pan, przyjacielu, ale ja mogę tak kilka godzin pod rząd i zupełnie nie odczuwam zmęczenia... Ach, czemuż ona mnie teraz nie widzi?!

- Opowiem jej - przyrzekł Rumata.

Baron westchnął i opuścił miecz. Szarzy przebiegli chyłkiem obok niego. Odprowadził ich wzrokiem.

- Nie wiem, nie wiem... - w jego głosie znów brzmiała niepewność. - Jak pan sądzi, czy słusznie zrobiłem nie dając im na pożegnanie kopniaka w tyłek?

- Bardzo słusznie - zapewnił go Rumata.

- No trudno - rzekł wsuwając miecz do pochwy. - Skoro nic nie wyszło z bitki, mamy już teraz prawo coś zjeść i wypić.

Ściągnął za nogi ze stołu szarego porucznika, który wciąż jeszcze był nieprzytomny, i krzyknął tubalnym głosem:

- Hej, gosposiu! Wina i zakąsek!

Podeszli młodzi arystokraci i kurtuazyjnie pogratulowali mu zwycięstwa.

- Głupstwo, głupstwo - odparł dobrodusznie. - Sześciu plugawych gówniarzy, tchórzliwych jak wszyscy sklepikarze. W "Złotej Podkowie" położyłem ich dwudziestu. Jakie to szczęście - zwrócił się do Rumaty - że nie miałem wtedy przy sobie mojego miecza. Mógłbym go obnażyć przez zapomnienie, I chociaż "Złota Podkowa" nie jest tawerną, lecz zaledwie karczmą...

- Niekiedy mówi się właśnie: "Nie obnażaj miecza w karczmie".

Oberżystka przyniosła nowe półmiski z mięsiwem i nowe dzbany wina. Baron zawinął rękawy i wziął się do roboty.

- A propos. Kim byli tamci trzej jeńcy, których uwolnił pan w "Złotej podkowie"? - spytał Rumata.

- Uwolnił? - baron przestał poruszać szczękami i patrzył na Rumate - Ależ, mój przyjacielu, widocznie wyraziłem się nie dość jasno! Ja nikogo nie uwalniałem. Przecież oni byli aresztowani, to sprawa państwowa... Z jakiego powodu miałbym ich uwalniać? Jeden chyba szlachcic ale okropnie tchórzem podszyty, drugi jakiś uczony, no i skina. - wzruszył ramionami.

- Taak, oczywiście - powiedział smutno Rumata. Nagle twarz barona nabiegła krwią, oczy

niemal wylazły z orbit.

- Co?! Znowu?! - rykną.

Rumata obejrzał się. W drzwiach stół don Ripat. Baron zerwał się przewracając ławy i zrzucając półmiski. Don Ripat popatrzył na Rumatę znacząco i wyszedł.

- Zechce pan wybaczyć, baronie - Rumata wstał od stołu. - Służba królewska...

- A . - powiedział z rozczarowaniem baron. - Współczuję... Za nic nie poszedłbym na służbę..

Don Ripat czekał tuż za drzwiami.

- Cc nowego? - zapytał Rumata

- Dwie godziny temu - oznajmił rzeczowym tonem don Ripat - na rozkaz ministra Ochrony Berła, don Reby, aresztowałem i doprowadziłem do Wesołej Wieży donnę Okanę.

- Tak

- Przed godziną donna Okana zmarła nie wytrzymawszy próby ognia.

- Tak.

- Oficjalnie oskarżono ją o szpiegostwo. Ale... - don Ripat zawahał się i spuścił oczy. - Sądzę, że... Wydaje mi się...

- Rozumiem.

Don Ripat podniósł wzrok pełen skruchy

- Byłem bezsilny .. - zaczął.

- To nie pańska sprawa - powiedział Rumata ochryple. Oczy don Ripata zszarzały. Rumata skinął mu ręką i powrócił do stołu. Baron kończył opróżniać półmiskę z faszerowanymi mątwami.

- Estorskiego! - krzyknął Rumata. - Dużo i jeszcze więcej! - Odchrząknął. - Będziemy się bawić. Hulaj dusza i niech to wszystko diabli...

...Gdy Rumata odzyskał przytomność, spostrzegł, że stoi pośrodku rozległego pustkowia. Wstawał szarawy brzask, w oddali darty się ochryple koguty. Chmary wron krążyły nad kupą jakiegoś obrzydlistwa, cuchnęło zgnilizną i wilgocią. Zamęt w głowie szybko ustępował, powracała dawna jasność umysłu, zdolność wyrazistego postrzegania, na języku topniała przyjemna miętowa gorycz. Dotkliwie piekły go palce u prawej ręki. Podniósł ją do oczu. Skóra na kostkach była zdarta, w zaciśniętej garści spoczywała pusta fiołka po kasparamidzie, niezwykle silnym środku przeciw zatruciu alkoholowemu, w który Ziemia przezornie

zaopatrywała swoich zwiadowców wysyłanych na zacofane planety. Widocznie już tu na pustkowiu, nim stoczył się na dno pijackiego zamroczenia, w ostatnim przeblysku świadomości, niemal instynktownie zażył całą zawartość fiołki.

Okolica była znajoma - na wprost czerniała wieża spalonego Obserwatorium, po lewej majaczyły w szarości przedświt smukłe jak minarety strażnice pałacu królewskiego. Rumata odetchnął głęboko chłodnym, wilgotnym powietrzem i poszedł do domu

Baron Pampa pohulał tej nocy co się zowie. Wraz z bandą szlacheckich golców, szybko tracących ludzkie oblicze, odbył gigantyczne tournee po arkanarskich knajpach, przepijając wszystko ,włącznie ze swym przepysznym pasem, niszcząc nieprawdopodobne ilości alkoholu oraz zakąsek, wywołując po drodze co najmniej osiem bójek. W każdym razie tyle zdołał sobie przypomnieć Rumata -ośmiokrotnie interweniował rozdzielając walczących, by nie dopuścić do zabójstwa. Dalsze wspomnienia tonęły we mgle. Z owej mgły wypływały drapieżne mordy z nożami w zębach to idiotycznie żalosa twarz ostatniego hołysza, którego baron Pampa chciał sprzedać w porcie jako niewolnika, to znów rozjuszony Irukańczyk z wielkim nochalem, żądający, by wielmożni panowie zwrócili mu jego konie...

Początkowo Rumata nie zapominał, że jest zwiadowcą. Pił na równi z baronem irukańskie, estorskie, soańskie arkanarskie, ale przed każdą zmianą win kładł ukradkiem pod język tabletkę kasparamidu. Zachował jeszcze rozwagę, z nawyku dostrzegał skupiska szarych patrol na skrzyżowaniach i przy mostach, czatę konnych barbarzyńców na drodze soańskiej, którzy by z pewnością ustrzelili barona, gdyby Rumata nie znał ich narzeczę Doskonale pamiętał, z jakim zdumieniem uświadomił sobie, że nieruchome szeregi dziwacznych żołnierzy w długich czarnych płaszczach z kapturami, stojące przeciw Szkołę Patriotyczną, to drużyna klasztorna. Co ma z tym wspólnego kościół? Odkąd to kościół w Arkanarze miesza się do spraw świeckich?

Upijał się powoli, a mimo to zamroczyło go nagle, po prostu piorunem, i kiedy w jakiejś trzeźwiejszej chwili ujrzał przed sobą rozrąbany dębowy stół w zupełnie obcym pokoju, a dokoła bijących brawa szlacheckich hołyszów, pomyślał był, że najwyższy czas wracać do domu. Było jednak za późno. Fala szaleństwa i wstrętnej, nieprzyzwoitej radości wyzwolenia z wszystkiego, co ludzkie, już go porwała. Pozostawał jeszcze Ziemianinem, zwiadowcą, spadkobiercą ludzi ognia i żelaza, nie szczędzących zarówno siebie jak i innych ,w imię wielkiego celu. Nie mógł stać się Rumatą Estorskim, krwią z krwi dwudziestu pokoleń wojowniczych przodków wsławionych grabieżami i pijaństwem. Ale też nie był już komunardem. Nie miał zobowiązań

wobec Eksperymentu. Myślał tylko o zobowiązaniach wobec samego siebie. Przestały go trapić wątpliwości. Wszystko było jasne, absolutnie wszystko. Doskonale zdawał sobie sprawę, kto tu ponosi winę i doskonale wiedział, czego chce - rąbać na odlew, wydawać na pastwę ognia, zrzucić z pałacowych schodów wprost na kopie i widły wyjącego tłumu...

Wstrząsnął się i wyciągnął z pochwy miecze. Ostrza były wyszczerbione, lecz czyste. Pamiętał, że bił się z kimś ale z kim? I jak się to skończyło?

Przepili swoje konie. Szlacheccy hołsyzę gdzieś się ulotnili. Rumata - to również dobrze pamiętał - zatańczył barona do swego domu. Pampa don Bau był pełen animuszu, trzeźwiutki i gotów szaleć w najlepsze dalej, tylko ani rusz nie mógł utrzymać się na nogach. Poza tym był święcie przekonany, że dopiero co pożegnał się z ukochaną baronową i znajduje się w trakcie zbrojnej wyprawy przeciwko swemu odwiecznemu wrogowi, baronowi Casco, którego bezczelność nie miała sobie równej. ("Pomyśl tylko, przyjacielu, ten łajdak wydał na świat ze swego biodra dziecię płci męskiej o sześciu palcach i nazwał je Pampą...") - "Słońce zachodzi - oświadczył patrząc na gobelin przedstawiający wschód słońca. - Moglibyśmy przehulać całą noc, moi panowie, ale czyny wojenne wymagają snu. Ani kropli wina w czasie wyprawy. Poza tym baronowa byłaby niezadowolona..."

"Co to? Posłanie? W szczerym polu? Naszym posłaniem czaprak bojowego konia!" Po tych słowach zerwał ze ściany nieszczęsny gobelin, owinał się nim z głową i rymnął w kąt pod kagankiem. Rumata kazał Unowi postawić obok barona wiadro kwasu i faskę marynat. Chłopiec miał twarz zaspaną i gniewną. "Widzicie, jak to się napompowali - mrucał. - Aż im oczy świdrowato patrzą..." - "Cicho bądź, głupcze" - skarcił go Rumata, a potem... Potem coś się stało. Coś ohydneho, co go pognało przez całe miasto aż na pustkowie. Potwornie, potwornie ohydneho, niewybaczalnego, haniebnego...

Przypomniał to sobie podchodząc już do domu i zatrzymał się nagle jak wryty.

Odepchnął wtedy Una, wbiegł po schodach na górę, otworzył szeroko drzwi i wpakował się do jej pokoju, niczym pan i władca. W świetle nocnej lampki ujrzał białą jak papier twarz, ogromne oczy pełne przerażenia i wstrętu, a w tych oczach siebie - chwiejącego się na nogach, z obwisłą zaślinioną wargą, podrapanymi rękami, w ubraniu zachlapanym jakimś świństwem, bezczelnego i podłego chama o błękitnej krwi. Ten wzrok wypchnął go z powrotem na schody, na dół, do hallu, za drzwi, na ciemną ulicę, byle dalej, jak najdalej od tego miejsca...

Ścisnął zęby, czując, że wszystko w nim lodowacieje, cichutko otworzył drzwi i na

palcach wszedł do hallu. W kącie niby olbrzymi ssak morski, sapał baron pogrążony w spokojnym śnie. "Kto tu?" - wykrzyknął Uno drzemiący na ławie z kuszą na kolanach... "Ci-i - szepnęła Rumata. - Chodźmy do kuchni. Beczkę wody, octu, świeże ubranie. Migiem

Długo, zachłannie, z najwyższą rozkoszą oblewał się wodą, nacierał octem zmywając z siebie brud tej nocy. Uno, milczący wbrew swemu zwyczajowi, krzątał się koło niego. Dopiero później, pomagając panu zapinać idiotyczne liliowe spodnie ze sprzączkami z tyłu, oznajmił ponuro:

- W nocy, jak pan wyleciał, Kira zeszła na dół i pytała, czy pan naprawdę był, myślała widać, że jej się śniło... Powiedziałem, że jak pan wczoraj poszedł na wartę, tak jeszcze nie wrócił...

Rumata westchnął głęboko. Nie zrobiło mu się lepiej. Gorzej.

- A ja całą noc przesiedziałem z kuszą nad baronem, bałem się, żeby na górę nie polazł po pijanemu.

- Dziękuję ci, mój chłopcze - wymówił z trudem Rumata.

Włożył trzewiki, wyszedł do przedpokoju i stał chwilę przed ciemnym metalowym zwierciadłem. Kasparamid działał niezawodnie. Z lustra spoglądał na niego wytworny pan z twarzą nieco mizerną po wyczerpującym nocnym dyżurze, ale poza tym zupełnie bez zarzutu. Wilgotne włosy, przytrzymane złotą obręczą, miękko i estetycznie spływały po obu stronach" twarzy. Rumata machinalnie poprawił obiektyw pomiędzy brwiami. Śliczne sceny oglądano dziś na Ziemi, pomyślał z chmurą w duszy.

Tymczasem rozwidniło się na dobre. Przez zakurzone szyby zajrzało słońce. Trzaskały okiennice. Z ulicy dolatywały zaspane głosy: "Jak się spało, bracie Kirisie?" - "Chwalić Boga, spokojnie, bracie Tika. Noc minęła, to i dobrze". - "A u nas ktoś walił do okien. Ponoć szlachetny don Rumata hulał dziś w nocy". - "Gościa ma, powiadają". - "Co tam dziś za hulanki! Za młodych lat króla to tak się bawili, że nawet nie spostrzegli, jak po! miasta puścili z dymem". - "Wiesz, co ci powiem, bracie Tika? Dzięki Bogu, że mamy w sąsiedztwie takiego pana. Jak raz w roku się zabawi, to dużo..."

Rumata udał się na górę, zapukał i wszedł do gabinetu. Kira siedziała w fotelu, tak jak wczoraj. Podniosła głowę i ze strachem spojrzała mu w twarz.

- Dzień dobry, maleńka - podszedł, ucałował jej ręce i siadł w fotelu naprzeciwko.

Wciąż patrzyła na niego badawczo, wreszcie zapytała:

- Zmęczony jesteś?

- Tak, trochę, i znów trzeba iść.

- Coś ci przygotować?

- Nie, dziękuję. Uno to zrobi. Może tylko poperfumuj mi kołnierz...

Czuł, jak wyrasta między nimi mur nieszczerości. Początkowo cienki, potem coraz grubszy, mocniejszy. Na całe życie! - pomyślał z goryczą. Siedział z przymkniętymi oczami, gdy delikatnie skraplała perfumami jego koronkowy kołnierz, policzki, czoło, włosy. Wreszcie odezwała się:

- Nawet nie zapytasz, jak mi się spało.

- No jak, maleńka?

- Miałam sen. Okropny, straszny sen.

Mur stał się już tak gruby jak w warowni.

- Na nowym miejscu zawsze tak bywa - powiedział nieszczerze. - Zresztą baron na dole z pewnością bardzo hałasowa!.

- Kazać podać śniadanie?

- Dobrze.

- A jakie wino lubisz z rana? Rumata otworzył oczy.

- Każ podać wodę. Z rana nie pijam wina.

Wyszła. Słyszał, jak spokojnie, dźwięcznym głosem rozmawia z Unem. Potem wróciła, siadła na poręczy jego fotela i zaczęła opowiadać swój sen, on zaś słuchał wyginając brew i czując, jak z każdą chwilą mur staje się grubszy, nie do przebycia i jak oddziela go na zawsze od jedynej, naprawdę bliskiej mu istoty w tym koszmarnym świecie, I wtedy zebrał siły i uderzył w ten mur całym ciałem.

- Kiro - przemówił. - To nie był sen.

Nie stało się nic szczególnego.

- Biedny mój - powiedziała. - Poczekaj, zaraz przyniosę ci kwaśnicy...

ROZDZIAŁ V

Nie tak dawno jeszcze dwór królów Arkanaru był jednym z najbardziej oświeconych w Imperium. Przebywali na nim uczeni, w większości, co prawda, szarlatani, ale i tacy, jak Bagir Kisseński, odkrywca kulistości planety; nadworny znachor Tata, który wpadł na genialną myśl, iż sprawcami epidemii są drobniutki niewidzialne gołym okiem robaczki, roznoszone przez wiatr i wodę; alchemik Sinda, który jak wszyscy alchemicy szukał sposobu otrzymywania złota z gliny, a odkrył prawo zachowania materii. Byli na dworze arkanarskim poeci, przeważnie darmozjady i pochlebcy, ale również tacy, jak Pepin Sławny, autor tragedii historycznej "Wyprawa na Północ", Zuren Prawdomówny, mający w swym dorobku ponad pięćset ballad i sonetów, do których później napisano muzykę, jak Gur Improwizator, twórca pierwszego w historii Imperium romansu świeckiego, smutnej historii księcia zakochanego w pięknej barbarzyńce. Byli też świetni artyści, tancerze, śpiewacy. Znakomici malarze pokrywali ściany nie blaknącymi freskami, słynni rzeźbiarze zdobili tworamami swego dłuta pałacowe parki. Trudno powiedzieć, by królowie arkanarscy byli rzecznikami oświaty czy też znawcami sztuk pięknych. Uważano to po prostu za część rytuału dworskiego na podobieństwo porannej toalety króla lub wspaniałej warty gwardyjskiej przed głównym wejściem do pałacu. Tolerancja arystokratów sięgała w pewnych okresach tak daleko, że niektórzy uczeni i poeci stawali się ważnymi śrubkami aparatu państwowego. Pół wieku temu, na przykład, wielce uczony alchemik Botsa zajmował dziś uznane za zbędne stanowisko ministra Bogactw Kopalnych, założył kilka rudni i rozślawił Arkanar jako wytwórcę niezwykłych stopów, których sekret zaginął po śmierci uczonego. A Pepin Sławny jeszcze do niedawna sprawował pieczę nad oświatą w państwie, zanim podległe mu Ministerstwo Historii, i Piśmiennictwa zostało uznane za szkodliwe i rozmiękczające umysły.

Zdarzało się, oczywiście, i dawniej, że artystę lub uczonego, który nie cieszył się względami królewskiej faworyty, osoby ograniczonej i lubieżnej, sprzedawano za granicę lub truto arsenikiem, ale dopiero don Reba wziął się za nich na dobre. W lotach, gdy piastował urząd wszechmocnego ministra Ochrony Berła, dokonał w arkanarskim świecie kultury takich spustoszeń, że wywołał nawet niezadowolenie niektórych wielmożów, którzy zaczęli sarkać, że dwór stał się nudny i na balach nie słyszy się nic oprócz głupich plotek.

Bagir Kisseński, oskarżony o obłąd graniczący z przestępstwem politycznym, został wrzucony do lochu, skąd Rumata z najwyższym trudem uwolnił go i wyprawił do metropolii. Obserwatorium jego spłonęło, a ocalali uczniowie rozbiegli się każdy w swoją stronę. Nadworny

znachor Tata wraz z pięcioma innymi znachorami okazał się nagle trucicielem, który za poduszczeniem księcia Irukanu snuł zbrodnicze zamiary w stosunku do osoby króla, poddany torturom przyznał się do wszystkiego i został powieszony na placu Królewskim. Usiłując go ratować, Rumata rozdał trzydzieści kilogramów złota, stracił czterech agentów (szlachetnie urodzonych, nie wiedzących, co czynią), omal sam nie wpadł raniony podczas próby odbicia skazańców, lecz wszystkie jego wysiłki poszły na marne. Była to pierwsza porażka, po której wreszcie zrozumiał, że don Reba nie jest bynajmniej postacią przypadkową. W tydzień później, dowiedziawszy się, iż alchemika Sindę zamierzają oskarżyć o ukrywanie przed państwem tajemnicy kamienia filozoficznego, Rumata rozjuszony niedawną porażką urządził zasadzkę pod jego domem. Sam jeden, z twarzą zasłoniętą czarną chustą, rozbroił szturmowców, którzy przybyli po alchemika, związał ich, powrzucał do piwnicy i tejże nocy wywiózł na wpół ogłupiałego Sindę do republiki Soan, gdzie ów, wzruszywszy ramionami, kontynuował poszukiwania kamienia filozoficznego pod okiem don Condora. Poeta Pepin Sławny nagle wstąpił do zakonu i zamknął się w murach klasztornych. Zuren Prawdomówny, któremu zarzucono występny dwulicowość oraz dogadzanie gustom niższych stanów, został pozbawiony czci i majątku, próbował dowodzić swych racji, wygłaszał w karczmach teraz już otwarcie podburzające ballady, dwakroć był okrutnie skatowany przez jednostki patriotyczne i dopiero wówczas uległ namowom swego wielkiego przyjaciela i miłośnika, don Rumaty, i wyjechał do metropolii. Sinoblady z przepicia, stał na pokładzie oddalającego się okrętu, kurczowo trzymając się rękami want i dźwięcznym, młodym głosem wykrzykiwał swój pożegnalny sonet "Jak zwiędły liść opada na duszę..." Takim na zawsze pozostał w pamięci Rumaty. Co się tyczy Gura Improwizatora, to po rozmowie przeprowadzonej w gabinecie don Reby zrozumiał, że księżę arkanarski absolutnie nie mógł pokochać wrażego nasienia, sam wrzucił na placu Królewskim swoje książki w ogień i obecnie, zgarbiony, z martwą twarzą, stał podczas audiencji królewskich w tłumie dworzan i na ledwie dostrzegalny gest don Reby wysuwał się naprzód deklamując swe utwory o treści ultra patriotycznej, na które znudzeni słuchacze reagowali ziewaniem. Aktorzy wystawiali na okrągło tę samą sztukę "Zagłada barbarzyńców, czyli marszałek Toć, król Pić Pierwszy Arkanarski". A śpiewacy woleli raczej występować w koncertach z orkiestrą. Pozostali przy życiu artyści malarze pacykowali szyldy. Dwóch lub trzech zresztą zdołało utrzymać się u dworu, malowali teraz portrety króla w towarzystwie don Reby z szacunkiem przytrzymującego go pod ramię (wersja się nie zmieniała - król był przedstawiany jako piękny

dwudziestopięcioletni młodzieniec w zbroi, zaś don Reba jako dojrzały mężczyzna z twarzą pełną wyrazu).

Tak, dwór arkanarski stał się nudny. Niemniej jednak różni dostojnicy, próżnujący arystokraci, oficerowie gwardii i piękne lekkomyślne donny - jedni przez próżność, drudzy z przyzwyczajenia, trzeci ze strachu - po dawnemu wypełniali sole pałacowe. Szczerze mówiąc wielu nie zauważyło w ogóle żadnych zmian. Dawniej na koncertach lub turniejach poetyckich największym uznaniem cieszyły się antrakty, podczas których roztrząsali zalety swoich wyźłów lub opowiadali anegdoty. Stać ich było na niezbyt długą dyskusję o właściwościach istot z zaświatów, ale już sprawy kształtu planety lub przyczyn epidemii uważali wręcz za nieprzyzwoite. Niejakie przygnębienie oficerów gwardii tłumaczyło się faktem zniknięcia artystów malarzy, wśród których znajdowali się prawdziwi mistrzowie obnażonej natury.,.

Rumata przybył do pałacu nieco spóźniony. Poranna audyencja już się rozpoczęła. W salach było tłoczno, co chwila rozlegał się zirytowany głos króla i melodyjne rozkazy mistrza ceremonii, dyrygującego odziewaniem Jego Królewskiej Mości. Większość dworzan rozprawiała o nocnym zajściu. Jakiś uzbrojony w sztylet złoczyńca o wyglądzie Irukańczyka wśliznął się nocą do pałacu, zabił wartownika i wtargnął do sypialni królewskiej, gdzie ponoć został rozbrojony przez don Rebę, schwytyany i w drodze do Wesołej Wieży rozerwany na strzępy przez oszalały tłum wiernych patriotów. Był to już szósty zamach w ciągu ostatniego miesiąca, toteż sam ów fakt nie budził specjalnego zainteresowania. Omawiano raczej szczegóły. Rumata dowiedział się, że na widok zamachowca Jego Królewska Mość podniósł się z lekka na łóżku, zasłonił swym najjaśniejszym ciałem piękną donnę Midarę i wymówił historyczne słowa: "Paszoł won, łajdaku!" Przeważająca większość uwierzyła ochoczo w owe historyczne słowa w przekonaniu, iż król wziął zabójcę za lokaja. Wszyscy zgadzali się również co do tego, że don Reba był jak zawsze czujny i przy tym niezrównany w walce wręcz. Rumata w eleganckich słowach wyraził ten sam pogląd i przy okazji opowiedział zmyśloną na poczekaniu historię, jak to na don Rebę napadło dwunastu rozbójników i jak trzech położył na miejscu, a resztę zmusił do ucieczki. Historia została przyjęta z dużym zaciekawieniem i aplauzem, po czym Rumata niby przypadkiem dodał, iż usłyszał ją z ust don Sera. Wyraz zaciekawienia natychmiast zniknął z twarzy obecnych, gdyż wszystkim było aż nadto wiadomo, że don Sera to nie lada głupiec i łgarz. O donnie Okonie nikt nie napomknął ani słowem. Albo jeszcze o niczym nie wiedzieli, albo udawali, że nie wiedze].

Sypiąc komplementami i ściskając rączki damom Rumata krok za krokiem przesuwiał się ku pierwszym rzędom wystrojonej, wyperfumowanej, obficie pocącej się cizby. Wysoko urodzeni panowie gawędzili półgłosem: "No, no, to właśnie klacz. Strychowała się, ale niech mnie piekło pochłonie, jeśli tegoż wieczora nie przegrałem jej do don Keu..." - "Co się tyczy bioder, to były one niezwyklego kształtu. Jak to pisał Zuren.,. Hm-m-m... Góry piany chłodnawej... hm-m-m, nie, wzgórze chłodnawej piany... W ogóle potężne biodra." - "Wtedy ja cichutko otwieram okno, biorę kindżał w zęby i wyobraź sobie, mój drogi, czuję, że krata się pode mną ugina..." - "Jak go wyrznięłem w zęby rękojeścią miecza, to ten szary kundel dwa kozły wywinął. Może pan mu się przyjrzeć, stoi tam z taką miną. Jakby miał do tego prawo..." - "A don Tameo narzygał na podłogę, pośliznął się, upadł głową w kominek..." - "No i ten zakonnik mówi do niej: Opowiedz no mi, ślicznotko, twój sen... hi-hi-hi..."

Straszne, myślał Rumata. Jeżeli mnie za chwilę zabiją, ta kolonia pierwotniaków będzie ostatnim, co na tym świecie oglądam. Zaskoczenie. Uratuje mnie tylko zaskoczenie. Mnie i Budacha. Znaleźć odpowiedni moment i nagle zaatakować. Zaskoczyć zniemacka, nie pozwolić mu otworzyć ust, nie pozwolić się zabić, po kiego diabła miałbym umierać.

Przecisnął się do drzwi sypialni i przytrzymując obiema rękami miecze oraz uginając z lekka nogi w kolanach, jak tego wymagała etykieta, zbliżył się do królewskiego posłania. Królowi wkładano pończochy. Minister ceremonii z zapartym tchem śledził zwinne ruchy rąk dwóch kamerdynerów. Po prawej stronie rozgrzebanego łoża stał don Reba i cichym szeptem rozmawiał z wysokim, kościstym mężczyzną w mundurze wojskowym z szarego aksamitu. Był to ojciec Cupik, jeden z wodzów arkanarskich szturmowców, pułkownik straży pałacowej. Don Reba był wytwornym dworakiem. Patrząc na jego twarz, można by sądzić, że rozmawiają, na przykład o budowie klaczy lub o cnotliwych obyczajach siostrzenicy królewskiej. Natomiast ojciec Cupik, jako wojskowy oraz eks-kupiec kolonialny, nie umiał panować nad wyrazem twarzy. Pochmurniał, gryzł wargi, jego palce zaciskały się i rozwierały na rękojeści miecza. W końcu nagły skurcz "wykrzywił mu policzek. Cupik odwrócił się gwałtownie i łamiąc wszelkie przepisy etykiety wyszedł z sypialni prosto w tłum dworzan zdrtwiałych wobec tak okropnego nietaktu. Don Reba spojrział za nim uśmiechając się przepaszająco, a Rumata odprowadziwszy wzrokiem szarą niezgrabną postać, pomyślał: "Oto jeszcze jeden nieboszczyk". Wiedział o tarciach między don Rebą a szarym kierownictwem. Historio brunatnego kapitana Ernsta Roehma gotowa była się powtórzyć.

Pończochy były już wciągnięte. Kamerdynerzy na melodyjny rozkaz ministra ceremonii ujęli ze czcią koniuszkami palców królewskie pantofle. Nagle król, odepchnawszy ich nogami, tak gwałtownie odwrócił się do don Reby, że jego brzuch, przypominający tego wypchany worek, przetoczył mu się na jedno kolano.

- Dostyc już mam waszych zamachów - pisnął histerycznie, - Zamachy! Zamachy!... Ja chcę spać w nocy, a nie bić się z mordercami! Dlaczego nie można tak urządzić, żeby zamachów dokonywano w dzień? Co z ciebie za minister, Reba! Jeszcze jedna taka noc i każę pana udusić! (Don Reba skłonił się przyciskając rękę do serca). Po każdym zamachu boli mnie głowa)

Umilkł i wpatrzył się tępo w swój brzuch. Chwila była stosowna. Kamerdynerzy nieco marudzili. Przede wszystkim należało zwrócić na siebie uwagę. Rumata wyrwał kamerdynerowi prawy pantofel, przyklęknął przed królem na jedno kolano i jął ze czcią wkładać pantofel na tłustą, obciążoną jedwabiem nogę. Był to odwieczny przywilej rodu Rumatów - własnoręczne obuwanie prawej nogi koronowanych głów Imperium. Król zwrócił na niego mętne oczy. I nagle błysnął w nich ogień zainteresowania.

- A, Rumata! - powiedział. - To pan jeszcze żyje? Reba obiecał mi udusić pana! - Zachichotał. - To marny minister. Tylko jedno potrafi - obiecywać. Obiecał wypłenić bunty, tymczasem bunty przybierają no sile. Jakichś szarych gburów napchał mi do pałacu... Jestem chory, o on powywieszał wszystkich nadwornych znachorów.

Rumata skończył wkładanie pantofla i skłoniwszy się, odstąpił dwa kroki w tył. Poczul na sobie badawczy wzrok don Reby i spieszenie przybrał wyniośle tępą minę.

- Jestem ciężko chory - ciągnął król - wszystko mnie boli. Chcę na spoczynek. Już dawno przeszedłbym w stan spoczynku, ale przecież zginiecie beze mnie, barany...

Włożono mu drugi pantofel. Wstał i natychmiast jęknął krzywiąc się i chwytając za kolano.

- Gdzie są znachorzy? - zaczął lamentować żałośnie. - Gdzie mój dobry Tata? Powiesiłeś go, głupcze! A mnie na sam dźwięk jego głosu robiło się lepiej! Milcz, ja wiem dobrze, że to truciciel, ale mniejsza z tymi Cóż takiego, że truciciel? To był znachor! Rozumiesz, morderco? Znachor! Jednego otruje, drugiego wyleczy, a ty tylko trujesz! Lepiej, żebyś się sam powiesił! (Don Reba skłonił się z ręką na sercu i w tej pozycji pozostał). Przecież wywieszałeś wszystkich! Zostali sami twoi szarlatani i popi, którzy poją mnie wodą święconą zamiast lekarstw... Kto sporządzi miksturę? Kto mi natrze nogę maścią?

- Najjaśniejszy panie! - przemówił głośno Rumata i wydało mu się, że w pałacu wszystko zamarło. - Rozkaż tylko, a najlepszy lekarz w Imperium znajdzie się w pałacu w ciągu pół godziny!

Król wlepił w niego osłupiały wzrok. Ryzyko było straszliwe. Dość, by don Reba mrugnął powieką... Rumata fizycznie wyczuwał te wszystkie badawcze oczy spoglądające teraz na niego znad napiętych strzał - doskonale mu było wiadomo, do czego służą szeregi czarnych, okrągłych przewiewników pod sufitem sypialni. Don Reba też spoglądał nań z wyrazem uprzejmego, życzliwego zaciekawienia.

- Co to znaczy? - spytał gderliwie król. - No więc rozkazuję, no, gdzie pański lekarz?

Rumata sprężył się cały. Wydawało mu się, że groty strzał już go kłują, w łopatki.

- Najjaśniejszy panie - powiedział szybko - rozkaż, aby don Reba przedstawił ci znakomitego doktora Budacha!

Chyba jednak don Reba się stropił. Najważniejsza rzecz została powiedziana, a Rumata żył. Król obrócił zmętniałe oczy na ministra Ochrony Berła,

- Najjaśniejszy Panie - ciągnął Rumata teraz już bez pośpiechu i zgodnie z etykietą. - Wiedząc o twych doprawdy okrutnych cierpieniach, pomny przy tym obowiązków mego rodu wobec monarchów, wezwałem z Irukanu znakomitego, wielce uczonego medyka, doktora Budacha. Niestety podróż doktora Budacha została przerwana. Szare wojsko czcigodnego don Reby pochwyliło go w zeszłym tygodniu i dalsze jego losy wiadome są tylko don Rebie. Przypuszczam, że znajduje się on gdzieś w pobliżu, najprawdopodobniej w Wesołej Wieży, i mam nadzieję, że dziwna niechęć don Reby do medyków nie wycisnęła jeszcze fatalnego piętna na życiu doktora Budacha.

Umilkł wstrzymując oddech. Zdaje się, że wszystko poszło gładko. Uważaj, don Reba! Spojrzał na ministra -i struchlał. Minister Ochrony Berła nie był ani trochę speszony. Kiwał głową patrząc na Rumatę z łagodnym ojcowskim wyrzutem. Tego Rumata absolutnie nie oczekiwał. Ależ on jest w siódmym niebie, pomyślał oszołomiony. Król natomiast zachowywał się zgodnie z przewidywaniami.

- Oszust! - wrzasnął. - Uduszę! Gdzie doktor? Gdzie jest doktor, pytam pana? Milczeć! Gdzie jest doktor?

Don Reba wystąpił naprzód, mile uśmiechnięty.

- Najjaśniejszy Panie - powiedział - jesteś naprawdę szczęśliwym władcą, masz bowiem

tylu wiernych poddanych, że niekiedy w swym pragnieniu służenia ci wchodzą sobie wzajemnie w drogę. (Król patrzył na niego tępo). Nie ukrywam, że - podobnie jak wszystko, co się dzieje w naszym państwie - była mi również znana szlachetna intencja żarliwego don Rumaty. Nie ukrywam, że wysłałem na spotkanie doktora Budacha naszych szarych wojskowych, ale wyłącznie w tym celu, by uchronić starszego czcigodnego człowieka przed niebezpieczeństwami podróży. Nie będę również ukrywał, że nie kwapiłem się z przedstawieniem Waszej Królewskiej Mości Budacha Irukańskiego...

- I pan się na to ważył? - wrzasnął król.

- Najjaśniejszy Panie, don Rumata jest młody i o tyle niedoświadczony w polityce, o ile biegły w szlachetnej walce. Nawet mu na myśl nie przyszło, do jakiej nikczemności może być zdolny książę Irukanu w swej zapiekłej złości do twojej osoby. Najjaśniejszy Panie. Ale my o tym wiemy, prawda? (Król kiwnął głową). Dlatego też uznałem małe wstępne dochodzenie za rzecz konieczną. Nie zalecałbym pośpiechu, ale skoro Wasza Królewska Mość (tu skłonił się nisko królowi) oraz don Rumata (skinął głową Rumacie) tak nalegają, to dziś zaraz po obiedzie doktor Budach stanie przed obliczem Waszej Królewskiej Mości, by rozpocząć kurację.

- Pan jednak nie jest głupi, don Reba - rzekł król po namyśle. - Dochodzenie to dobry pomysł. To nigdy nie zawadzi. Przeklęty Irukańczyk... - Zawył chwytając się znów za kolano - Przekłęta noga! A więc zaraz po obiedzie? Będziemy czekać, będziemy czekać.

I wsparłszy się na ramieniu ministra ceremonii, przeszedł obok oszołomionego Rumaty kierując się do sali tronowej. Gdy zasłonił go tłum rozstępujących się dworzan, don Reba uśmiechając się życzliwie, spytał don Rumatę:

- Zdaje się, że dzisiejszej nocy pan pełni dyżur przy drzwiach sypialni księcia? Chyba się nie mylę?

Rumata skłonił się w milczeniu

Rumata błądził bez celu po bezkresnych korytarzach i przejściach pałacowych, ciemnych, wilgotnych, przesyconych odorem amoniaku i zgnilizny, obok wytwornych, wysłanych dywanami komnat, obok pokrytych grubą warstwą kurzu gabinetów z wąskimi zakratowanymi oknami, obok pakamer zawalonych mnóstwem gratów z odrapaną poźłotą. Ludzi tu prawie nie było. Rzadko który z dworaków odważał się zapuszczać w ten labirynt tylnej części pałacu, gdzie apartamenty królewskie niezauważalnie przechodziły w kancelarie Ministerstwa Ochrony Berła. Łatwo tu było zabłądzić. Pamiętano dobrze wypadek, gdy patrol gwardyjski, który obchodził

dookoła pałac, usłyszał nagle przeraźliwe krzyki człowieka wyciągającego do nich przez kratę ambrazury pokaleczone ręce. "Ratujcie mnie! -krzyczał ów nieszczęśnik. - Jestem kamerjunkier! Nie mogę się stąd wydostać! Od dwóch dni nie miałem nic w ustach! Pomóżcie mi!" (Dziesięć dni trwała ożywiona korespondencja między ministrem finansów a ministrem dworu, wreszcie postanowiono jednak wyłamać kratę, a przez te dziesięć dni karmiono nieszczęsnego kamerjunkra podając mu mięso i chleb na końcu dzidy). Poza tym było tu w ogóle niezbyt bezpiecznie. W ciasnych korytarzach wpadali na siebie podpici gwardziści strzegący osoby króla i podpici szturmowcy strzegący ministerstwa. Rąbali się zaciekle, a gdy już mieli dość rąbaniny, rozchodzili się unosząc ze sobą rannych. No i wreszcie błędziły tu widma pomordowanych. W ciągu dwóch stuleci nagromadziło ich się w pałacu co niemiara.

Z głębokiej niszy w ścianie wystąpił szary wartownik z toporem w pogotowiu.

- Nie wolno - oznajmił ponurym głosem.

- Co ty tam wiesz, idioto! - rzekł lekceważąco Rumata odsuwając go ręką.

Słyszał, jak szturmowiec drepcze niepewnie za nim i nagle schwytał się. na myśli, że obraźliwe słówka i lekceważące gesty są już u niego odruchowe, że już nie odgrywa arystokratycznego chama, lecz w znacznej mierze stał się nim w rzeczywistości. Wyobraził sobie, że mógłby zachować się w podobny sposób na Ziemi i ogarnął go wstyd i obrzydzenie. Co się ze mną stało? Dlaczego? Gdzie się podział wpojony i pielęgnowany od dzieciństwa szacunek i zaufanie do pokrewnych mi stworzeń - do wspaniałej istoty zwanej "człowiekiem"? Przecież już nie mam na to rady, myślał ze zgrozą. Przecież ja rzeczywiście nienawidzę ich, gardzę nimi... Wcale ich nie żałuję - nienawidzę i gardzę. Mogę bez końca usprawiedliwiać tępotę i bestialstwo owego chłopaka, którego przed chwilą odepchnąłem, warunkami społecznymi, straszliwym otoczeniem, w jakim się wychował i jeszcze wieloma innymi przyczynami, a jednak widzę teraz wyraźnie, że to mój wróg, wróg wszystkiego, co ja kocham, wróg moich przyjaciół, wróg tego, co uważam za najświętsze, I nienawidzę go nie teoretycznie, nie jako "typowego przedstawiciela", lecz jego osobiście, jako jednostkę. Nienawidzę tej zaślinionej mordy, odoru nie mytego ciała, jego ślepej wiary, złości do wszystkiego, co wychodzi poza granice czynności płciowych i popijawy. Oto drepcze teraz w miejscu ten prostak, któremu ledwie przed pół rokiem brzuchaty tatuńcio łoł skórę, starając się przyuczyć do handlu zleżałą mąką i scukrzonymi konfiturami, sapie dureń skończony i wysila mózgownicę, by przypomnieć sobie niedostatecznie wykute paragrafy regulaminu i ani rusz nie może skombinować, czy należy rąbnąć szlachetnego

pana toporem, wrzeszczeć: "Na pomoc!", czy po prostu machnąć ręką - i tak nikt się nie dowie. No i w końcu machnie na wszystko ręką, wróci do swojej niszy, wepchnie do gęby kawał kory i będzie ją żuł śliniąc się i mlaskając. O niczym absolutnie nie chce wiedzieć, o niczym myśleć. Myśleć! A czy nasz sławetny don Reba różni się czymkolwiek od niego? Jego psychika i odruchy są znacznie bardziej złożone, lecz myśli podobne do tych cuchnących amoniakiem i zbrodniami labiryntów pałacowych. W dodatku jest piekielnie nikczemny. Zbrodniczy pajak-drapieżca. Przybyłem tu, aby kochać ludzi, dopomóc im rozprostować karki, zobaczyć niebo. Tak, marnym jestem zwiadowcą, pomyślał ze skrucą, i jeszcze marniejszym historykiem. Kiedyż to zdążyłem zapisać się w to trzęsawisko, o którym wspomniał don Condor? Czy bóg ma prawo do jakichkolwiek uczuć, poza litością?

Z tyłu rozległ się pospieszny tupot nóg. Rumata odwrócił się i krzyżując ręce, oparł je na głowniach mieczy. Biegł ku niemu don Ripat przytrzymując klingę u boku

- Don Rumata!... Don Rumata!...- wołał już z daleka, ochryplym szeptem.

Rumata puścił miecze. Don Ripat podbiegłszy blisko rozejrzał się i szepnął mu na ucho-

- Szukam pana już od godziny. W pałacu jest Waga Koło! Rozmawia z don Rebą w liliowych komnatach.

Rumata aż zmrużył powieki. Potem odsuwając się dyskretnie, rzekł z uprzejmym uśmiechem:

- Ma pan na myśli słynnego rozbójnika? Przecież on chyba został stracony albo w ogóle jest postacią mityczną.

Porucznik obliznął suche wargi.

- On istnieje. Jest w pałacu. Sądziłem, że to zainteresuje pana.

- Kochany don Ripat - odparł Rumata pouczającym tonem - mnie interesują różne wieści. Ploteczki. Anegdoty... Życie jest takie nudne... Pan mnie zapewne źle zrozumiał... (Porucznik patrzył na niego zbaraniałym wzrokiem). Proszę się tylko zastanowić, cóż mnie obchodzą podejrzane kontakty don Reby, którego zbyt szanuję, by go w jakikolwiek sposób osądzać... A poza tym, pan wybacz, bardzo się spieszę... Czeka na mnie dama.

Don Ripat znów obliznął wargi i złożony ukłon, oddalił się bokiem. Rumata olśniła nagle szczęśliwa myśl:

- Aha, przyjacielu - zawołała przyjaźnie. - Jak się panu podobała mała intryga, którą wspólnie z don Rebą przeprowadziliśmy dziś rano?

Don Ripat zatrzymał się skwapliwie.

- Jesteśmy ogromnie zadowoleni - odpowiedział.

- Prawda, że to wyszło bardzo sympatycznie?

- Świetnie! Szary korpus oficerski bardzo się cieszy, że pan wreszcie stanął otwarcie po naszej stronie. Bo jakże to, taki mądry człowiek jak pan, a zadaje się z baronami i innymi szlacheckimi wypędkami...

Mój drogi Ripat - powiedział wyniośle Rumata odwracając się i odchodząc. - Pan zapomina, że z wysokości mego rodu wszelkie różnice są już niedostrzegalne. Do widzenia.

Ruszył wielkimi krokami przez korytarze, pewnie skręcając w poprzeczne przejścia i bez słowa odsuwając wartowników. Nie bardzo wiedział, co uczyni dalej, za to w pełni zdawał sobie sprawę, że tym razem los był dla niego niezwykle, wyjątkowo łaskawy. Musi usłyszeć rozmowę dwóch pajaków. Nie na darmo don Reba obiecał za żywego Wagę czternaście razy więcej, niż za Wagę martwego...

Zza liliowych portier wynurzyli się dwaj podporucznicy z obnażonymi klingami.

- Witam was, przyjaciele - rzekł Rumata stając między nimi. - Minister jest u siebie?

- Jest w tej chwili zajęty, don Rumata - odpowiedział jeden z oficerów.

- Zaczekam - Rumata wszedł za portiery.

Ciemno tu było choć oko wykol. Rumata szedł po omacku wymijając fotele, stoły i ciężkie podstawki do kaganków. Kilka razy słyszał wyraźnie czyjeś sapanie nad uchem, owiewał go ciężki zapach czosnku i piwa. Wreszcie spostrzegł wąską smugę światła i zatrzymał się usłyszawszy znajomy nosowy tenorek czcigodnego Wagi. W tejże sekundzie poczuł ostrożny dotyk dzidy między łopatkami. "Uspokój się, bałwanie - mruknął z irytacją, lecz ściszone głosem. - To ja, don Rumata". Dzida odsunęła się. Rumata przyciągnął fotel bliżej smugi światła, usiadł wyciągając nogi i ziewnął tak, aby go usłyszano. A potem zaczął obserwować.

Pajaki się spotkały. Don Reba siedział w pozie pełnej napięcia, palce miał splecione, łokcie wsparte o stół. Z prawej strony na stosie papierów leżał ciężki nóż z drewnianą rękojeścią. Twarz ministra zdobił uprzejmy, choć nieco drętwy uśmiech. Waga siedział na sofie, plecami do Rumaty. Przypominał starego zdziwaczałego wielmożę, który przez trzydzieści ostatnich lat nie ruszył się nogą ze swej zamiejskiej rezydencji.

- Podskubańce się opierzą - mówił - i czarną chmarą rąbną po margańcach. To już dwadzieścia długich chocharów. Warto byłoby tuknąć w pstrokaczy. Ale chochary fałszywie

chlustają. Tym podchodem zakujemy sitwę. Taki nasz przymiar...

Don Reba głaskał wygolony podbródek.

- Hadko taki - rzekł w zamyśleniu. Waga wzruszył ramionami.

- Taki nasz przymiar. Dla waszej pazerności chabuzić się z nami nie interes. Po gnatach?

Po gnatach - odparł zdecydowanie minister Ochrony Berła.

- I przybite. - Waga podniósł się z sofy.

Rumata, który słuchał w osłupieniu tej abrakadabry, odkrył na twarzy Wagi wąsy i spiczastą siwą bródkę. Klasyczny typ dworzanina z epoki minionej regencji.

- Miło mi było spotkać się z panem - powiedział Waga.

Don Reba również się podniósł.

- Rozmowa z panem sprawiła mi ogromną przyjemność. Po raz pierwszy widzę tak odważnego człowieka, jak pan, czcigodny...

- Ja też - przerwał znużonym głosem Waga. - Ja też podziwiam i chlubię się odwagą pierwszego ministra naszego państwa.

Odwrócił się od don Reby i podreptał ku drzwiom wspierając się na lasce. Don Reba nie spuszczać zeń zamyślnego wzroku, dotknął z roztargnieniem rękojeści noża. Równocześnie za plecami Rumaty ktoś straszliwie zasapał i długa brunatna lufa przesunęła się obok jego ucha mierząc w szczelinę między portierami. Sekundę don Reba stał, jak gdyby nasłuchując, potem usiadł, wysunął szufladę biurka, wyjął stertę papierów i pograżył się w czytaniu. Za plecami Rumaty ktoś splunął, lufa się cofnęła. Wszystko już było jasne. Pająki się dogadały. Rumata podniósł się z fotela i depcząc po czyichś nogach, zaczął się przemykać ku wyjściu z liliowych komnat

Król obiadował w ogromnej sali z dwoma rzędami okien. Trzydziestometrowy stół był nakrywany na sto osób: Jego Królewska Mość, don Reba, osoby królewskiej krwi (dwudziestu zdrowych jak byki osobników, żarłoków i ochlapusów), ministrowie dworu i ceremonii, grupa rodowej arystokracji (w tej liczbie i Rumata), tradycyjnie zapraszanej do królewskiego stołu, tuzin przyjezdnych baronów wraz z głąbowatymi baronetami i na szarym końcu różnoraka arystokratyczna drobica, która nie przebierając w środkach uzyskała zaproszenie. Tych ostatnich, wręczając im kartę oraz numer fotela, uprzedzano: "Proszę siedzieć spokojnie, król nie lubi, gdy ktoś się kręci. Ręce proszę trzymać na stole, król nie lubi, by chować ręce pod stół. I nie oglądać się, król nie lubi, jak ktoś się rozgląda". Przy każdym takim obiedzie pozerano

niesłychane ilości wykwintnego jadła, wypijano jeziora najstarszych ,win, tłuczono całe stopy słynnej estorskiej porcelany. Minister finansów w którymś ze swych raportów dla króla chełpił się tym, że jeden obiad Jego Królewskiej Mości kosztuje akurat tyle, ile wynosi półroczny budżet Soańskiej Akademii Nauk.

Czekając, kiedy minister ceremonii przy dźwiękach trąb trzykrotnie obwieści: "do stołu!", Rumata stał w grupie dworzan i po raz dziesiąty wysłuchiwał opowieści don Tamea o królewskim obiedzie, w którym tenże miał honor uczestniczyć pół roku temu.

- Znalazłem swój fotel, stoimy, wchodzi król, siada, więc i my wszyscy siadamy. Obiad toczy się normalnie. i nagle, wystawcie sobie, moi panowie, czuję pod sobą mokro... Mokro! Nie mam odwagi ani się odwrócić, ani poruszyć, ani pomacać ręką. Wybrałem wreszcie odpowiedni moment, wsadzam pod siebie rękę - i co? Jak mi Bóg miły, mokro! Wącham palce, nic specjalnie nie czuć. Cóż to za jakaś ciemna sprawa! Tymczasem obiad się kończy, wszyscy wstają, a ja, moi kochani, wstać się boję... Widzę, że król zdążył w moją stronę - król! - a ja siedzę dalej niczym jakiś baron z zapadłej wiochy nie mający pojęcia o etykiecie. Najjaśniejszy Pan podchodzi do mnie, uśmiecha się miłościwie i kładzie mi rękę no ramieniu: "Mój drogi don Tameo, my już wstaliśmy od stołu i idziemy obejrzeć balet, a pan wciąż jeszcze siedzi. Co panu, czyżbyś się objadł za bardzo?" - "Wasza Królewska Mość - odpowiadam - każ mi głowę odrąbać, a ja czuję mokro pod sobą". Król raczył się roześmiać i kazał mi wstać. Podnoszę się - i co? Wszyscy ryczą ze śmiechu! Kochani moi, a ja przez cały obiad siedziałem na torcie rumowym! Król raczył wybuchnąć śmiechem. "Oj, Reba, Reba - powiedział na koniec - to wszystko pańskie kawały! Oczyszcze pan teraz szlachetnie urodzonego, skoroś mu pan upaść siedzenie!" Don Reba zanosząc się śmiechem wyjmując kindżał i zaczyna zbierać tort z moich spodni. Wyobraźcie sobie, jak się czułem, moi panowie? Nie ukrywam, że trząsnę się ze strachu, aby don Reba, upokorzony przy wszystkich, nie zemścił się na mnie później. Na szczęście uszło mi to płazem. Zapewniam was, moi panowie, że była to najszcześniejsza chwila w moim życiu! Jakże król się śmiał! I jaki był ubawiony!

Słuchacze chichotali. Takie dowcipy były zresztą przy królewskim stole rzeczą nagminną. Gości sadzano na pasztetach, w fotelach z podpiłowanymi nóżkami, na gęsich jajach. Sadzano również na zatrutych szpilkach. Król lubił, by mu dostarczano rozrywek. Rumata pomyślał nagle: ciekawe, jak ja bym się zachował na miejscu tego idioty? Obawiam się, że król musiałby poszukać sobie innego ministra Ochrony Berła, a Instytut - przysłać do Arkanaru innego

zwiadowcę. A w ogóle, to trzeba mieć się na baczności. Skoro nasz genialny don Reba...

Zagrzmiały trąby, melodyjnie ryknął minister ceremonii, wszedł król utykając na jedną nogę i goście zaczęli sadowić się przy stole. W rogach sali, wsparci na oburęcznych mieczach, stali nieruchomo pełniący służbę gwardziści. Rumacie przypadli dwaj milczący sąsiedzi. Z prawej strony wypełniało fotel trzęsące się cielsko ponurego obżartucha don Pify, małżonka słynnej piękności, z lewej wpatrywał się bezmyślnie w pusty talerz Gur Improvizator. Goście zamarli spoglądając na króla. Najjaśniejszy pan wetknął za kołnierz szarawą serwetkę, obrzucił wzrokiem potrawy i chwycił kurzą nogę. Ledwie wpił się w nią zębami, już setka noży z brzękiem opadła na talerze i setka rąk sięgnęła do półmisków. Sala napełniła się mlaskaniem i smoktaniem, zabułgotało wino. Wąsy nieruchomych gwardzistów z oburęcznymi mieczami poruszyły się łakomie. Dawniej Rumatę mdliło podczas tych obiadów. Teraz już się przyzwyczał.

Dzieląc kindzalem łopatkę barania, spojrział z ukosa w prawo i natychmiast odwrócił wzrok - don Pifa zawisł nad upieczonym w całości dzikiem i rył w nim jak koparka mechaniczna. Nie zostawił nawet kosteczki. Rumata wstrzymał oddech i wychylił jednym haustem szklanice irukańskiego. Potem zerknął w lewo. Gur Improvizator grzebał apatycznie łyżką w miseczce z sałatą.

- Co pan pisze nowego, ojczy Gur? - spytał Rumata półgłosem.

Gur drgnął.

- Piszę?... Ja... Nie wiem... Dużo.

- Wiersze?

- Tak... oczywiście...

- Okropne są pańskie wiersze, ojczy Gur. (Gur popatrzył na niego dziwnym wzrokiem).

Tak, tak, to nie ma nic wspólnego z poezją.

- Nie ma nic wspólnego... Chwilami zastanawiam się, kimże ja jestem? I czego się boję? Nie wiem.

- Proszę patrzeć w talerz i nie przerywać jedzenia. Powiem panu, kim pan jest. Genialnym twórcą, który wskazał nową, niesłychanie odkrywczą drogę w literaturze (Na policzki Gura z wolna wypływał rumieniec). Za sto lat, a może i wcześniej w pańskie ślady pójną dziesiątki pisarzy.

- Boże, miej ich w swojej opiece! - wyrwało się Gurowi.

- A teraz powiem panu,, czego pan się boi.

- Boję się mroku.

- Ciemności?

- Ciemności również. Ciemność oddaje nas we władzę widziadłom. Najbardziej jednak boję się mroku, ponieważ w mroku wszystko wydaje się jednakowo szare.

- Świetnie powiedziane, ojcie Gur. A propos, czy można jeszcze dostać pańską książkę?

- Nie wiem... I nie chcę wiedzieć.

- Na wszelki wypadek wiedzieć nie zaszkodzi - jeden egzemplarz znajduje się w metropolii, w bibliotece cesarskiej. Drugi w Muzeum Unikatów w Soanie. Trzeci u mnie.

Gur trzęsącą się ręką nałożył sobie łyżkę galarety.

- Ja... nie wiem... - Popatrzył smutno na Rumatę dużymi, wpadniętymi oczami. - Chciałbym przeczytać... jeszcze raz...

- Z przyjemnością panu pożyczę...

- A potem?...

- Potem pan mi zwróci.

- Potem panu zwróć! - rzucił ostro Gur.

Rumata pokiwał głową.

- Don Reba potężnie pana zastraszył, ojcie Gur.

- Zastraszył... Czy przyszło panu kiedykolwiek palić własne dzieci? Cóż może wiedzieć o strachu szlachetnie urodzony pan?!...

- Chylę głowę w obliczu tego, co musiał pan przeżyć, ojcie Gur. Ale z całej duszy, potępiam za to, że pan się poddał.

Gur Improwizator zaczął szeptać tok cicho, że Rumato z ledwością go słyszał pośród mlaskania i gwaru głosów.

- W imię czego to wszystko?... Co to jest prawda?... Książę Chaar rzeczywiście kochał piękną miedzianoskórą Dziainiwniworę... Mieli dzieci... Znam ich wnuka... ja rzeczywiście otruto... A mnie wytłumaczyli, że to kłamstwo... Że dziś prawdą jest wyłącznie to, co ma na celu dobro królewskie... Reszta jest kłamstwem i przestępstwem. Przez całe życie pisałem .same kłamstwa...I dopiero teraz piszę prawdę...

Podniósł się nagle i śpiewnie, gromkim głosem zadeklamował:

Sławny i wielki król jak wieczność.

A imię jego jest - Szlachetność!
I wielbi nieskończoność bóstwo,
i ustąpiło pierworództwo!

Król przestał poruszać szczękami i wlepił w niego tępe spojrzenie. Goście wtulili głowy w ramiona. Tylko don Reba uśmiechnął się i kilka razy bezdźwięcznie zaklaskał w dłonie. Król wypłuł kości na obrus i powiedział:

- Nieskończoność?... Pierworództwo? Bardzo słusznie, ustąpiło. Pochwalam. Możesz jeść.

Znów się rozległo mlaskanie i gwar rozmów. Gur usiadł.

- Łatwo i słodko jest mówić królowi prawdę w oczy - rzekł ochryple.

Rumata nic nie odpowiedział.

- Dam panu egzemplarz pańskiej książki, ojcze Gur - odezwał się po chwili. - Ale pod jednym warunkiem. Niezwłocznie zabierze się pan do pisania następnej.

- Nie. Za późno. Niech pisze Kiun. Jestem zatruty. Nic mnie Już nie interesuje. Pragnę teraz tylko jednego - nauczyć się pić. I nie mogę... Mam bóle żołądka...

Jeszcze jedna kłeska, pomyślał Rumata. Spóźniłem się.

- Słuchaj no, Reba - rzekł nagle król. - A gdzie lekarz? Obiecał mi pan lekarza zaraz po obiedzie.

- Jest tutaj - oświadczył Reba. - Czy Wasza Królewska Mość rozkaże go wezwać?

- Czy rozkażę? Dobry sobie! Jakby pana tak bolało kolano, to byś kwiczał jak świnia!...
Dawać go tu natychmiast!

Rumata odchylił się na oparcie fotela, by lepiej widzieć. Don Reba podniósł rękę nad głowę i pstryknął palcami. Drzwi się otworzyły, do sali, kłaniając się co krok, wszedł zgarbiony starszy mężczyzna w długiej opończy, ozdobionej wizerunkami srebrnych pajaków, gwiazd i węży. Pod pachą trzymał płaską, podłużną torbę. Rumata zaniemówił ze zdumienia - zupełnie inaczej wyobrażał sobie doktora Budacha. Nie do wiary po prostu, aby mędrzec i humanista, autor wszechstronnego "Traktatu o truciznach", mógł mieć takie rozbiegane wyblakłe oczki, trzęsące się ze strachu wargi, żaloszny przypochlebny uśmiech. Ale Rumata przypomniał sobie Gura Improwizatora. Widocznie między przesłuchaniem domniemanego szpiega irukańskiego a literacką pogawędką w gabinecie don Reby należało postawić znak równości. Gdyby tak wziąć

Rebę za ucho, pomyślał z namiętym pragnieniem. Zawlec go do lochu. Powiedzieć siepaczom: "Oto szpieg irukański, który podszył się pod naszego słynnego ministra, król rozkazał wydobyć z niego, gdzie znajduje się prawdziwy minister, czyńcie waszą powinność, ale biada wam, jeśli on zemrze wcześniej, niż za dni siedem..." Rumata musiał zasłonić twarz ręką, by nikt nie dostrzegł jej wyrazu. Cóż to za straszna siła - nienawiść...

- Nuże, nuże, podejdz tu, lekarzu - zawołał król. - Ależ z ciebie wymoczek. Zrób no parę przysiadów, żywe ogłuchłeś?!

Nieszczęsny Budach zaczął wykonywać przysiady.

- Jeszcze, jeszcze - gęgotał król. - Jeszcze raz! Jeszcze! Kolanka cię nie boją, to znaczy, żeś je dobrze wyleczył. A pokaż zęby! Ta-ak, zęby też niczego. Mnie by się, takie przydały... I ręce, wcale, wcale, mocne. Zdrowyś, chociaż taki wymoczek... No dobra, kochanku, zabiera; się do leczenia, czego stoisz...

- Wa-wasza Królewska Mość... ra-raczy pokazać nóżkę... Nóżkę... - usłyszał Rumata. Podniósł oczy.

Budach klęczał przed królem i delikatnie ugniatał jego nogę.

- Ej, ej! - krzyknął król.-- Co to znaczy? Nie ściskaj! Obiecałeś leczyć, to lecz!

- Już wszystko w-wiem, Wasza Królewska Mość - mamrotał medyk i zaczął pospiesznie grzebać w swej torbie,

Goście przerwali jedzenie. Arystokratyczni szaraczkowie na dalekim końcu stołu aż się podnieśli z lekka i wyciągnęli szyje płonąc z ciekawości.

Budach wydobył z torby kilka kamionkowych flakonów, odkorkował je i wachając każdy z osobna ustawił je rzędem na stole. Następnie wziął puchar króla i napelnił do połowy winem. Wykonując nad pucharem passy obiema rękami i mruczac zaklęcia, przelał szybko do wina zawartość wszystkich flakonów. W sali rozszedł się wyraźny zapach amoniaku. Król zacisnął usta, zajrzał do pucharu i zmarszczywszy nos popatrzył na don Rebę. Minister uśmiechnął się współczująco, Dworzanie wstrzymali oddech.

Co on wyrabia, zdumiał się Rumata, przecież staruch cierpi na podagrę! Co to za mieszanka? Traktat wyraźnie mówi: nacierać opuchnięte spojenia członków wyciągiem z trzydniowego jadu białej żmij Ku. Może to służy do nacierania?

- I co, nacierać tym? - spytał król bojaźliwie wskazując na puchar.

- Broń Boże, Wasza Królewska Mość - powiedział Budach. Zdołał się już nieco

opanować. - To jest do wewnątrz.

- Do wewnątrz? - Kro! nadął się i opadł na fotel. - Ja nie chcę do wewnątrz. Nacieraj.

- Jak Wasza Królewska Mość sobie życzy - rzekł pokornie Budach. - Ośmielam się jednak zauważyć, że nacieranie nie da żadnego rezultatu.

- Wszyscy stosują nacieranie - zrzędził król - a ty chcesz koniecznie wlewać we mnie to świństwo.

- Najjaśniejszy Panie - Budach wyprostował się dumnie - tę driakiew znam tylko ja jeden! Wyleczyłem nią stryja księcia Irukanu. Co się zaś tyczy nacieraczy, to wszakże oni nie wyleczyli Waszej Królewskiej Mości...

Król spojrział na don Rebę. Minister znów uśmiechnął się współczująco.

- Łajdak - mruknął nieprzyjemnym głosem król zwracając się do Budacha, - Chłopek roztropek. Wymoczek parszywy. - Wziął do ręki puchar. - Jak cię tym trzasnę w zęby... - Zajrzał do środka. - A jeżeli zwymiotuję?

- Wypadnie powtórzyć, Najjaśniejszy Panie - odparł z ubolewaniem Budach.

- No dobrze, Bóg czuwa nad nami! - Król podniósł był puchar do ust, lecz nagle cofnął go tak gwałtownym ruchem, że trochę płynu wychlusnęło na obrus. - Najpierw ty spróbuj. Już ja znam tych Irukańczyków, wyście świętego Mikę wydali barbarzyńcom. Pij, rozkazuję ci!

Budach z urażoną miną wziął puchar i upił parę łyków.

- No jak? - spytał król.

- Gorzkie, Wasza Królewska Mość - odparł Budach zdławionym głosem. - Ale wypić trzeba.

- Trze-eba, trze-eba - przedrzeźniał król. - Sam wiem, że trzeba. Dawaj. O, jak się dorwał, to połowę wyżłopał.

Opróżnił puchar jednym tchem. Nad stołem zaszemrały Współczujące westchnienia i naraz wszystko zamarto. Król siedział sztywny, z otwartymi ustami. Z oczu gradem płynęły mu Izy. Robił się coraz bardziej purpurowy, potem zsiniał. Wyciągnął nad stołem rękę konwulsyjnie przebierając palcami. Don Reba szybko podsunął mu kwaszony ogórek. Król bez słowa cisnął w niego ogórkiem i znów wyciągnął rękę:

- Wina... - wybełkotał.

Ktoś skoczył, podał dzban. Król wściekle tocząc oczami, pił z głośnym gulgotem. Czerwone strugi ściekały po jego białej kamizeli. Gdy dzban był już pusty, rzucił nim w

Budacha, ale chybił.

- Ścierwo! - przemówił nieoczekiwanym basem. - Za co mnie utrupiłeś? Jeszcze za mało was wywieszali! Żebyś pękł!

Umilkł i pomacał kolano.

- Bo-oli! - zagęgał znów dawnym głosem. - Boli tak samo, ani trochę mniej i

- Najjaśniejszy Panie - oświadczył Budach. - Aby nastąpiło całkowite wyleczenie, trzeba tę drakiew pić codziennie i to najmniej przez tydzień...

W gardle króla coś zaskrzeczało.

- Precz! - wrzasnął. - Precz stąd wszyscy!

Dworzanie przewracając fotele, hurmą rzucili się do drzwi.

- Pre-e-ecz!... - darł się przeraźliwie król zmiatając ze stołu zastawę.

Rumata wybiegłszy z sali dał nura za jakąś portierę i tam krztusił się ze śmiechu. Za sąsiednią portierą też się śmiano - ktoś zrywał boki, jęczał nie mogąc złapać tchu.

ROZDZIAŁ VI

Zmiana dyżuru w sypialni księcia wypadła o północy, Rumata postanowił więc wstąpić do domu, sprawdzić, czy wszystko w porządku i zmienić strój. Widok wieczornego miasta wstrząsnął nim. Ulice były pogrążone w grobowej ciszy, szynki zamknięte. Na skrzyżowaniach stały podzwaniając żelazem grupy szturmowców z pochodniami. Milczeli i jak gdyby na coś czekali. Kilkakrotnie podchodzili do Rumaty, przypatrywali mu się i rozpoznawszy puszczały dalej bez słowa. W odległości około pięćdziesięciu kroków od domu przyczepiła się do niego banda jakichś podejrzanych typów. Rumata zatrzymał się, szcęknął hałaśliwie mieczem o miecz i banda została w tyle, równocześnie jednak skrzypnęła w ciemności napinana kusza.

Rumata przyspieszył kroku przemykając się pod ścianami, namacał drzwi, przekręcił klucz w zamku wciąż czując swoje nie osłonięte plecy i z westchnieniem ulgi wpadł do hallu.

W hallu zebrała się cała służba uzbrojona w co kto miał pod ręką. Okazało się, że już kilkakrotnie próbowano wyważyć drzwi. Nie podobało się to Rumacie. "Może nie iść? - pomyślał. - Do diabła z księciem".

- Gdzie baron Pampa? - zapytał.

Uno wzburzony do najwyższych granic, z kuszą na ramieniu, odpowiedział, że "baron obudzili się jeszcze w południe, wypili wszystek kwas, jak! był w domu i znów poszli hulać". Potem zniżając głos poinformował Rumatę, że Kira ogromnie się niepokoi i już kilka razy o niego pytała.

- Dobrze - Rumata skinął głową i kazał służbie stanąć w szeregu.

Służących było sześciu nie licząc kucharki - wszystko ludzie oblatani, nawykli do bójek ulicznych. Z szarymi, oczywiście, nie będą wchodzić w zatargi z obawy przed gniewem wszechwładnego ministra, ale oberwańcom nocnej armii potrafią stawić czoło, tym bardziej że rozbójnicy będą tej nocy szukać łatwej zdobyczy. Dwie kusze, cztery siekiery, ciężkie noże rzeźnicze, żelazne hełmy, drzwi solidne, okute, jak tu jest w zwyczaju, żelazem... A może jednak nie iść?

Rumata udał się na górę i wszedł na palcach do pokoju Kiry. Spała w ubraniu zwinięta w kłębuszek na nie rozesłanym łóżku. Stał nad nią chwilę z kagankiem w ręku. Iść czy nie iść? Okrył ją pledem, pocałował w policzek i wrócił do gabinetu. Musi iść. Cokolwiek się tam dzieje, zwiadowca winien być w samym ogniu wydarzeń. To i dla historyków z pożytkiem. Uśmiechnął się, zdjął z głowy obręcz, starannie przetaił miękkim zamszem obiektyw i włożył ją ponownie.

Potem zawołał Una i kazał mu przynieść uniform wojskowy oraz wyczyszczony do blasku miedziany hełm. Pod kamizelę wprost na koszulkę wciągnął wzdrygając się z chłodu kaftan z plastycznego metalu w kształcie kolczugi (tutejsze kolczugi stanowiły niezłą ochronę przed mieczem i kindżalem, natomiast strzała z kuszy przebijała je na wylot). Zapinając pas wojskowy z metalowymi sprzączkami, rzekł do Dna:

- Posłuchaj mnie, chłopcze. Tobie ufam najbardziej. Cokolwiek by tu zaszło, pamiętaj, że Kirze włos nie śmie spaść z głowy. Niech spłonie dom, niech rozgrabią wszystkie pieniądze, ale ocal mi Kirę. Wyprowadź ją po dachach, przez piwnice, jak chcesz, tylko mi ją ocal. Rozumiesz?

- Rozumiem - odpowiedział Uno. - Ale może niech pan dziś nie wychodzi...

- Słuchaj dalej. Jeżeli za trzy dni nie wrócę, bierz Kirę i wywieź ją do sałwy, do Czkającego Lasu. Wiesz, gdzie to jest? Otóż w Czkającym Lesie znajdziesz Pijacką Gawrę, to taka chata stojąca niedaleko drogi. Jak się zapytasz, pokażą ci. Tylko uważaj, kogo pytasz. W tej chacie znajdziesz człowieka, który się nazywa ojciec Cabani Opowiesz mu wszystko. Rozumiesz?

- Rozumiem. Ale lepiej, żeby pan nie wychodził.

- Ja też bym wolał. Nie mogę jednak - służba... No, trzymaj się.

Prztyknął chłopca leciutko w nos i odpowiedział uśmiechem na jego nieporadny uśmiech. Na dole wygłosił krótkie pocrzepiające przemówienie do służących, wyszedł za próg i znów znalazł się w ciemnościach. Za jego plecami zgrzytnęły zasuw.

Komnaty księcia były zawsze, bez względu na okres historyczny, marnie strzeżone. Może właśnie dlatego osoba książąt arkanarskich nigdy nie była obiektem zamachów. A już w szczególności nie interesowano się obecnym księciem. Nikomu nie był potrzebny ów wąły błękitnooki chłopczyk, podobny do wszystkich, tylko nie do swego ojca. Rumata lubił małego księcia. Ponieważ zupełnie nie dbano o jego wychowanie, był bardzo pojętny, pozbawiony cech okrucieństwa, nie cierpiał - instynktownie zapewne - don Reby, lubił wyśpiewywać głośno różne piosenki do słów Zurena i bawić się okręcikami. Rumata sprowadzał dla niego z metropolii książki z obrazkami, opowiadał o gwiazdzystym niebie, a pewnego dnia na zawsze podbił serce chłopca bajką o latających statkach. Dla Rumaty. rzadko stykającego się z dziećmi, dziesięcioletni książę był antypodą wszystkich stanów tego dzikiego kraju. Właśnie i takich zwyczajnych błękitnookich malców, jednakowych we wszystkich stanach, wyrastały potem bestie, ciemne nieuki, pokorni służalcy, a przecież w tych dzieciach nie było najmniejszych

śladów ani zadatków tej ohydy. Rumata chwycił się chwilami na myśli, jak to byłoby wspaniale, gdyby z planety zniknęli wszyscy ludzie powyżej lat dziesięciu.

Księżę już spał. Rumata stanął przy łożu śpiącego chłopca obok przekazującego mu dyżur gwardzisty wykonując złożone, wymagane przez dworski ceremoniał ruchy obnażonymi mieczami, potem zgodnie z tradycją sprawdził, czy wszystkie okna są zamknięte, wszystkie piastunki na miejscu, czy we wszystkich pokojach palą się kaganki, wrócił na korytarz, rozegrał z kończącym dyżur gwardzistą partię kości i spytał go o zdanie na temat atmosfery w mieście. Szlachcic znacznego rodu i równie znacznego rozumu zadumał się głęboko, po czym wyraził przyznanie, że to lud przygotowuje się do uczczenia dnia świętego Miki.

Po jego odejściu Rumata przysunął fotel do okna, usadowił się wygodnie. Dom księcia stał na wzgórzu i w dzień miasto było stąd widoczne aż do wybrzeża morskiego. Teraz jednak wszystko tonęło w mroku, tylko migotały rozrzucone skupiska świateł na skrzyżowaniach, gdzie stali czekający na sygnał szturmowcy z pochodniami. Miasto spało lub udawało, że śpi. Ciekawe, czy mieszkańcy przeczuwali, że dzisiejszej nocy zawisło nad ich głowami coś straszliwego? Czy jak ów szlachcic znacznego rozumu również sądzili, że ktoś szykuje się do obchodów dnia świętego Miki? Dwieście tysięcy mężczyzn i kobiet. Dwieście tysięcy kowali, rusznikarzy, rzeźników, galanteryjników, jubilerów, gospodyń domowych, prostytutek, mnichów, wekslarzy, żołnierzy, włóczęgów, ocalałych uczonych przewracało się teraz w dusznych, cuchnących pluskwami łożach - spali, kochali się, obliczali w myślach zyski, płakali, zgrzytali zębami ze złości lub obrazy... Dwieście tysięcy mieszkańców! W oczach przybysza z Ziemi łączyło ich jakaś cecha wspólna. Zapewne to, że wszyscy oni prawie bez wyjątku, nie byli jeszcze ludźmi we współczesnym znaczeniu tego słowa, lecz półfabrykatami, bryłami z których dopiero krwawe stulecia historii wykują kiedyś prawdziwego, dumnego i wolnego człowieka. Byli bierni zachłanni i wręcz nieprawdopodobnie egoistyczni. Co się tyczy ich psychologii, niemal wszyscy byli niewolnikami. Niewolnikami wiary, niewolnikami sobie podobnych, niewolnikami drobnych namiętności, żądzy zysku. I jeśli z woli losu któryś z nich rodził się lub stawał się panem, nie wiedział, co począć ze swą wolnością. Usiłował czym prędzej znów stać się niewolnikiem - bogactwa, rozpasanego luksusu, rozwiązłych przyjaciół, niewolnikiem własnych niewolników. Ogromna większość nie ponosiła tu żadnej winy. Byli zbyt bierni i zbyt prymitywni, to niewolnictwo prowadziło ich do bierności i ciemnoty, a bierność i ciemnota wciąż na nowo rodziły niewolnictwo. Gdyby wszyscy byli absolutnie jednakowi, ręce by opadły i zgasła wszelka

nadzieja. Mimo wszystko jednak byli ludźmi, nosicielami rozumu, i stale to tu, to tam w tej masie błyskały i rozpały się światełka bardzo jeszcze dalekiej i nieuniknionej przyszłości. Rozpały się bez względu na wszystko. Bez względu na swą pozorną bezużyteczność Bez względu na ucisk. Bez" względu na to, że je zdeptywano buciorami. Że nikomu na świecie nie były potrzebne i cały świat był przeciwko nim. Że w najlepszym razie mogły liczyć na wzgardliwą litość z domieszką zdziwienia...

Nie wiedzieli, że przyszłość to oni, że bez nich jest niemożliwa. Nie wiedzieli, że w tym świecie straszliwych upiorów przeszłości oni są jedynym realnym zaczątkiem przyszłości, są fermentem, witaminą w organizmie społeczeństwa. Zniszczyć tę witaminę i organizm zacznie gnić, rozprzestrzeni się społeczny szkorbut, sflaczeją mięśnie, oczy postradają bystrość, wypadną zęby. Żadne państwo nie może się rozwijać bez udziału nauki - zniszczą je sąsiedzi. Bez sztuki i ogólnej kultury państwo traci zdolność do samokrytyki, zaczyna popierać błędne tendencje, tworzyć coraz więcej faryzeuszów i szumowin, wyzwać w obywatelach zadufanie i konsumpcyjny stosunek do życia i w końcu znów padnie ofiarą mądrzejszych sąsiadów. Można ile się chce prześladować uczonych, nakładać pęta nauce, niszczyć sztukę, wcześniej jednak czy później wypadnie się opamiętać i choćby ze zgrzytaniem zębów - dać wolną drogę wszystkiemu, co jest tak nienawistne żadnym władzy tępakom i ignorantom, i niechby nawet ci szarzy ludzie sprawujący rządy żywili dla wiedzy jak najgłębszą pogardę, i tak staną bezsilni wobec obiektywizmu historycznego, mogą tylko zahamować postęp, ale nigdy zatrzymać. To nieuniknione, że gardząc wiedzą i lękając się jej, muszą w końcu udzielić jej poparcia choćby dlatego tylko, by zachować władzę. Wcześniej czy później muszą zezwolić na powstawanie uniwersytetów, towarzystw naukowych, ośrodków badawczych, obserwatoriów, laboratoriów, tworzyć kadry ludzi myślących, posiadających wiedzę, nie podlegających już ich kontroli, ludzi o zupełnie innej psychice, zupełnie innych potrzebach, którzy nie potrafią istnieć, a tym bardziej działać w atmosferze nikczemnego wyrachowania, kuchennych interesów, tępego zarozumiałstwa i czysto zmysłowych uciech. Potrzebny im jest nowy klimat - klimat powszechnych i wszechstronnych pasji poznawczych, potrzebni pisarze, artyści malarze, kompozytorzy - i szarzy władcy będą zmuszeni pójść na te ustępstwa. Ten, kto nie ustąpi, zostanie zniszczony przez sprytniejszych rywali w walce o władzę, ale ten, kto owo ustępstwo zrobi - w tym cały paradoks - niechybnie i wbrew własnej woli wykopie dla siebie grób. Albowiem śmiercią dla egoistycznych ignorantów i fanatyków staje się rozwój kultury narodu w

najszerzym pojęciu - od badań przyrodniczych po zdolność zachwywania się wielką muzyką... A następnie przychodzi epoka potężnych wstrząsów społecznych, której towarzyszy nie spotykany przedtem rozkwit nauki i związany z nim wszechstronny proces intelektualizacji społeczeństwa. Jest to epoka, w której szarość toczy ostatnie boje, okrucieństwem swym spychając ludzkość z powrotem w czasy średniowiecza, ponosi w tych bojach klęskę i już w społeczeństwie wolnym od ucisku klasowego znika jako realna siła na zawsze.

Rumata ciągle patrzył na zamarte w ciemnościach miasto. Gdzieś tam w śmierdzącej klitce skurczony na nędznym łożu spalał się W gorączce okaleczony ojciec Tarra, a brat Nanin siedział obok przy kulawym stoliku, pijany, i kończył swój "Traktat o pogłoskach", ze złośliwą rozkoszą maskując biurokratycznymi passusami piekielną ironię wobec szarego życia. Gdzieś tam błakał się jak ślepiec po luksusowych apartamentach Gur Improwizator czując ze zgrozą, jak w najgłębszych zakamarkach jego rozdartej, stłamszonej duszy budzą się pod naporem jakiejś siły i przedzierają do świadomości kolorowe światy pełne wspaniałych ludzi i przejmujących uczuć, I gdzieś tam nie wiadomo jak spędzał noc załamany, ciśnięty na kolana doktor Budach, zaszczuty, ale żywy... Bracia moi, pomyślał Rumata. Jestem wasz, krew z krwi waszej' Z nagłym, przesywającym uczuciem uświadomił sobie, że bynajmniej nie jest bogiem osłaniającym w dłoniach błędne ogniki rozumu, lecz bratem niosącym pomoc bratu, synem ratującym ojca. "Zabiję don Rebę". - "Za co?" - "Ponieważ zabija mych braci". - "On nie wie, co czyni". - "On morduje przyszłość". - "Nie jest temu winien, jest synem swojej epoki". - "To znaczy, że nie zdaje sobie sprawy, iż jest winien? Cóż z tego, że on nie wie? Ja, ja wiem, że jest winien". - "A co zrobisz z ojcem Cupikiem? On wiele by dał za to aby ktoś zabił don Rebę. Milczysz? Wielu jeszcze wypadnie zabijać, prawda?" - "Nie wiem, może i wielu. Jednego po drugim. Wszystkich, którzy podniosą rękę na przyszłość". - "To już było. Zadawano truciznę, rzucono bomby własnej roboty, I nic się nie zmieniało". - "Nieprawda, zmieniało się. Tak się tworzyła strategia rewolucji". - "Ty nie musisz tworzyć strategii rewolucji. Ty przecież po prostu chcesz zabić". - "Tak, chcę". - "A umiesz?" - "Wczoraj zabiłem donnę Okanę. Wiedziałem, że ją zabijam już wtedy, gdy szedłem do niej z piórem za uchem, I żałuję tylko tego, że zabiłem bez pożytku. A więc prawie mnie już nauczyli',. - "To źle. Niebezpiecznie. Pamiętasz Siergieja Kożina? A George'a Lennie? A Sabinę Krueger?" Rumata przesunął dłonią po wilgotnym czole. Oto myślisz tak, człowiecze, myślisz - i w końcu wymyślasz proch...

Zerwał się i otworzył na rażcież okno. Skupiska światła w ciemnym mieście zaczęły się

poruszać, rozpadły się i pociągnęły szeregiem ukazując się i znikając między niewidocznymi domami. Jakiś dźwięk przeleciał nad miastem - oddalony wielogłosy lament. W dwóch punktach wybuchły pożary oświetlając sąsiednie dachy. W porcie buchnęły płomienie. Zaczęło się. Za kilka godzin będzie wiadomo, co oznacza sojusz szarej i nocnej armii, obłądny sojusz sklepikarzy i rabusiów grasujących na drogach, wyjaśni się, do czego dąży don Reba i jaką nową prowokację zamyślił. Krótko mówiąc - kogo dziś wyrzynają. Prawdopodobnie zaczęła się noc długich noży, zagłada rozzuchwalonego szarego kierownictwa, przy okazji zaś likwidacja przebywających w mieście baronów i najbardziej niewygodnych arystokratów. Co z Pampą, pomyślał Rumata. Byle tylko nie spał, obroni się...

Nie dokończył myśli. Ktoś z przeraźliwym krzykiem: "Otwierać! Dyżurny, otwierać!" - zaczął walić pięściami w drzwi. Rumata odemknął zasuwę. Wpadł na wpół ubrany, siny z przerażenia mężczyzna, chwycił go za wyłogi kamizeli i wołał trzęsąc się jak galareta:

- Gdzie księżę? Budach otruł króla! Irukańscy szpiedzy wszczęli bunt w mieście! Ratujcie księcia!

Był to minister dworu, człowiek głupi i bezgranicznie wierny. Odepchnął Rumatę i wbiegł do sypialni księcia. Rozległ się pisk kobiet. A w drzwiach już się tłoczyli, wysuwając przed siebie zardzewiałe topory, spoceni szturmowcy w szarych koszulach, z gębami jak kufy. Rumata wyszarpnął miecze z pochew.

- Cofnąć się! - rozkazał chłodno.

Z sypialni za jego plecami doleciał krótki, zduszony krzyk. Źle, pomyślał. Coś się wydarzyło. Odskoczył w kąt i zagroził się stołem. Szturmowcy sapiąc ciężko pchali się do pokoju. Zebrało się ich z piętnastu. Porucznik w ciasnym szarym mundurze z obnażonym brzeszczotem przepchnął się naprzód.

- Don Rumata? - spytał z trudem chwytnąc oddech. - Jest pan aresztowany. Proszę oddać miecze.

Rumata roześmiał się obelżywie.

- Proszę je wziąć - odparł spoglądając ukosem na okno.

- Brać go! - ryknął oficer.

Piętnastu spasionych niedołęgów z toporami to niezbyt wiele dla człowieka znającego sposoby walki, które tu staną się znane dopiero w trzy stulecia później. Tłum runął na niego i cofnął się. Na podłodze zostało kilka toporów, dwaj szturmowcy zgięci wpół, przyciskając

ostrożnie do brzuchów zwichnięte ręce, powlekli się na tyły. Rumata znakomicie władał obroną wachlarzową, kiedy to przed napastnikami niby gęsta, migotliwa zasłona wiruje stal i przedarcie się przez ową zasłonę wydaje się wręcz niemożliwe. Szturmowcy sapiąc ciężko spoglądali na siebie niezdecydowanie. Śmierdziało od nich piwem i cebulą.

Rumata odepchnął stół i zaczął ostrożnie przesuwając się pod ścianą w kierunku okna. Ktoś z tylnych szeregów cisnął nożem, ale chybił. Rumata znów się roześmiał, postawił nogę na parapecie i krzyknął:

- Spróbujcie jeszcze raz, a odrąbię ręce. Znacnie mnie...

O tak, znali go. Znali bardzo dobrze, toteż ani jeden nie ruszył się z miejsca mimo przekleństw i ponagleń oficera, który zresztą też zachowywał ostrożność. Rumata stanął na parapecie nie przestając grozić im mieczami i nagle z ciemności dziedzińca trafiła go w plecy ciężka dzida. Cios był straszliwy. Nie przebił metalowej kolczugi, lecz zmiotł Rumatę z parapetu. Nie wypuścił mieczy z rąk, nie mógł już jednak zrobić z nich użytku. Cała zgraja hurmą zwała się na niego. Wszyscy razem z pewnością ważyli ponad tonę, ale przeszkadzali sobie nawzajem i dzięki temu Rumacie udało się stanąć na nogi. Trzasnął pięścią w czyjeś mokre wargi, ktoś po zajęczemu zakniaził mu pod pachą, a on walił łokciami, pięściami, ramionami (dawno już nie czuł się tak swobodnie), ale nie był w stanie strząsnąć ich z siebie. Z nadludzkim wysiłkiem włókł za sobą kupę ciał i szedł ku drzwiom raz po raz schylając się i odrywając uczepionych jego nóg szturmowców. Wtem poczuł bolesne uderzenie w ramię i upadł na wznak przygniatając tamtych własnym ciężarem, lecz natychmiast się zerwał zadając krótkie, potężne ciosy, od których szturmowcy wymachując rękami i nogami plaskali o ściany. Już mignęła przed nim wykrzywiona twarz oficera zasłaniającego się rozładowaną kuszą, gdy nagle drzwi rozwarły się szeroko i nowe spocone gęby obiegły Rumatę. Zarzuciły na niego sieć, ściągnęły na nogach sznury i powaliły na ziemię.

Od razu przestał się bronić, oszczędzając siły. Przez jakiś czas tratowali go buciorami - milcząc, w skupieniu, chrapiąc z rozkoszy. Potem chwycili go za nogi i powlekli. Gdy mijali otwarte drzwi sypialni, zdążył spostrzec ministra dworu przyszpilonego dzidą do ściany i stertę zakrwawionych prześcieradeł na łóżku. "A więc to przewrót! - pomyślał. - Biedny dzieciak..." Gdy go zaczęli wlec po schodach, stracił przytomność.

Rozdział VII

Leżał na trawiastym pagórku i patrzył na obłoki płynące po ciemnobłękitnym otchłannym niebie. Było mu dobrze i wygodnie, ale na sąsiednim pagórku siedział kłujący kościsty ból. Istniał poza nim i równocześnie w jego wnętrzu, szczególnie w prawym boku i w potylicy. Ktoś warknął: "Zdechł czy co? Łby pourywam!" I nagle lunął z nieba potok lodowatej wody. Rumata rzeczywiście leżał na wznak i patrzył w niebo, tyle że nie na pagórku, lecz w kałuży, a niebo nie było ciemnobłękitne, lecz czarnoolowiane, oświetlone z dołu czerwonym poblaskiem. "E tam - powiedział drugi głos. - Oni przecież żyją. Gałami łypią". To ja żyję, pomyślał Rumata. O mnie mowa. To ja łypię gałami. Ale czemu oni tak się zgrywają? Oduczyli się mówić po ludzku?

Obok ktoś się poruszył i ciężko zacząłapał po wodzie. Na tle nieba zamajaczył czarny kontur głowy w spiczastej czapie.

- No jak, wielmożny pójdzie sam, czy mamy go wlec?

- Rozwiążcie nogi - rzekł ze złością Rumata czując przenikliwy ból w rozbitych wargach.

Przesunął po nich językiem. Ładna historia, pomyślał. Pampuchy, nie wargi.

Ktoś zakrzętnął się przy jego nogach, bezceremonialnie szarpiąc je i wykręcając. Obok wymieniano półgłosem uwagi.

- Nielicho go urządziliście...

- A jak inaczej, mało co nie zwał... Zaczarowany, strzały odskakują...

- Znałem takiego jednego, mogłeś go rąbać toporem, a on jakby nigdy nic.

- Bo to pewnie był chłop...

- Ano tak...

- No widzisz. A to błękitna krew.

- Ech, do pioruna... Naplątali supłów, że sam diabeł nie dojdzie... Dawać tu światło!

- Rozetnij nożem.

- Oj, kochani, oj, nie rozwiązujcie go. Bo jak znów zacznie nas młócić... Mało mi głowy nie rozwalił.

- Ee, chyba nie zacznie...

- Jak sobie chcecie, ale ja zdrowo machnąłem w niego dzidą. Przecież od takiego zamachu kolczugi się pruły.

Władczy głos krzyknął z ciemności:

- Hej, prędko tam?

Rumata poczuł, że nogi ma wolne, naprężył się i usiadł. Kilku tęgozadych szturmowców patrzyło w milczeniu, jak tapla się w kałużę. Zacisnął szczęki ze wstydu i upokorzenia. Poruszył łopatkami, ręce miał wykręcone do tyłu w taki sposób, że zupełnie nie orientował się, gdzie są łokcie, a gdzie dłonie. Zebrał wszystkie siły, jednym podrzutem stanął na nogi i od razu zgął się przeszyty straszliwym bólem w boku. Szturmowcy zarechotali.

- Chyba nie drapnie - powiedział jeden.

- Uhum, sfatygował się, szlachta i cholewa...

- No i co, wielmożny, niesłodko?

- Zamknąć gęby - odezwał się władczy głos z ciemności. - Proszę do mnie, don Rumata.

Rumata ruszył w kierunku tego głosu czując, że się zatacza. Nie wiadomo skąd wynurzył się człowiek z pochodnią, poszedł przodem. Rumata poznał to miejsce -jeden z niezliczonych wewnętrznych dziedzińczyków Ministerstwa Ochrony Berła, gdzieś w pobliżu królewskich stajni. Szybko skombinował, że jeśli skierują go na prawo, będzie to znaczyło, że prowadzą go do lochu w Wesołej Wieży. Jeśli na lewo - do kancelarii. Potrząsnął głową. Mniejsza z tym. Skoro żyję, to jeszcze powalczymy. Skręcili w lewo. Aha, więc nie od razu. Będzie wstępne śledztwo. Dziwne. Jeżeli już doszło do śledztwa, to o co mogą mnie oskarżyć? Chyba jasne. Sprowadzenie truciciela Budacha, otrucie króla, spisek przeciw koronie... Możliwe, że i zabójstwo księcia... No i, naturalnie, szpiegostwo na rzecz Irukanu, Soanu, barbarzyńców, baronów, Świętego Zakonu i tak dalej, i tak dalej... Zdumiewające po prostu, jakim cudem jeszcze żyję To by świadczyło, że ten błady grzyb jeszcze coś chowa w zanadrzu.

- Tutaj - powiedział człowiek o władczym głosie.

Otworzył niziutkie drzwi, Rumata schyliwszy się wszedł do dużego pomieszczenia, oświetlonego kilkunastoma kagankami. Pośrodku na wytartym dywanie siedzieli i leżeli związani, zakrwawieni ludzie. Niektórzy już nie żyli, inni leżeli nieprzytomni. Prawie wszyscy boso, w poszarpanych nocnych koszulach. Pod ścianami, niedbale wspierając się na toporach i siekierach, stało kilkunastu czerwonogębych szturmowców - brutalni i pewni siebie zwycięzcy. Przed nimi spacerował z założonymi w tył rękami oficer z mieczem u boku, w szarym mundurze, którego kołnierzyk lepił się od brudu. Towarzyszący Rumacie wysoki mężczyzna w czarnym płaszczu podszedł do oficera i coś mu szepnął na ucho. Oficer kiwnął głową, spojrzął ciekawie na Rumatę i zniknął za kwiecistymi portierami w drugim końcu pokoju.

Szturmowcy również z ciekawością przypatrywali się Rumacie. Jeden z podpuchniętym okiem, zauważył:

- Niczegowaty kamyczek u wielmożnego!

- Taak, jak pięść - zgodził się drugi - W sam raz dla króla, 1 obręcz z litego złota.

- Teraz myśmy królowie. "

- No to jak, zdejmujemy?

- Ani się ważcie - rzucił półgłosem mężczyzna w czarnym płaszczu.

Szturmowcy wlepili w niego zdziwione oczy.

- A ten znów skąd się wziął? - mruknął szturmowiec z podpuchniętym okiem.

Mężczyzna w płaszczu nic nie odpowiedział, odwrócił się tyłem i podszedłszy do Rumaty, stanął obok. Szturmowcy złym okiem mierzyli go od stóp do głów.

- Ani chybi pop? - odezwał się pierwszy. - Hej, popie, chcesz po łbie?

Szturmowcy ryknęli śmiechem. Ten z podpuchniętym okiem splunął w dłonie i przekładając topór z ręki do ręki ruszył w kierunku Rumaty. Ja ci tu zaraz pokażę, pomyślał Rumata z wolna cofając prawą nogę.

- Najchętniej zawsze tłukłem - mówił szturmowiec zatrzymując się przed nim i przyglądając się czarno odzianemu mężczyźnie - właśnie popów, różnych piśmiennych i rzemieślniczą hołotę. Bywało...

Mężczyzna w czarnym płaszczu podniósł dłoń. Coś brzęknęło śpiewnie pod sufitem - ż-ż-ż! Szturmowiec wypuścił z rąk topór i runął na wznak. Pośrodku czoła sterczała krótka, gruba strzała z gęstym opierzeniem. Zapadła cisza. Szturmowcy cofnęli się strzygąc bojaźliwie oczami na rozmieszczone wysoko przewiewniki. Mężczyzna opuścił rękę i rozkazał:

- Sprzątnąć to ścierwo. Prędzej!

Kilku szturmowców podskoczyło, chwyciło zabitego za ręce i nogi i wywlokło z pokoju. Zza portierów wynurzył się szary oficer i skinął zapraszająco ręką.

- Idziemy, don Rumata - rzekł mężczyzna w płaszczu.

Rumata skierował się ku portierom omijając grupę jeńców. Nic nie rozumiem, myślał. Za portierami, w głębokich ciemnościach, zatrzymali go jacyś ludzie, zrewidowali, zerwali z pasa puste pochwy i wypchnęli na światło.

Teraz już wiedział, gdzie się znajduje. Był to znany mu gabinet don Reby w liliowych apartamentach. Minister siedział na tym samym miejscu i w identycznej pozie, sztywno

wyprostowany, z łokciami na stole i splecionymi palcami. A przecież starszy pan cierpi na hemoroidy, ni stąd, ni zowąd ulitował się Rumata. Po prawej ręce don Reby zasiadał ojciec Cupik, skupiony, z zaciśniętymi wargami, po lewej - dobrodusznie uśmiechnięty grubas z naszywkami kapitana na szarym mundurze. Nikogo więcej w gabinecie nie było. Gdy Rumata wszedł, don Reba zakomunikował cichym, uprzejmym głosem:

- A oto i szlachetnie urodzony don Rumata, moi panowie.

Ojciec Cupik skrzywił się lekceważąco, a grubas zyczliwie pokiwał głową.

- Nasz stary i nader konsekwentny nieprzyjaciel - dokończył prezentacji minister Ochrony Berła.

- Jak nieprzyjaciel, to powiesić - zawyrokował ochryple ojciec Cupik.

- A pańskie zdanie, bracie Aba? - don Reba zwrócił się do grubasa z uprzedzającą grzecznością.

- Pan wie... Ja właściwie... - Brat Aba uśmiechnął się z dziecinnym zakłopotaniem rozkładając dziecinne rączki. - Mnie to wszystko jedno. Ale może jednak nie wieszać? Może lepiej spalić, jak pan sądzi, don Reba?

- Tak, raczej tak - powiedział z wolna minister.

- Bo rozumie pan - ciągnął czarujący brat Aba uśmiechając się zyczliwie do Rumaty - wiesz się różne męty, hołotę... Nie powinniśmy jednak podważać w ludziach szacunku dla wysokiego stanu. Bądź co bądź jest to potomek starego rodu, znakomity szpieg irukański... Irukański chyba, czy też się mylę? - Wziął ze stołu kartkę i podniósł do krótkowzrocznych oczu.

- Ach, jeszcze i soański... Tym bardziej!

- Można i spalić - zgodził się ojciec Cupik.

- Dobrze - powiedział don Reba. - Zatem ustalone. Spalić.

- A może don Rumata zechce złagodzić swój los - wtrącił brat Aba. - Pan mnie rozumie, don Reba?

- Przyznam, że niezupełnie...

- Majątek! Czcigodny don Reba, majątek! Rumatowie posiadają wręcz legendarne bogactwa!...

- Jak zwykle, ma pan rację.

Ojciec Cupik ziewnął zasłaniając ręką usta i spojrzał z ukosa na liliowe portiery po prawej stronie.

- No cóż, wobec tego przystąpmy do sprawy formalnie - rzekł z westchnieniem don Reba.

Ojciec Cupik wciąż zerkał na portiery. Wyraźnie na coś czekał nie zdradzając najmniejszego zainteresowania przesłuchaniem. Co to za komedia? - zastanawiał się Rumata. - Co to wszystko znaczy?

- A więc, mój szlachetny panie - zwrócił się do niego don Reba - byłoby nam niezmiernie miło usłyszeć pańskie odpowiedzi na niektóre interesujące nas pytania.

- Rozwiążcie mi ręce - zażądał Rumata.

Ojciec Cupik drgnął i zaczął niepewnie poruszać wargami. Brat Aba desperacko pokręcił głową.

- No? - Don Reba popatrzył najpierw na brata Abę, a następnie na ojca Cupika. - Rozumiem was, moi przyjaciele. Jednakże, biorąc pod uwagę okoliczności, których don Rumata z pewnością się domyśla... - Wymownym wzrokiem obiegnął rzędy przewiewników pod sufitem. - Rozwiązać mu ręce - nakazał nie podnosząc głosu.

Ktoś bezszelestnie podszedł z tyłu. Czyjeś dziwnie delikatne i zwinne palce dotknęły rąk Rumaty, rozległ się chrzęst rozcinanych sznurów. Brat Aba z niezwykłą jak na jego tuszę chyżością wyciągnął spod biurka ogromną kuszę bojową i położył przed sobą wprost na papierach. Ręce Rumaty opadły wzdłuż ciała jak postronki. Prawie ich nie czuł.

- A więc zaczynamy - powiedział różnym tonem don Reba. - Pańskie imię, ród, tytuły?

Rumata z rodu Rumatów Estorskich. Wysoko urodzony szlachcic od dwudziestu dwóch pokoleń.

Obejrzał się, usiadł na sofie i zaczął masować nadgarstki. Brat Aba, sapiąc nerwowo, wziął go na cel.

- Pański ojciec?

- Mój szlachetny ojciec - radca dworu, wierny sługa i osobisty przyjaciel cesarza.

- Żyje?

- Umarł.

- Dawno?

- Jedenaście lat temu.

- Pański wiek?

Rumata nie zdążył odpowiedzieć. Za liliową portierą zaczęło się coś dziać. Brat Aba obejrzał się z niezadowoleniem. Ojciec Cupik, uśmiechając się złowieszczo, podniósł się z

wolna.

- No, to byłoby wszystko, łaskawi panowie!... - zaczął ze złośliwą satysfakcją.

Zza portier wypadło trzech ludzi, których Rumata najmniej spodziewał się tu zobaczyć. Ojciec Cupik zapewne tak samo. Byli to olbrzymiego wzrostu mnisi w czarnych riasach z kłobukami nasuniętymi na oczy. Szybko i bezszelestnie doskoczyli do niego i przytrzymali za łokcie.

- A... m-mnia... - wymamlał Cupik. Twarz jego okryła się śmiertelną bledością. Niewątpliwie oczekiwał czegoś zupełnie innego.

- Jak pan sądzi, bracie Aba? - zapytał spokojnie don Reba nachylając się do tłuszciocha.

- No, rozumie się! - odparł tamten bez wahania. - Oczywiście!

Don Reba zrobił nieznaczny ruch ręką. Mnisi złapali ojca Cupika i stąpając równie bezszelestnym krokiem, wynieśli go za portiery. Rumata skrzywił się z obrzydzeniem. Brat Aba zatarł miękkie łapki i powiedział rażno:

- Wszystko poszło jak z płatka, nie uważa pan, don Reba?

- Owszem, nieźle - przyznał minister. - Wróćmy jednak do przesłuchania. A zatem ile pan ma lat, don Rumata?

- Trzydzieści pięć.

- Kiedy pan przybył do Arkanom?

- Pięć lat temu.

- Skąd?

- Mieszkałem stale w Estorze, w naszym zamku rodzowym.

- A jaki był cel tej zmiany miejsca pobytu?

- Okoliczności zmusiły mnie do opuszczenia Estoru. Szukałem stolicy o równej świetności, co stolica metropolii.

Rumata poczuł wreszcie w rękach ogniste mrowienie. Cierpliwie i wytrwale masował w dalszym ciągu spuchnięte nadgarstki.

- No dobrze, ale cóż to były za okoliczności? - spytał don Reba.

- Zabiłem w pojedynku członka rodziny cesarskiej.

- Ach tak? I kogóż to?

- Młodego księcia Ekina.

- Przyczyna pojedynku?

- Kobieta - odparł krótko Rumata.

Doznał nagle wrażenia, że wszystkie te pytania nie prowadzą do żadnego celu. Że jest to taka sama gra, jak dyskusja nad sposobem jego kaźni. Wszyscy trzej na coś czekają. Ja czekam, kiedy mi wróci władza w rękach. Brat Aba, skończony głupiec, czeka, kiedy posypie mu się na kolana złoto z rodowej szkatuły Rumatów. Don Reba też na coś czeka... Ale mnisi, mnisi! Skąd w pałacu mnisi! I w dodatku tak szatańsko zwinni, sprawni!...

- Imię tej kobiety?

- Ale pytanko, pomyślał Rumata. Głupszych już niepodobna wymyślić. Spróbuję go jakoś rozruszać...

- Donna Rita - odpowiedział.

- Nie przypuszczałem, że mi pan odpowie. Dziękuję...

- Zawsze do usług. Don Reba - skłonił się.

- Czy bywał pan kiedykolwiek w Irukanie?

- Nie.

- Jest pan tego pewny?

- Pan także.

- Chcemy prawdy! - pouczył go minister. Brat Aba przytaknął skwapliwie. - Wyłącznie prawdy!

- Aha. A mnie się zdawało... - Rumata zamilkł.

- Co się panu zdawało?

- Zdawało mi się, że przede wszystkim chcecie zagarnąć w swoje ręce moje dobra rodowe. Doprawdy, nie wyobrażam sobie, don Reba, jakim cudem chce pan tego dopiąć?

- A darowizna? Darowizna! - wykrzyknął brat Aba. Rumata roześmiał się tak impertynencko, że nikt by tego nie ścierpiał.

- Głupiś, bracie Aba, czy jak ci tam... Od razu wyłazi z ciebie sklepikarz. Nie wiesz o tym, że majorat nie może przejść w obce ręce?

Brat Aba kipiał ze złości, ale widać było, że się hamuje.

- Nie powinien pan rozmawiać w tym tonie - napomniął go dobrotliwie don Reba.

- Chce pan prawdy? - odparł Rumata. - Oto prawda, szczerą prawdą i tylko prawdą: brat Aba to głupi sklepikarz.

Brat Aba zdołał już wziąć się w karby.

- Wydaje mi się, że zboczyliśmy z tematu - powiedział z uśmiechem. - Nie uważa pan, don Reba?

- Jak zwykle ma pan rację - przyznał minister. - Czy bywał pan kiedy w Soanie, don Rumata?

- Owszem.

- W jakim celu?

- Odwiedziłem Akademię Nauk.

- Dziwny cel jak na młodego człowieka w pańskiej sytuacji.

- Zwykły kaprys.

- Czy zna pan sędziego generalnego Soanu, don Condora?

Rumata podwoił czujność.

- To stary przyjaciel naszej rodziny.

- Człowiek niezwykle szlachetny, prawda?

- Godzien najwyższego szacunku.

- A czy panu wiadomo, że don Condor brał udział w spisku przeciw Jego Królewskiej Mości?

Rumata zadarł wysoko brodę.

- Niech pan to sobie zakarbuje w pamięci, don Reba - oświadczył wyniośle. - Dla nas, rdzennej szlachty metropolii, wszystkie te Soany, Irukany, podobnie zresztą jak Arkanar, były i zawsze pozostaną wasalami korony cesarskiej. - Odwrócił się zakładając nogę na nogę.

Don Reba spoglądał na niego zamyślonym wzrokiem.

- Pan jest bogaty?

- Mógłbym kupić cały Arkanar, ale nie interesują mnie doły kloaczne...

Don Reba westchnął.

- Serce mi się kraje. Odrąbać tak znakomitą gałąź tak znakomitego rodu!... Byłaby to po prostu zbrodnia, gdyby jej nie dyktowały względy państwowe.

Niech się pan mniej przejmuję względami państwowymi - oświadczył Rumata - a więcej dba o własną skórę.

- Bardzo, słusznie - przyznał don Reba i pstryknął palcami.

Rumata szybko napiął i rozluźnił mięśnie. Chyba odzyskały prężność. Zza portierzy znów wyskoczyło trzech mnichów. Wszyscy z jednakową błyskawiczną szybkością i precyzją,

świadcząca o ogromnej wprawie, otoczyli brata Abę wciąż jeszcze przymilnie uśmiechniętego, chwycili go i wykręcili mu ręce do tyłu.

- Ojej-jej! - zawył. Jego tłustą gębę wykrzywił ból.

- Prędeży, prędeży, nie zwlekać! - rzucił ze wstrętem don Reba.

Grubas stawiał zaciekły opór, gdy wleczono go za portiery. Słysząc było jego wrzaski i kwiki, potem krzyknął nagle straszonym, nieludzkim głosem i ucichł. Don Reba wstał i ostrożnie rozładował kuszę. Rumata, oszołomiony, śledził jego ruchy.

Reba spacerował teraz tam i z powrotem drapiąc się w zamyśleniu strzałą po plecach. "Dobrze, dobrze - mrucał prawie z rozrzewnieniem. - Cudownie!..." O Rumacie jak gdyby zapomniał. Kroki jego stawały się coraz szybsze, wymachiwał strzałą niczym dyrygent batutą.

Wreszcie zatrzymał się gwałtownie przy biurku, odrzucił strzałę, z wolna opadł na fotel i przemówił uśmiechając się od ucha do ucha:

- Załatwiłem ich, he?... Żaden nawet nie piknął. U was pewnie tak nie potrafią ..

Rumata milczał.

- Ta-ak - ciągnął marzycielsko don Reba. - Doskonale! No, a teraz pogadamy, don Rumata. . A może nie Rumata? I może wcale nie don? He?

Rumata nic nie odpowiedział, przyglądając mu się z zaciekawieniem. Bledziutki, z czerwonymi żyłkami na nosie, cały się trzęsiał z podniecenia, tak chciałby zawołać klaszcząc w dłonie: "A ja wiem! A ja wszystko wiem!" Właśnie, że nic nie wiesz, ty skurwysynu. A jak się dowiesz, to nie uwierzysz. No, mówże, mów, słucham.

- Słucham pana - powiedział.

- Pan nie jest don Rumatą - oświadczył Reba. - Jest pan samozwańcem. - Patrzył na niego groźnie. - Rumata Estorski zmarł pięć lat temu i spoczywa w swym grobowcu rodzinnym, święci już od dawna ukoili na wieki jego buntowniczą i - powiedzmy sobie - niezbyt czystą duszę. No więc jak, przyzna się pan z własnej woli, czy mam panu pomóc?

- Przyznam się z własnej woli. Nazywam się Rumata Estorski i nie nawykłem, aby ktoś wątpił w moje słowo.

Spróbuję cię trochę rozzłościć, pomyślał. żeby nie ten ból w boku, to bym ci pokazał, gdzie raki zimują.

- Widzę, że wypadnie nam kontynuować rozmowę w innym miejscu - powiedział złowieszczo don Reba.

Na jego twarzy zachodziły zdumiewające zmiany. Znikł przyjemny uśmiech, wargi zacisnęły się w prostą krechę. Dziwnie i niesamowicie zaczęła się poruszać skóra na czole. Teraz rozumiem, myślał Rumata, dlaczego budził strach.

- Pan rzeczywiście cierpi na hemoroidy? - zapytał współczująco.

W oczach don Reby coś zamigotało, lecz w twarzy nie drgnął żaden mięsień. Udał, że nie słyszy.

- Pokpił pan sprawę z Budachem - rzekł Rumata. - To jest znakomity specjalista. Był... - dodał znacząco.

W wyblakłych oczach znów coś zamigotało. Aha, więc Budach jeszcze żyje. Rumata usiadł wygodniej i objął rękami kolano.

- A zatem pan się nie przyznaje - podjął don Reba.

- Do czego?

- Do tego, że jest pan samozwańcem.

- Czcigodny don Reba - pouczył go Rumata - takie rzeczy trzeba udowodnić. Przecież pan mi ubliża!

Twarz don Reby przybrała ckliwy wyraz.

- Mój drogi don Rumata. Wybacz pan, że na razie będę używał tego nazwiska. Otóż nie mam zwyczaju nigdy niczego udowadniać. Takie sprawy są załatwiane w Wesołej Wieży. Trzymam tam doświadczonych, dobrze opłacanych fachowców, którzy za pomocą maszynki świętego Miki do mielenia mięsa, nagolenic Pana Boga, rękawic męczenniczki Paty lub, dajmy na to, siodła... e-e-e, przepraszam, fotela Toca-wojownika potrafią udowodnić wszystko, czego pan sobie życzy. Że Bóg istnieje, i że go nie ma. Że ludzie chodzą na rękach, i że chodzą na bokach. Czy pan mnie rozumie? Może się pan nie orientuje, że istnieje cała nauka o zdobywaniu dowodów. Proszę tylko pomyśleć: z jakiej racji miałbym udowadniać to, o czym dobrze wiem? A poza tym przecież przyznanie się niczym panu nie grozi.

- Mnie nie grozi - wtrącił Rumata. - Natomiast grozi panu.

Przez dłuższy czas Reba ważył coś w myślach.

- Dobrze - oświadczył na koniec. - Widocznie ja pierwszy będę musiał zacząć. Przyjrzyjmy się więc, czym się odznaczył don Rumata Estorski w ciągu pięciu lat swego pozagrobowego życia w królestwie arkanarskim. A pan mi później wyjaśni sens tego wszystkiego. Zgoda?

- Nie chciałbym dawać zbyt pochopnych przyrzeczeń - odparł Rumata - niemniej wysłucham pana z wielką ciekawością.

Don Reba grzebał chwilę w biurku, wyciągnął kwadracik grubego papieru i przeglądał go podniósłszy brwi.

- Niechże pan się dowie - mówił z życzliwym uśmiechem - niechże pan się dowie, że ja, minister ochrony arkanarskiego berła, podjąłem pewne kroki skierowane przeciwko tak zwanym molom książkowym, uczonym oraz innym bezużytecznym i szkodliwym dla państwa ludziom.

- Akcje te spotkały się z pewną dość niezrozumiałą kontrakcją. Otóż gdy cały naród w zgodnym porywie, dochowując wierności królowi oraz tradycjom arkanarskim pomagał mi wszelkimi sposobami - wydawał ukrywających się, dokonywał samosądów, wskazywał podejrzanych, którzy uszli mojej uwagi, w tym samym czasie ktoś nieznany, lecz wielce energiczny sprzątał nam sprzed nosa i wyprawiał poza granice królestwa najważniejszych, najbardziej zuchwałych i ohydnych przestępców, I tak oto wymknęli się nam: bezbożny astrolog Bagir Kisseński, zbrodniczy alchemik Sinda, mający powiązania z szatanem oraz władzami irukańskimi, wstrętny pamflecista i mąciciel spokoju Zuren oraz wielu innych pomniejszych. Nie wiadomo gdzie ukrył się obłąkany czarownik i mechanik Cabani. Ktoś wydał góry złota, aby odwrócić gniew ludu od zaprzańców, szpiegów i trucicieli, byłych znachorów nadwornych Jego Królewskiej Mości. Ktoś w zaiste fantastycznych okolicznościach, które znów przywodzą na myśl wroga rodzaju ludzkiego, uwolnił z rąk strażników potwora rozpusty i deprawatora dusz, atamana buntu chłopskiego Aratę Garbatego... - Don Reba przerwał i poruszając skórą na czole spojrział na Rumatę znacząco. Rumata siedział błędząc oczami po suficie i uśmiechał się marzycielsko. Aratę Garbatego porwał przyleciawszy po niego helikopterem. Wywarło to na strażnikach piorunujące wrażenie. Na Aracie, zresztą, tak samo. A jednak nie brak mi fantazji, pomyślał. To była dobra robota.

- Niechże pan się dowie - ciągnął don Reba - że wspomniany ataman Arata grasuje obecnie na czele zbuntowanych dworskich poddańczuchów na wschodnich terenach metropolii, obficie przelewając błękitną krew i nie odczuwając braku pieniędzy ani też broni.

- Wierzę - powiedział Rumata. - Od początku wydał mi się człowiekiem zdecydowanym.

- A więc pan się przyznaje? - podchwycił natychmiast don Reba.

- Do czego? - zdziwił się Rumata. Długą chwilę patrzyli sobie prosto w oczy.

- Idźmy dalej - przemówił znów Reba. - Na uratowanie tych deprawatorów dusz ludzkich

wydatkował pan, don Rumata, według moich skromnych i niepełnych obliczeń najmniej trzy pudy złota. Nie wspominam już, że skalał pan przy tym na wieki swą duszę wiążąc się z mocami diabelskimi. Nie wspominam również, że przez cały czas pobytu w królestwie arkanarskim nie otrzymał pan ze swych estorskich posiadłości nawet złamanego szeląga, bo i z jakiej racji? Po cóż zaopatrywać w pieniądze nieboszczyka, nawet jeśli był członkiem rodziny? Ale pańskie złoto!

Otworzył szkatułę schowaną pod stertą papierów na biurku i wyjął z niej garść złotych monet z profilem Pica Szóstego.

- Samo to złoto wystarczyłoby, aby spalić pana na stosie! - krzyknął. - To jest złoto diabelskie! Ludzkie ręce nie są w stanie wytworzyć tak czystego kruszcu!

Świdrował Rumatę wzrokiem. No, no, pomyślał tamten wielkodusznie, nie taki on głupi. Tego chyba nie przemyśleliśmy do końca. Bodajże on pierwszy to zauważył. Trzeba to uwzględnić... Nagle Reba znów przygasł. W jego głosie zabrzmiały przyjazne, ojcowskie nutki:

- Pan w ogóle postępuje bardzo nieostrożnie, don Rumata. Przez cały ten czas ogromnie się o pana denerwowałem... Taki z pana raptus, taki zadziora! Sto dwadzieścia sześć pojedynków w ciągu pięciu lat! I ani jednego trupa. Bądź co bądź to skłaniało do pewnych wniosków. Ja przynajmniej je wyciągnąłem, I nie tylko ja. Tej nocy, na przykład, brat Aba - nieładnie jest mówić źle o zmarłych, ale był to człowiek niezwykle okrutny i muszę przyznać, że z trudem go tolerowałem... Otóż brat Aba wybrał w celu aresztowania pana nie tych najsprawniejszych żołnierzy, lecz najtęższych i najsilniejszych. Okazało się, że miał rację. Kilka wywichniętych rąk, kilka skręconych karków, niezliczona ilość wybitych zębów... i siedzi pan w tym gabinecie! A przecież pan zdawał sobie sprawę, że walczy o własne życie. Pan jest arcymistrzem. Bez wątpienia pierwszym mieczem w całym Imperium, I bez wątpienia sprzedał pan duszę diabłu, albowiem tylko w piekle można się nauczyć tak niewiarygodnych, bajecznych sposobów walki. Skłonny jestem nawet przypuszczać, że otrzymał pan tę umiejętność pod warunkiem, iż nie będzie pan zabijał. Choć z drugiej strony trudno sobie wyobrazić, czemu diabeł miałby stawiać taki warunek. Ale nad tym niech się już głowią nasi scholastycy...

Przerwał mu cienki, prosięcy kwik. Obejrzał się niechętnie na liliowe portiery. Toczyła się tam jakaś bójka. Słysać było głuche razy, skowyt: "Puśćcie mnie, puśćcie!", jeszcze jakieś ochryple glosy, przekleństwa, okrzyki w niezrozumiałym narzeczu. Nagle portiera urwała się z trzaskiem Do komnaty wpadł i runął na kolana jakiś człowiek, łysy, z zakrwawiona brodą, z

dziko wytrzeszczonymi oczami. Czyjeś olbrzymie łapy wysunęły się za nim, pochwyciły go za nogi i wywlokły z powrotem. Rumata poznał tego człowieka - był to Budach. Wrzeszczał nie ludzkim głosem.

- Oszukali mnie! Oszukali!. To przecież była trucizna. Za co?

Ktoś czarno odziany szybko podniósł i zawiesił portierę. Głęboka cisza zmały nagle obrzydliwe odgłosy - ktoś wymiotował Rumata domyślił się wszystkiego.

- Gdzie jest Budach? - spytał ostrym tonem

- Jak pan chyba zauważył, przytrafiło mu się jakieś nieszczęście - odpowiedział don Reba wyraźnie zmieszany.

- Niech pan przestanie kręcić! Gdzie Budach?

- Ach, don Rumata - Reba pokiwał głową. Zdołał już przyjść do siebie. - Na co panu Budach? Czy to pański krewny? Przecież pan nawet go nigdy na oczy nie widział.

- Niech pan posłucha, Reba! - rzekł z furią Rumata. - Żarty się skończyły! Jeśli Budacha spotka coś złego, zdechnie pan jak pies. Zmiażdżę pana.

- Nie zdąży pan - odparł szybko don Reba. Był bardzo blady.

- Głupcze. Jest pan zręcznym intrygantem, ale nic pan nie rozumie. Jeszcze nigdy w życiu nie wdał się pan w grę tak niebezpieczną, jak ta. I nawet pan tego nie podejrzewa.

Don Reba skurczył się za biurkiem, oczki płonęły mu jak węgle. Rumata czuł, że nigdy dotąd śmierć nie zaglądała mu w oczy tak ^ bliska. Karty były prawie odkryte. Rozstrzygało się, kto z tej gry wyjdzie zwycięsko. Rumata sprężył się, gotów do skoku. Żadna broń - dzida ani strzała - nie zabija natychmiast. Ta myśl wyraźnie odbiła się na twarzy don Reby. Hemoroidalny staruch pragnął żyć.

- Ależ co pan, doprawdy - odezwał się płacząco. - Siedzieliśmy sobie, rozmawialiśmy... Niechże pan się uspokoi, pański Budach żyje, jest zdrow i cały. Jeszcze mnie leczyć będzie. Nie trzeba się tak gorączkować.

- Gdzie Budach?

- W Wesołej Wieży.

- Jest mi potrzebny.

- Mnie również, don Rumata.

- Niech pan nie doprowadza mnie do pasji, Reba. I niech pan przestanie się zgrywać. Przecież pan się mnie boi. I słusznie. Budach należy do mnie, rozumie pan? Do mnie.

Teraz obaj stali. Reba wyglądał strasznie. Zsiniał, wargi mu latały konwulsyjnie, mamrotał coś pryskając śliną.

- Smarkacz! - zasyczał. - Ja się nikogo nie boję! To ja mogę rozduścić cię jak pijawkę.

Odwrócił się i gwałtownym ruchem zerwał gobelin wiszący za jego plecami. Ukazało się szerokie okno.

- Patrz!

Rumata podszedł do okna. Wychodziło na plac przed pałacem. Wstawał już świt. W szare niebo były dymy pożarów. Na placu leżały trupy. A pośrodku czerniał równy, nieruchomy kwadrat. Rumata przyjrzał się lepiej. Byli to jeźdźcy ustawieni w idealnym szyku, w długich czarnych płaszczach, czarnych kapturach zakrywających oczy, z czarnymi trójkątnymi tarczami w lewej ręce i długimi włóczniami w prawej.

- Pr-raszę! - wymówił don Reba zgrzytającym głosem. Trząśł się cały. - Oto pokorne dzieci Pana naszego, konnica Świętego Zakonu. Wyszli dzisiejszej nocy w porcie arkanarskim, aby stłumić barbarzyński bunt nocnych rabusiów Wagi Koła, łącznie ze sklepikarzami, którzy powzięli zbyt wielkie o sobie mniemanie! Bunt został stłumiony. Święty Zakon objął władzę w mieście oraz w całym kraju zwanym od dziś Arkanarskim Obszarem Zakonu...

Rumata bezwiednie podrapał się w głowę. Więc to tak, myślał, oto komu torowali drogę nieszczęśni sklepikarze. Co za prowokacja! Don Reba triumfująco szczyrzył zęby.

- My się jeszcze nie znamy - mówił wciąż tym samym zgrzytającym głosem. - Pozwoli pan, że się przedstawię: namiestnik Świętego Zakonu na Obszarze Arkanarskim, biskup i magister sztuki wojennej, służebnik Pański Reba!

A przecież można się było tego domyślić. Tam gdzie triumfuje szarość, do władzy zawsze dochodzą czarni. Ach, historycy, historycy, spuścić wam manto... Rumata założył ręce za plecami i bujał się w tył i w przód na czubkach palców i na obcasach.

- Jestem zmęczony - rzekł lekceważąco. - i śpiący. Chcę się wykąpać w gorącej wodzie, zmyć z siebie krew i ślinę pańskich zbirów. Jutro... a raczej dziś... powiedzmy, w godzinę po wchodzie słońca, wpadnę do pańskiej kancelarii. Nakaz zwolnienia powinien o tym czasie być już gotowy.

- Jest ich dwadzieścia tysięcy! - krzyknął don Reba wskazując ręką okno.

Rumata skrzywił się.

- Proszę nieco ciszej, I niech pan zapamięta, Reba: ja doskonale wiem, że z tym biskupem

to wierutne kłamstwo. Przejrzałem pana na wylot. Jest pan po prostu brudnym sprzedawczykiem i marnym, nieudolnym intrygantem... - Don Reba oblizał wargi, wzrok mu zmartwiał. Rumata mówił dalej: - Nie będę znał litości. Za każde łotrostwo w stosunku do mnie lub moich przyjaciół odpowie pan głową. Nienawidzę pana, proszę się z tym liczyć. Zgodzę się tolerować pana, lecz musi się pan nauczyć w porę schodzić mi z drogi. Zrozumiał mnie pan?

Don Reba rzekł skwapliwie, z błagalnym uśmiechem:

- Chcę tylko jednego. Żeby pan był ze mną, don Rumata. Nie mogę pana zabić. Nie wiem dlaczego, ale nie mogę.

- Boi się pan.

- Niech i tak będzie - przyznał Reba. - Może pan jest diabłem. Może synem bożym. Kto pana wie? A może jest pan człowiekiem z potężnych zamorskich krajów, słyszałem, że takie istnieją... Nawet nie usiłuję spojrzeć w otchłań, która pana wyrzuciła. Dostaję zawrotu głowy i czuję, że wpadam w herezję. Niemniej, ja też mogę pana zabić. W każdej chwili. Zaraz. Jutro. Wczoraj. Zdaje pan sobie z tego sprawę?

- To mnie nie interesuje - odparł Rumata.

- A co? Co pana interesuje?

- Absolutnie nic. Po prostu się bawię. Nie jestem diabłem ani bogiem, jestem kawaler Rumata Estorski, wesoły, dobrze urodzony szlachcic, obciążony kapryсами i przesądami, nawykły do swobody pod każdym względem. Wie pan już teraz?

Don Reba wrócił do równowagi. Otarł twarz chusteczką i uśmiechnął się przyjaźnie:

- Cenię pański upór - oświadczył. - Ostatecznie pan również dąży do jakichś ideałów, i ja szanuję te ideały, aczkolwiek ich nie rozumiem. Jestem bardzo zadowolony, że odbyliśmy tę rozmowę. Może przy innej okazji wyłoży mi pan swoje zapatrywania i wcale niewykluczone, że zmusi mnie pan do zrewidowania moich. Błądzić jest rzeczą ludzką. Możliwe, że i ja błędę dążąc nie do tego celu, dla którego warto by pracować tak żarliwie i bezinteresownie, jak ja to czynię. Jestem człowiekiem o szerokich horyzontach i bez trudu mogę wyobrazić sobie, że kiedyś zacznę pracować z panem ręka w rękę...

- To się dopiero okaże - powiedział Rumata i zwrócił się ku drzwiom. Co za mięczak! - pomyślał. Też mi koleżka od siedmiu boleści. Ręka w rękę...

Miasto było sparaliżowane straszliwą grozą. Czerwonawe poranne słońce oświecało posępnym blaskiem puste ulice, dymiące ruiny, powyrywane okiennice, wyłamane drzwi. W

kurzu ulicznym migotały krwawo odłamki szkła. Nieprzeliczone chmary wron obsiadły miasto, jakby to było szczerze pole. Na placach i skrzyżowaniach stali po dwóch, po trzech jeźdźcy w czarnych płaszczach - powoli obracali się całym tułowiem w siodłach, spoglądając przez otwory w nasuniętych na twarz kapturach. Na wbitych w pośpiechu palach zwisamy nad stosem zgliszcz przykute łańcuchami zwęglone ciała. Zdawało się, że w mieście nie zostało nawet żywej duszy - tylko te wrzeszczące wrony i gorliwi mordercy w czerni.

Połowę drogi Rumata przebył z zamkniętymi oczami. Trudno mu było oddychać, potłuczone ciało przenikał nieznośny ból. Ludzie to czy nie ludzie? Co w nich jest ludzkiego? Jednych wyrzynają na ulicach, drudzy siedzą w domach i pokornie czekają na swoją kolej, i każdy myśli: wszystkich innych, byle nie mnie. Zimne bestialstwo mordujących i otepiała bezwolność mordowanych. Najstraszniejsza jest ta otepiała bezwolność. Stoi dziesięciu ludzi zmartwiałych z przerażenia i pokornie czeka, a jeden podchodzi, wybiera ofiarę i morduje z zimną krwią. Dusze tych ludzi są zbrukane i każda godzina pokornego oczekiwania plugawi je coraz bardziej. Oto w tych cichutko przycupniętych domach rodzą się utajeni szubrawcy, donosiciele, zabójcy, tysiące ludzi na zawsze już porażonych strachem będą w sposób bezlitosny uczyć strachu swoje dzieci, jak też dzieci swoich dzieci. Nie mogę dłużej, powtarzał w duchu Rumata. Jeszcze trochę i zwariuję, stanę się taki sam, jeszcze trochę i zupełnie przestanę rozumieć, po co tu jestem... Trzeba wypocząć, oderwać się od tego wszystkiego, uspokoić...

"...Pod koniec roku Wody - tak się zwał ów rok według nowego kalendarza - procesy odśrodkowe w starożytnym Imperium ogromnie przybrały na sile. Wykorzystując to Święty Zakon reprezentujący w gruncie rzeczy interesy najbardziej reakcyjnych grup społeczeństwa feudalnego, które wszelkimi sposobami starały się zahamować dyssypację..." A jak śmierdzą gorące trupy na płonących stosach, wiecie? A widzieliście kiedy nagą kobietę z rozprutym brzuchem, leżącą w kurzu ulicznym? Widzieliście miasta, w których milczą ludzie, a słychać tylko krakanie wron? Wy, jeszcze nie narodzeni chłopcy i dziewczęta przed stereowizorami w szkołach Arkanarskiej Republiki Komunistycznej?

Uderzył nagle pierśią w coś twardego i ostrego. Przed nim stał czarny jeździec na koniu. Długa włócznia z szerokim, dokładnie ponacinanym ostrzem opierała się o pierś Rumaty. Jeździec patrzył na niego w milczeniu przez czarne otwory kaptura. Widać było tylko wąskie wargi i chudą brodę. Trzeba coś zrobić - pomyślał Rumata. Tylko co? Zwalić go z konia. Nie. Jeździec zaczął powoli nastawiać włócznię do ciosu. Ach, prawda!... Rumata podniósł ociężałe

lewą rękę i odwinął mankiet odsłaniając żelazną bransoletę, którą mu dano przy wyjściu z pałacu. Jeździec przyjrzał się bransolecie, cofnął włócznię i odjechał. Mijając Rumatę wymówił głucho, z obcym akcentem: "Chwała Panu". „I ja go chwale” - mruknął Rumata i przeszedł obok długiego jeźdźca, który usiłował strącić włócznią misternie rzeźbioną drewnianą figurką wesołego diablaka na gzymsie pod dachem. Za półoderwaną okiennicą mignęła zdrętwiała ze strachu tłusta twarz, zapewne jednego z owych sklepikarzy, którzy jeszcze trzy dni temu darli się entuzjastycznie przy kuflu piwa: "Niech żyje don Reba!" i z rozkoszą słuchali, jak - rrrum, rrrum, rrrum - wała o bruk podkute buciska. Och, szarość, szarość... Rumata odwrócił się...

A co tam w domu? - wspomniawszy nagle i przyspieszył kroku. Ostatni odcinek drogi przebiegł niemal biegiem. Dom był cały. Na stopniach siedzieli dwaj mnisi, kaptury zsunęli i grzali w słońcu brzydki ogolone głowy. Ujrawszy go, wstali. "Chwała Panu" - wymówili chórem, "I ja go chwale" - odpowiedział Rumata. - Czego tu sobie życzyacie?" Mnisi pokłonili się złożonywszy ręce na brzuchu. "Pan wrócił, więc już odchodzimy" - oświadczył jeden. Zeszli ze stopni i oddalili się wolnym krokiem, zgarbieni, chowając ręce w szerokich rękawach. Rumata patrzył za nimi i myślał, że tysiące razy widywał na ulicach te pokorne postacie w długich czarnych sutannach. Tylko że dawniej nie wlekli za sobą ciężkich mieczy w pochwach. Prześlepił się, och, i to jak jeszcze! Cóż to była za świetna zabawa, gdy wielcy panowie, ujrawszy samotnie idącego mnicha, doganiali go i zaczęli opowiadać sobie nad jego głową pikantne historyjki. A ja, głupiec skończony, lażem z tyłu udając pijanego, ryczałem ze śmiechu i tak się cieszyłem, że bodaj Imperium nie jest dotknięte fanatyzmem religijnym... Ale co można było zrobić? Właśnie, co można było zrobić?

- Kto tam? - zapytał drżący głos.

- Otwórz, Muga, to ja - rzekł cicho Rumata, Zgrzytnęły zasuwę, uchylono drzwi i Rumata przecisnął się do hallu. Odetchnął z ulgą - wszystko tu było po dawnemu. Stary Muga, trzęsąc siwą głową, czekał w pozie pełnej szacunku na hełm i miecze swego pana.

- Gdzie Kira? - spytał Rumata.

- Jest na górze. Zdrowa i cała.

- To dobrze - powiedział Rumata zdejmując bandolety z mieczami. - A gdzie Uno?

Dlaczego mnie nie wita?

Muga odebrał od niego miecze.

- Uno zabity - odparł spokojnie. - Leży w czeladnej. Rumata zamknął oczy.

- Uno zabity... - powtórzył. - Kto go zabił?

Nie czekając na odpowiedź, zszedł do czeladnej. Uno leżał na stole przykryty do połowy prześcieradłem, ręce miał złożone na piersi, oczy szeroko otwarte, usta wykrzywione grymasem. Służący stali wokół z ponurymi minami i słuchali, jak mnich w kącie mruczy modlitwy. Kucharka szlochała. Rumata nie odrywając wzroku od twarzy chłopca zaczął odpinać nieposłusznymi palcami kołnierz kamizeli.

- Łotry... - wyszeptał. - Co za łotry!...

Zachwiał się, podszedł do stołu, wpatrzył się w martwe oczy, uniósł prześcieradło i natychmiast opuścił je z powrotem.

- Za późno... Za późno... Żadnej nadziei... Och, łotry! Kto go zabił? Mnisi?

Odwrócił się do mnicha, podniósł go jednym szarpnięciem i schylił się nad jego twarzą.

- Kto go zabił? Wasi? Mów!

- To nie mnisi - odezwał się cicho za jego plecami Muga. - To szarzy żołnierze...

Rumata wpatrywał się jeszcze chwilę w chudą twarz i z wolna rozszerzające się źrenice. "Chwała-Panu..." - wykrztusił mnich. Rumata puścił go, usiadł na ławie w nogach Una i zapłakał. Ukrył twarz w dłoniach i płakał słuchając drżącego, obojętnego głosu Mugi. Służący opowiadał, że po drugich strażach zastukano do drzwi, każąc otwierać w imieniu króla. Uno wołał, żeby nie otwierać, trzeba było jednak usłuchać, ponieważ szarzy grozili, że podpalą dom. Wdarli się do hallu, pobili i związali służących, a potem chcieli iść na górę. Uno stojący przed wejściem prowadzącym do pokojów, zaczął strzelać z kusz. Miał dwie kusze i zdążył strzelić dwukrotnie, ale jeden strzał był chybiony. Szarzy rzucili nożami i Uno upadł. Ściągnęli go na dół, tratowali, walili toporami, gdy nagle do domu wpadli czarni mnisi. Zarabali dwóch szarych, resztę zaś rozbroili, zarzucili Im na szyje postronki i wywlekli na ulicę.

Głos Mugi ucichł, a Rumata długo jeszcze siedział wsparty łokciami o stół w nogach Dna. Wreszcie podniósł się ciężko, otarł rękawem łzy, które ugrzęzły w dwudniowym zaroście, ucałował lodowate czoło chłopca i z trudem ciągnąc nogi poczłapał na górę.

Był półżywy ze zmęczenia i straszliwego wstrząsu. Ledwo się wdrapał po schodach, przeszedł salon i dowlókłszy się do łóżka, runął z jękiem twarzą w poduszki. Przybiegła Kira. Był tak wyczerpany, że nawet nie miał siły pomóc jej, gdy go rozbierała. Ściągnęła mu z nóg botforty, potem oblewając łzami jego zapuchniętą twarz, zerwała zeń poszarpany mundur, metalową kolczugę i jeszcze gwałtowniej zaczęła płakać, ujrzawszy zmalretowane ciało. Rumata

dopiero teraz poczuł, że bolą go wszystkie kości, jak po próbach na przeciążenie. Kira obmywała go gąbką zwilżoną octem, a on nie otwierając oczu syczał przez zaciśnięte zęby i mrucał: "A przecież mogłem go stuknąć... Stał tak blisko... Zdusić dwoma palcami... Czy to jest życie, Kiro? Wyjedziemy stąd... To ze mną się przeprowadza Eksperyment, a nie z nimi". Nawet nie zauważył, że mówi po rosyjsku. Wystraszona Kira wpatrywała się w niego oczami pełnymi łez i bez słowa okrywała jego twarz pocałunkami. Potem otuliła go starymi prześcieradłami - Uno jednak nie zdecydował się na kupienie nowych - i pobiegła na dół przygotować grzane wino. Rumata zwlókł się z łóżka i jęcząc z bólu, który skręcał mu ciało, poczłapał boso do gabinetu, otworzył sekretny schowek w biurku, grzebał przez chwilę w apteczce, po czym zażył kilka tabletek sporaminy. Gdy Kira wróciła z parującym kociołkiem na ciężkiej srebrnej tacy, leżał na wznak wsłuchany w siebie, obserwując, jak ustaje ból, zmniejsza się szum w głowie, a w ciało wlewają się nowe siły i rześkość. Opróżniwszy kociołek poczuł się już całkiem dobrze, przywołał Mugę i kazał mu przygotować ubranie.

- Nie chodź, Rumata - poprosiła Kira. - Nie chodź. Zostań w domu.

- Muszę, maleńka.

- Boję się, zostań... Zabijają cię.

- Co też ty mówisz. Z. jakiej racji mieliby mnie zabijać? Oni wszyscy czują strach przede mną.

Znów zaczęła płakać. Cicho, nieśmiało, jakby się obawiała go rozgniewać. Rumata posadził ją sobie na kolanach i delikatnie głaskał po włosach.

- Najgorsze już minęło - tłumaczył. - No i przecież zamierzamy stąd wyjechać...

Ucichła przytuliwszy się do niego. Muga czekał obojętnie, trzymając w pogotowiu spodnie swego pana przybrane złotymi dzwoneczkami.

- Ale na razie mam tu jeszcze dużo do zrobienia. Dzisiejszej nocy zamordowano wielu ludzi. Muszę się dowiedzieć, kto żyje, a kto został zabity, i muszę pomóc tym, których czeka pewna śmierć.

- A tobie kto pomoże?

- Ten jest szczęśliwy, kto myśli o innych... A poza tym nam obojgu pomagają bardzo potężni ludzie.

- Nie mogę myśleć o innych - powiedziała. - Ledwo uszedłeś z życiem. Widzę przecież, że cię bili. Una zatłukli na śmierć. Gdzież wtedy byli twoi potężni ludzie? Czemu nie zapobiegli

morderstwu? Nie wierzę... Nie wierzę...

Spróbowała wysunąć się z jego ramion, lecz trzymał ją mocno.

- Trudno - powiedział. - Tym razem trochę się spóźnili. Ale teraz znów nas strzegą. Czemu mi dziś nie wierzysz? Przecież zawsze wierzyłaś. Sama widziałaś, że wróciłem ledwie żywy, a spójrz na mnie teraz?...

- Nie chcę patrzeć - odparła chowając twarz. - Nie chcę znów płakać.

- No popatrz! Ledwie parę zadrapań!... Głupstwo... Najgorsze już minęło. Przynajmniej dla nas obojga. Ale są ludzie bardzo wartościowi, nieprzeciętni, dla których ta groza jeszcze się nie skończyła, i muszę pospieszyć im z pomocą.

Westchnęła głęboko, pocałowała go w szyję i delikatnie zsunęła się z jego kolan.

- Wróc dziś wieczorem - poprosiła. - Wrócisz?

- Ależ bez wątplenia! - zapewnił gorąco. - Przyjdę wcześniej i chyba nie sam. Oczekuj mnie w porze obiadowej.

Odeszła na bok, usiadła w fotelu i złożony ręce na kolanach patrzyła na niego, gdy się ubierał. Rumata mruczając pod nosem jakieś rosyjskie słowa wciągnął spodnie z dzwoneczkami (Muga natychmiast przykucnął i jął zapinać niezliczone sprzączki i guziki), ponownie włożył na świeżą bieliznę nieocenioną kołczugę i na koniec wybuchnął z rozpaczą:

- No zrozum, maleńka, ja przecież muszę iść, nic na to nie poradzę! Nie wolno mi nie iść.

- Czasami nie mogę zrozumieć - powiedziała nagle ocknąwszy się z zadumy - dlaczego ty mnie nie bijesz?

Rumata, który właśnie zapinał koszulę z przepyszными kryzami, znieruchomiał na moment.

- Co takiego? Jak to dlaczego cię nie biję? A czy ciebie można bić?

- Ty nie tylko jesteś dobrym, wspaniałym człowiekiem - ciągnęła nie słuchając. - Jesteś jeszcze bardzo dziwny. Jak jakiś archanioł... Kiedy jesteś ze mną, staję się odważna. Na przykład teraz... Muszę cię koniecznie o coś zapytać. Nie dziś, później, jak już wszystko minie, czy opowiesz mi o sobie?

Rumata długo nie odpowiadał. Muga podał mu pomarańczową kamizelę z kokardami w czerwone prążki. Włożył ją ze wstrętem i mocno zaciągnął pas.

- Tak - przemówił wreszcie. - Kiedyś opowiem ci wszystko o sobie, maleńka.

- Będę czekała - rzekła z powagą. - A teraz idź i nie przejmuj się mną.

Rumata podszedł do niej, przycisnął swoje rozbite wargi do jej warg, następnie zdjął z ręki żelazną bransoletę:

- Włóż ją na lewą rękę - powiedział. - Dziś raczej nikt już nie powinien przyjść do nas, ale gdyby przyszli, pokaż im to.

Patrzyła za nim, a on doskonale wiedział, co teraz myśli: "Nie wiem, kim jesteś, diabłem, synem bożym czy człowiekiem z cudownych zamorskich krajów, wiem tylko, że jeśli nie wrócisz - umrę", I był jej nieskończenie wdzięczny za to, że milczała, albowiem było mu niezwykle trudno odchodzić - jak gdyby ze szmaragdowego słonecznego brzegu rzucał się głową w dół do cuchnącej kałuży.

ROZDZIAŁ VIII

Do kancelarii biskupa arkanarskiego Rumata próbował przedostać się tyłami zabudowań. Chyłkiem przebiega) ciasne podwóreczka, zaplątując się w rozwieszonych do suszenia szmatach, przełaził przez dziury w płotach zostawiając na zardzewiałych gwoździach wytworne kokardy oraz strzępki drogocennych soańskich koronek, na czworakach przemykał się między zagonami kartofli. A jednak nie udało mu się ujść czujnym oczom czarnego rycerstwa. Gdy wyszedł na wąską, krzywą uliczkę, prowadzącą do zsympiska śmieci, natknął się na dwóch ponurych i z lekka podchmielonych mnichów.

Spróbował obejść ich, lecz wyciągnęli miecze i zastąpili mu drogę. Rumata ujął za rękojeści swoich mieczy, mnisi włożyli trzy palce do ust i gwizdnęli wzywając odsiecz. Rumata zaczął się cofać do dziury w płocie, przez którą niedawno przełaził, gdy nagle z przeciwnej strony wyskoczył na uliczkę maty, zwinny człowieczek o nijakiej twarzy. Potrąciwszy Rumatę ramieniem podbiegł do mnichów i coś im szepnął, na co tamci zakasali sutanny, ukazując długie, obciążone czymś fioletowym nogi, puścili się klusem i w chwilę później skryli się za domami. Mały człowieczek nie oglądając się podreptał za nimi.

Rozumiem, pomyślał Rumata. Szpieg pełniący rolę mego anioła stróża. Przewidujący jest ten biskup Arkanaru. Ciekawe, czego on się bardziej obawia - mnie czy o mnie? Odprowadziwszy wzrokiem szpiega, skręcił w kierunku zsympiska. Znajdowało się ono na tyłach kancelarii byłego Ministerstwa Ochrony Berła i należało przypuszczać, że nie jest patrolowane.

Uliczka była pusta. Ale już cicho poskrzypywały okiennice, trzaskały drzwi, płakało niemowlę, słyhać było lękliwe szepty. Zza przegniłego płotu wyjrzała ostrożnie chuda, zmizerowana twarz, ciemna od sadzy, która wżarła się w skórę. Na Rumatę patrzyły wystraszone, zapadnięte oczy.

- Stokrotnie przepraszam, wielmożny panie. Może wielmożny pan raczy mi powiedzieć, co tam w mieście. Jestem kowal Kikus, przezwiskiem Kulas, muszę iść do kuźni, ale się boję .

- Nie chodź - doradził mu Rumata. - Mnisi nie żartują. Króla już nie ma. Rządzi don Reba, biskup Świętego Zakonu. Lepiej więc siedź cicho.

Przy każdym jego słowie kowal skwapliwie kiwał głową, a jego oczy napełniały się smutkiem i rozpaczą.

- Zakon, znaczy się... - wymamrotał. - Niech to cholera... Racz wybaczyć, wielmożny panie. Zakon... A co to takiego, szarzy czy jak?

- Skądże - powiedział Rumata przyglądając mu się z zaciekawieniem. - Szarych chyba powybijali To są mnisi.

- To ci dopiero Szarych, znaczy się, też.. Ale ci Zakon! Że szarych wytlukli, to po prawdzie dobrze. Ale co się nas tyczy, jak wielmożny pan uważa? Da się jakoś żyć, he? Pod tym Zakonem?

- Dlaczego nie? - odparł Rumata. - Zakon też musi jeść i pić Przyzwyczajacie się Kowal ożywił się.

- I ja tak myślę, że się przyzwyczaimy. Najlepiej: nie tykaj nikogo, to i ciebie nie tkną, he?

Rumata pokręcił głową.

- No nie. Tacy ostrożni to przeważnie pierwsi idą pod nóż.

- To też prawda - westchnął kowal. - Tylko gdzie się podziejesz, człowieku... Sam jestem jak kołek w płocie i jeszcze ośmioro drobiazgu trzyma się moich portek. Och, matko kochana, żeby choć mojego majstra zatłukli, był oficerem u szarych. Jak wielmożny pan myśli, mogli go zatłuc? Byłem mu winien pięć dukatów.

- Nie wiem. Może i zatłukli. Ale wiesz co, kowalu, zastanów się lepiej nad czym innym. Mówisz, żeś sam jak kołek w płocie, a takich kołków jak was w mieście przynajmniej dziesięć tysięcy.

- No to co?

- No właśnie pomyśl nad tym - odparł gniewnie Rumata i poszedł dalej.

Akurat, już on coś skombinuje. Jeszcze na to grubo za wcześnie. A zdawałoby się, że nic prostszego - dziesięć tysięcy takich młociarzy może w porywie wściekłości z każdego zrobić placek. Cóż, kiedy właśnie tej wściekłości w nich jeszcze nie ma. Jedyne strach. Każdy sobie rzepkę skrobie.

Krzaki dzikiego bzu na skraju uliczki zaszeleściły i wyczołgał się z nich don Tameo. Ujrzawszy Rumatę krzyknął radośnie, zerwał się na nogi, zatoczywszy się przy tym solidnie, i ruszył ku niemu wyciągając umazane rękę.

- Mój szlachetny don Rumata! - wołał. - Jakże się cieszę! Widzę, że pan też do kancelarii?

- Zgadł pan, czcigodny don Tameo - odpowiedział Rumata zręcznie uchylając się od uścisku.

- Pozwoli pan, że się przyłączę?

- Poczytam to sobie za honor.

Wymienili ukłony. Widać było, że don Tameo zaczął już od wczoraj, a do końca jeszcze mu daleko. Wyciągnął z kieszeni szerokich żółtych spodni szklaną flaszkę misternej roboty.

- Może i pan? - zaproponował uprzejmie.

- Dzięki - odparł Rumata.

- Rum! - oznajmił don Tameo. - Oryginalny rum z metropolii. Dałem za niego dukata.

Zeszli na zsypanisko i zatykając nosy brnęli przez sterty odpadków, przeskakując padlinę, cuchnącą kałużę, rojące się od białych robaków. W powietrzu aż huczało od nieustannego brzęczenia miriadów szmaragdowych much.

- To dziwne - rzekł don Tameo zakręcając flaszkę - nigdy tu jeszcze nie byłem.

Rumata zbył to milczeniem.

- Don Reba zawsze wzbudzał we mnie podziw - ciągnął don Tameo. - Byłem pewny, że w końcu obali niewydarzonego monarchę, utworzy nowe drogi i otworzy przed nami olśniewające perspektywy. - Z tymi słowami wjechał nogą w żółtozieloną kałużę, ochlapał się od stóp do głów i żeby nie upaść, przytrzymał się Rumaty. - Tak! - podjął znów, gdy wydostali się na twarde grunty. - My, młoda arystokracja, zawsze będziemy u boku don Reby! Nareszcie przyszła upragniona folga. Niech pan sam przyzna, don Rumata, od godziny już łączę po różnych zaułkach, polach warzywnych i nie spotkałem ani jednego szarego. Zmiotliśmy to szare plugastwo z powierzchni ziemi i tak błogo, tak swobodnie oddycha się teraz w odrodzonym Arkanarze! Zamiast gburowatych sklepikarzy, tych bezczelnych chamów i chłopstwo, ulice pełne są służebników bożych. Widziałem, że niektórzy szlachcice już otwarcie spacerują przed swymi domami. Teraz nie muszą się obawiać, że pierwszy prostak w fartuchu od gnoju ochłapie ich swoim brudnym wozem, i już nie trzeba torować sobie drogi w tłumie wczorajszych rzeźników i galanteryjników. Pod opiekuńczym skrzydłem wielkiego Świętego Zakonu, dla którego zawsze żywiłem szacunek i - co tu ukrywać - serdeczną czułość, dojdziemy do niesłychanego rozkwitu, a wówczas żaden chłop nie ośmieli się podnieść oczu na szlachcica bez zezwolenia z podpisem okręgowego inspektora Zakonu. Niosę właśnie w tej sprawie raport na piśmie.

- Co za ohydny smród - wstrząsnął się Rumata.

- Tak, okropny - przyznał don Tameo zakręcając flaszkę. - Za to jak swobodnie się oddycha w odrodzonym Arkanarze! I ceny na wino spadły o połowę...

Nim dotarli na miejsce, don Tameo opróżnił flaszkę do dna, cisnął ją precz i wpadł w

niezwykłą euforię. Dwukrotnie się wywalił, przy czym za drugim razem nie chciał się oczyścić twierdząc, iż jest wielkim grzesznikiem, nieczystym z natury i pragnie w takim stanie zjawić się w kancelarii. Wciąż na nowo zaczynał cytować wielkim głosem wyjątki ze swego raportu. "Mocno powiedziane! -wykrzykiwał. - Weźcie na przykład to zdanie, szlachetni panowie: ażeby śmierdzące chłopstwo... he? Co za idea!" Gdy znaleźli się na tyłach kancelarii, rzucił się na pierwszego spotkanego mnicha i zalewając się łzami jął go błagać o odpuszczenie grzechów. Na wpół zduszony mnich bronił się zaciekle, próbował gwizdem wzywać pomocy, lecz don Tameo chwycił go za sutannę i obaj runęli na kupę odpadków. Rumata zostawił ich, oddaliwszy się długo jeszcze słyszał żałosny urywany gwizd i okrzyki: „Ażeby śmierdzące chłopstwo!... Bło-go-sławieństwa!... Z całego serca!... Czulość żywiłem, czulość, rozumiesz, ty chamska mordo?"

Na placu przed wejściem, w cieniu kwadratowej Wesołej Wieży, rozłożył się oddział pieszych mnichów uzbrojonych w groźne sękate maczugi. Zwłoki już uprzątnięto. Poranny wiatr wzbijał żółte, wirujące kłęby kurzu. Pod szerokim, stożkowatym dachem jak zwykle wrzeszczały i kłóciły się wrony - tamże dyndały na występach belek ciała powieszonych głową w dół. Dwieście lat temu praszczur zmarłego króla kazał zbudować tę wieżę wyłącznie dla celów wojennych. Stała na mocnych dwukondygnacyjnych fundamentach, w których ongiś przechowywano zapasy żywności na wypadek oblężenia. Później wieżę zamieniono na więzienie. Jednakże wskutek trzęsienia ziemi zawaliły się w niej wszystkie stropy i więzienie trzeba było przenieść w podziemia. W swoim czasie jedna z królowych arkanarskich poskarżyła się swemu panu i władcy, że krzyki torturowanych, napełniające całą okolicę, psują je; zabawy. Najjaśniejszy małżonek wydał rozkaz, by w wieży od rana do nocy przygrywała orkiestra wojskowa. Stąd też wywodzi się obecna jej nazwa. Od dawna już z wieży pozostał tylko pusty kamienny szkielet, od dawna już cele śledcze przeniesiono na świeżo wykopane najniższe kondygnacje, od dawna nie przygrywała tam żadna orkiestra, a mieszkańcy wciąż nazywali tę wieżę Wesołą.

Zazwyczaj wokół Wesołej Wieży było pusto. Dziś natomiast panowało tu wielkie ożywienie. Prowadzono do niej, ciągnięto, wleczono po ziemi szturmowców w podartych szarych mundurach, zawszonych włóczęgów w łachmanach, półnagich, zastrachanych mieszczan, przeraźliwie wrzeszczące dziewczki, pędzono całe bandy ponuro rozglądających się oberwańców T nocnej armii, I równocześnie z jakichś potajemnych wyjść wywlekano hakami trupy, zwalano na furgony i wywożono za miasto. Stojący na końcu tasiemcowej kolejki do

drzwi kancelarii szlachcice oraz zamożni mieszczanie z paniczną trwogą spoglądali na tę koszmarną krzątanicę.

Do kancelarii wpuszczano wszystkich, niektórych nawet przeprowadzano pod konwojem. Rumata przepchnął się do środka. Panował tam zupełnie taki sam zaduch, jak na zsymsku. Przy szerokim stole, obłożony spisami, siedział urzędnik z szarżółtą twarzą i długim gęsim piórem za uchem, Kolejny petent, szlachetnie urodzony don Keu, butnie strasząc wąsy, wymienił swoje nazwisko.

- Proszę zdjąć kapelusz - odezwał się bezbarwnym głosem urzędnik nie odrywając wzroku od papierów.

- Ród Keu posiada przywilej noszenia kapelusza nawet w obecności króla - dumnie obwieścił don Keu.

- Nikt nie posiada przywilejów w obliczu Zakonu - głos urzędnika brzmiał tak samo bezbarwnie.

Don Keu sapnął, twarz mu spurpurowiała, ale kapelusz zdjął. Urzędnik wodził długim, żółtym paznokciem wzdłuż listy. .

- Don Keu... don Keu... - mrucał - don Keu... Ulica Królevska dwanaście?

- Tak - chrapliwym z irytacji głosem odpowiedział don Keu.

- Numer czterysta osiemdziesiąt pięć, bracie Tibak. Brat Tibak, siedzący przy sąsiednim stole, otyły, pąsowy z gorąca, poszperał w papierach, otarł pot z łysiny i podniósłszy się, odczytał monotonicznie:

- "Numer czterysta osiemdziesiąt pięć, don Keu, Królevska dwanaście, za znieważenie imienia jego Przewielebności biskupa don Reby, które miało miejsce na balu dworskim przed dwoma laty, naznacza się trzy tuziny różeg w gołe miękkie części ciała z całowaniem trzewika Jego Przewielebności".

Brat Tibak usiadł.

- Proszę tym korytarzem - powiedział bezbarwnie urzędnik. - Różgi na prawo, trzewik na lewo. Następny...

Ku wielkiemu zdziwieniu Rumaty, don Keu nie protestował. Widocznie napatrzał się na różne różności stojąc w kolejce. Chrząknął tylko, z godnością podkręcił wąsa i wyszedł na korytarz. Następny, olbrzymi don Pifa, istna góra trzęsącego się sadła, stał już bez kapelusza.

- Don Pifa... don Pifa... - zamrucał urzędnik wodząc palcem po liście. - Ulica Mleczarzy

dwa?

Don Pifa wydał gardłowy pomruk.

- Numer pięćset cztery, bracie Tibak. Brat Tibak znów otarł pot i wstał.

Numer pięćset cztery, don Pifa, ulica Mleczarzy dwa, bez zarzutu wobec Jego Przewielebności - a więc czysty.

- Don Pifa - oświadczył urzędnik - otrzyma pan znak oczyszczenia. - Schylił się, wyjął z kufra, który stał obok fotela, żelazną bransoletę i podał ją szlachetnie urodzonemu Pifie. - Nosić na lewej ręce, okazywać na każde żądanie rycerzy Zakonu. Następny...

Don Pifa znów wydał gardłowy pomruk i odszedł oglądając bransoletę. Urzędnik już bębnił następne nazwisko. Rumata przebiegł wzrokiem kolejkę. Było tu dużo znajomych. Niektórzy nosili wytworny jak zwykle strój, inni wyraźnie udawali biednych, wszyscy zaś byli gruntownie utaplani w błocie. Gdzieś w połowie kolejki głośno, by wszyscy słyszeli, don Sera już po raz trzeci w ciągu ostatnich pięciu minut obwieszczał: "Nie widzę przeszkód, by nawet szlachetnie urodzonemu nie można było wlepić paru różeg w imieniu Jego Przewielebności!"

Rumata zaczekał, póki następnego nie wysłali na korytarz (był to znany handlarz ryb, któremu naznaczono pięć różeg bez całowania trzewika za pozbawiony entuzjazmu sposób myślenia), przepchnął się do stołu i bezceremonialnie położył dłoń na papierach tuż przed nosem urzędnika.

- Przepraszam bardzo - powiedział. - Mam tu odebrać nakaz zwolnienia doktora Budacha. Jestem don Rumata.

Urzędnik nie podniósł głowy.

- Don Rumata... don Rumata... - mamrotał i odsunawszy jego rękę zaczął wodzić paznokciem po liście.

Co robisz, ty stary kałamarzu? Chodzi mi o nakaz zwolnienia!

- Don Rumata... don Rumata... - Zatrzymać ten automat było jak widać niepodobieństwem. - Ulica Kotlarzy osiem. Numer szesnaście, bracie Tibak.

Rumata czuł, że za jego plecami wszyscy wstrzymali oddech. Prawdę mówiąc, to i jemu zrobiło się trochę nieswojo. Spocony, purpurowy brat Tibak wstał.

- Numer szesnaście, don Rumata, Kotlarzy osiem, za specjalne zasługi dla Zakonu i w dowód szczególnego uznania Jego Przewielebności raczy odebrać nakaz zwolnienia doktora Budacha, z którym to Budachem postąpi według własnej woli - patrz dokument sześć -

siedemnaście - jedenaście.

Urzędnik natychmiast wyciągnął papier spod rozłożonych list i podał Rumacie.

- Żółte drzwi na pierwszym piętrze, pokój sześć, prosto korytarzem, potem na prawo i na lewo. Następny...

Rumata przejrzał dokument. Nie był to nakaz zwolnienia Budacha. Stanowił tylko podstawę, by mu wydano przepustkę do piątego specjalnego oddziału kancelarii, gdzie powinien odebrać zlecenie dla sekretariatu spraw tajnych.

- Coś ty mi dał, zakuty łbie? - spytał. - Gdzie nakaz?

- Żółte drzwi na pierwszym piętrze, pokój sześć, prosto korytarzem, potem na prawo i na lewo - powtórzył urzędnik, i

- Pytam, gdzie nakaz? - ryknął Rumata.

- Nie wiem... nie wiem... Następny!

Rumata usłyszał nad uchem sapanie, coś miękkiego i gorącego przygniotło mu plecy. Odsunął się. Do stołu ponownie przepchnął się don Pifa.

- Nie włazi - oznajmił piskliwie. Urzędnik podniósł na niego mętny wzrok.

- Imię? Godność? - zapytał.

- Nie włazi... powtórzył don Pifa szarpiąc bransoletę z trudem dającą się wcisnąć na trzy tłuste paluchy.

- Nie włazi... nie włazi... - mruzczał urzędnik i nagłym ruchem przysunął do siebie grubą księgę, leżącą po jego prawej ręce. Księga w czarnej zatłuszczonej oprawie wyglądała złowieszczo. Przez kilka sekund don Pifa wpatrywał się w nią osłupiały, po czym cofnął się gwałtownie i bez słowa podążył ku drzwiom. W kolejce wybuchnął gwar: "Prędzej, prędzej, nie zabierać czasu!" Rumata też odszedł od stołu. Co za grzęzawisko, myślał. No, ja was... Urzędnik bębnił w przestrzeń: "Jeśli natomiast wymieniony znak oczyszczenia nie mieści się na lewym napiętku oczyszczonego lub jeśli oczyszczony nie ma lewego napiętka jako takiego..." Rumata okrążył stół, zanurzył obie ręce w kuferku z bransoletami, nabrał, ile się dało i poszedł dalej.

- Hej, hej! - zawołał urzędnik głosem pozbawionym wyrazu. - Uprawnienie!

- Chwała Panu - wymówił z naciskiem Rumata oglądając się przez ramię. Urzędnik i brat Tibak natychmiast wstali i niezgodnym chórem odpowiedzieli: "I ja go chwale". Kolejka patrzyła na oddalającego się Rumatę z zawiścią i podziwem.

Po wyjściu z kancelarii Rumata wolnym krokiem skierował się do Wesołej Wieży,

zatrzaszkując po drodze bransolety no lewej ręce. Było ich dziewięć, na lewej ręce zmieściło się tylko pięć. Pozostałe cztery włożył na prawą. Biskup Arkanaru chciał mnie pokonać przez wyczerpanie, myślał. Nic z tego. Bransolety podzwaniały przy każdym jego kroku, w ręce trzymał imponujący dokument sześć - siedemnaście - jedenaście, zdobny w kolorowe pieczęcie. Spotykani mnisi, pieszo i na koniach, czym prędzej usuwali mu się z drogi. W tłumie pojawiał się i znikał trzymający się w przyzwoitej odległości jego anioł stróż. Rumata młóćąc niemiłosiernie maruderów pochwami mieczy dotarł do bramy, ryknął groźnie na strażnika, który chciał mu zastąpić drogę, przebył szybko podwórze i zaczął schodzić po oślizłych, wyszczerbionych stopniach w oświetlony kopcącymi pochodniami półmrok. Był to przedsiónek sanktuarium byłego Ministerstwa Ochrony Berła - więzienie królewskie oraz cele śledcze. W łukowato sklepionych korytarzach co dziesięć kroków z zardzewiałych gniazd w ścianie sterczały śmierdzące pochodnie. Pod każdą z nich, w niszy przypominającej pieczarę, czerniały drzwi z zakratowanym okienkiem. Były to wejścia do cel więziennych, zaryglowane od zewnątrz ciężkimi, żelaznymi zasuwami. W korytarzach było pełno ludzi. Popychali się, krzyczeli, biegali, komenderowali... Zgrzytały rygle, trzaskały drzwi, kogoś bili, kto wył nieludzko, kogoś wlekli, kto się opierał, kogoś wpychali do celi i tak już nabitej, że szpilki nie wetknąć, kogoś usiłowali z celi wyciągnąć i ani rusz nie mogli, darł się wniebogłose: "To nie ja! Nie ja!" - i czepiał się sąsiadów. Skupione twarze przechodzących mnichów miały zatwardziały wyraz. Każdy dokądś spieszył, każdy załatwiał sprawy państwowej wagi. Rumata pragnąc się zorientować, co i jak, przemierzał korytarze jeden za drugim i schodził coraz niżej. Na dolnych kondygnacjach było nieco spokojniej. Tutaj, wnioskując z rozmów, odbywał się egzamin absolwentów Szkoły Patriotycznej, grupki półnagich, barczystych wyrostków w skórzanych fartuchach. Stali przed celami tortur, wertowali zatłuszczone podręczniki i od czasu do czasu podchodzili do dużego zbiornika z przytwierdzonym na łańcuchu kubkiem i popijali wodę. Z cel dolatywały przeraźliwe krzyki, odgłosy razów i ciężki swąd spalenizny. A te rozmowy, rozmowy.

W łamignacie jest u góry taka śruba, no i ułamała się. Czy to moja wina? A on mnie wywalił. "Ty jolopie skończony - powiada - dostaniesz pięć różeg i przyjdiesz jeszcze raz..."

Żeby się tak dowiedzieć, kto jest od chłosty, może jaki nasz kolega, student. Dogadalibyśmy się wcześniej, po pięć groszy ze łba i dać mu w łapę...

Jak jest dużo sadła, to nie ma co szpona rozpalać, bo i tak w sadle ostygnie. Wziąć wtedy szczypce i sadło trochę odedrzeć...

- No przecież nagolenice Pana Boga są na nogi, więc szersze i na klinach, a rękawice męczenniczki - na śrubach, specjalnie do ręki, rozumiesz?

- Ale heca! Przychodzę, patrzę - a to kto w łańcuchach fika? Ryży, rzeźnik z naszej ulicy, zawsze po pijanemu mało mi uszu nie obrywał. No, myślę, poczekaj ty, już ja sobie zrobię frajdę...

- A Pekora Wargę jak rano mnisi zabrali, tak jeszcze nie wrócił, I na egzamin nie przyszedł.

- Ech, żebym był zastosował maszynkę do mięsa, a ja go przez głupotę buch łomem po bokach, no i złamałem żebro. Ojciec Kin jak mnie złapie za czuprynę i butem w kość ogonową, ale tak wycelował, że mówię wam, czarno mi się w oczach zrobiło, jeszcze teraz mnie boli. "A to co, powiada, materiał mi psujesz?"

- Patrzcie, patrzcie, przyjaciele moi, myślał Rumata powoli obracając głowę w jedną i w drugą stronę. To nie teoria. Tego żaden człowiek jeszcze nie oglądał. Patrzcie, słuchajcie, rejestrujcie na taśmie filmowej... i uczcie się, do ciężkiego diabła, cenić i kochać swoją epokę, i złożcie hołd pamięci tych, którzy przez to przeszli I Przyjrzyjcie się tym mordom, młodym, tępy, nieczułym, nawykłym do wszelkiego bestialstwa, tylko nie kręćcie na nich nosem, wasi przodkowie wcale nie byli lepsi...

Zauważono go. Dziesięć par oczu, które widziały niejedno, wpiło się teraz w niego.

- O, szlachcic stoją... Zbledli jak ściana.

- Che... wiadomo, że wielcy panowie są na to bardzo czuli.

- Podobno trzeba im w takich razach wody dać, ale łańcuch za krótki, nie dosięgnie...

- Co tam, nic im nie będzie..

- Żebym takiego dostał.. Tacy, o co ich zapytasz, zaraz gadają...

- Ciszej trochę. bo jeszcze nas rąbnie . Patrzcie, ile bransolet... i papier.

- Jakoś tak świdrem patrzy.. Odsuńmy się, bracia, byle dalej od złego

Całą grupą ruszyli z miejsca, odeszli w cień i stamtąd niby pająki łyskali czujnymi oczkami No, mam dość, po myślał Rumata. Wyciągnął rękę chcąc złapać za sutannę przebiegającego mnicha, lecz nagle spostrzegł trzech innych, w dodatku nie zalatanych, lecz pracujących wspólnie na miejscu. Grzmocili pałkami kata, widocznie za jakiegoś niedbalstwo. Podszedł do nich

- Chwała Panu - rzekł półgłosem, dzwoniąc bransoletami.

Mnisi opuścili pałki i przyjrzeni mu się

- I ja go chwale - odpowiedział najwyższy wzrostem.

- Prowadźcie mnie, ojcowie, do dozorca tego odcinka.

Mnisi spojrzeli na siebie. Kat zwinnie odczołgał się i ukrył za zbiornikiem z wodą.

- A na co ci dozorca? - spytał wysoki mnich. Rumata podsunął mu pod nos dokument, trzymał chwilę i opuścił rękę.

- Aha - mruknął mnich. -" No to dzisiaj ja jestem dozorcą.

- Doskonale - Rumata zwinął papier w trąbkę. - Jestem don Rumata. Jego Przewielebność podarował mi doktora Budacha. Idź i przyprowadź go.

Mnich wsadził rękę pod kaptur i podrapał się, aż zachrzęściło.

- Budach? - powtórzył z namysłem - Który to Budach? Może ten deprawator?

- Nie - wtrącił drugi. Deprawator to Rudach. Dziś w nocy go wypuścili. Sam ojciec go rozkuł i wyprowadził stąd. A ja...

- Brednie! - zniecierpliwił się Rumata uderzając papierem o biodro. - Budach. Ten, co otrul króla.

- Aaa... Wiem. On pewnie już na palu... Bracie Pakka, idź do dwunastki i zobacz. A ty co, chcesz go stąd zabrać? - zwrócił się do Rumaty.

- Naturalnie. On należy do mnie.

- No to pozwól najpierw dokumencik. Dokumencik pójdzie do akt. - Rumata oddał mu papier.

Dozorca obracał go w rękach przyglądając się pieczęciom, potem rzeki z zachwytem:

- Jak to ludzie potrafią pisać? Stań sobie, panie, tu z boczku, zaczekaj, my na razie mamy robotę... Ej, a gdzie ten znów się podział?

Mnisi zaczęli się rozglądać, szukając winowajcy. Rumata odszedł na bok. Oni tymczasem wytaszczyli kata zza zbiornika, rozciągnęli go na ziemi i jęli tłuc skrupulatnie, ale bez nadmiernego okrucieństwa. W pięć minut później ukazał się wysłany mnich, ciągnąc za sobą na sznurze chudego, siwego jak gołąb starca w ciemnej odzieży.

- O, jest Budach, to właśnie on! - już z daleka wołał radośnie mnich. - I wcale nie był na palu, zdrów Budach i cały! Troszkę tylko osłabł, widać już dawno siedzi bez jedzenia...

Rumata podszedł do nich, wyrwał postronek z rąk mnicha i zdjął starcowi pętlę z szyi.

- Pan jest Budach Irukański? - zapytał.

- Tak - odrzekł starzec patrząc na niego spod brwi.

- Jestem Rumata, niech pan idzie za mną i stara się nie zostawać w tyle. - Odwrócił się do mnichów: - Chwała Panu.

Dozorca wyprostował grzbiet i opuściwszy pałkę odpowiedział lekko zdyszonym głosem: - I ja go chwale.

Rumata spojrział na Budacha i zobaczył, że starzec czepia się ściany nie mogąc utrzymać się na nogach.

- Słabo mi - rzekł z bolesnym uśmiechem. - Wybacz, szlachetny panie.

Rumata wziął go pod rękę i poprowadził. Gdy mnisi zniknęli z pola widzenia, zatrzymał się, wyjął z fiolki tabletkę sporaminy i podał Budachowi. Starzec spojrział na niego pytająco.

- Proszę to zażyć - wyjaśnił Rumata. - Od razu poczuje się pan lepiej.

Budach, wciąż jeszcze opierając się o ścianę, wziął tabletkę, obejrzał, powąchał, uniósł krzaczaste brwi, wreszcie położył ją na języku i posmakował.

- Niech pan przełknie - uśmiechnął się Rumata.. Budach posłucha).

- M-m-m... Sądziłem, że wiem wszystko o lekarstwach. - Umilkł badając swoje wrażenia.

- M-m-m! -powtórzył. - Ciekawe! Suszona śledziona odyńca Y? Chociaż nie, nie ma zgniętego smaku.

- Chodźmy - ponaglił Rumata.

Przebyli korytarz, potem schody, potem jeszcze jeden korytarz, jeszcze jedne schody, I tu Rumata stanął nagle jak wryty. Znajomy basowy ryk nappełnił sklepienia więzienne. Gdzieś w najgłębszych zakamarkach podziemi wrzeszczał opętańczo sypiąc potwornymi przekleństwami, lżąc Boga, wszystkich świętych, moce piekielne, Święty Zakon, don Rebę i w ogóle cały świat - serdeczny przyjaciel Rumaty, baron Pampa don Bau-no-Suruga-no-Gatta-no-Arkanara. A jednak złapali barona, pomyślał Rumata ze skruczą. Na śmierć o nim zapomniałem. On by o mnie nie zapomniał... Szybko zdjął z ręki dwie bransolety, wsunął na chude ręce doktora Budacha i rzekł:

- Niech pan wyjdzie na podwórze, byle tylko nie za bramę. Proszę zaczekać gdzieś z boku. Jeśli będą się pana czepiali, niech pan pokaże bransolety i zachowuje się hardo.

Baron Pampa ryczał jak statek atomowy w polarnej mgle. Gromkie echo toczyło się pod sklepieniami. Ludzie w korytarzach zastygli otworzywszy gęby i nasłuchiwali niemal ze czcią.- Ten i ów żegna) się dużym palcem, odpędzając złego ducha. Rumata zbiegł dwa piętra w dół, zwalając z nóg napotykanym mnichów, pochwami mieczy utorował sobie przejście w tłumie

absolwentów i kopnięciem otworzył drzwi celi, już prawie wyskakujące z zawias od tego ryku. W chybottliwym świetle pochodni ujrzał swego przyjaciela Pampe: olbrzymi, goluteńki baron wisiał rozpięty na ścianie głową w dół. Twarz miał prawie czarną od nabiegłej krwi. Przy kulawym stoliku, zatykając palcami uszy, siedział zgarbiony urzędnik, a lśniący od potu kat, przypominający czymś dentystę, szczekał narzędziami grzebiąc w blaszanej miednicy.

Rumata starannie zamknął za sobą drzwi, zbliżył się z tyłu do kata i trzasnął go w potylicę rękojęścią miecza. Kat okręcił się wokół własnej osi, złapał się za głowę i wylądował w miednicy. Rumata wyciągnął miecz z pochwy i rozrąbał na pół stolik z papierami, przy którym kulił się urzędnik. Wszystko było w porządku. Kat siedział w miednicy bekając z cicha, urzędnik czmychnął na czworakach z godną podziwu chyżością i przyległ w kącie. Rumata podszedł do barona, który z radosnym zaciekawieniem spoglądał na niego z odwrotnej pozycji, chwycił za łańcuchy krępujące mu nogi i dwoma szarpnięciami wyrwał je ze ściany. Następnie z wielką ostrożnością postawił go na podłodze. Baron milczał znieruchomiały w jakiejś dziwnej pozie, potem z całej siły targnął łańcuchami i oswobodził ręce.

- Oczom własnym nie wierzę - zahuczał przewracając nabiegłymi krwią oczami - czy to naprawdę pan, mój szlachetny przyjacielu?! Nareszcie pana znalazłem!

- Tak, to ja - odpowiedział Rumata. - Chodźmy stąd, mój drogi, to nie miejsce dla pana.

- Piwa! Gdzieś tu było piwo. - Baron zaczął chodzić po celi wlokąc za sobą resztki łańcuchów i nie przestając grzmieć: - Pół nocy biegałem po mieście. Do stu piorunów, powiedzieli mi, że pana aresztowano, więc wytłukłem kupę ludzi! Byłem pewny, że znajdę pana w tym więzieniu! O, jest!

Podszedł do kata i zmiotł go jak pyłek wraz z miednicą. Pod spodem stała baryłka z piwem. Baron wybił pięścią dno, uniósł ją wysoko i przechylił, podstawiając otwarte usta. Pienista, bulgocąca struga piwa wlewała się do jego gardła. Istne чудо, myślał Rumata z czułością przypatrując się baronowi. Zdawałoby się, że to buhaj, bezmyślny buhaj, a przecież szukał mnie, chciał ratować, przecież nie ma dwóch zdań, że przyszedł tu do więzienia po mnie, sam... A jednak są ludzie nawet na tym przeklętym świecie... I jak się to wszystko szczęśliwie złożyło!

Baron opróżnił baryłkę i odrzucił w kąt, w którym szczekał zębami urzędnik. Rozległ się urywany pisk.

- No - oznajmił wycierając brodę dłonią. - Teraz jestem gotów iść z panem. Czy to nie

przeszkadza, że jestem goły?

Rumata obejrzał się, podszedł do kata i wytrząsnął go z fartucha.

- Tymczasem niech pan włoży to - zaproponował.

- Ma pan rację - odpowiedział baron zawiązując fartuch na biodrach. - Nie mogę pokazać się goły baronowej, to nie wypada..

Wyszli z celi. Nikt nie odważył się zastąpić im drogi, na dwadzieścia kroków przed nimi korytarz świecił pustką.

- Rozniosę ich wszystkich - ryknął baron. - Zajęli mój zamek, i wsadzili tam jakiegoś ojca Arime! Nie wiem, czyim jest ojcem, lecz klnę się na Boga, że jego dzieci wkrótce osierocieją. Do stu diabłów, nie uważasz, mój przyjacielu, że sklepienia są tu okropnie niskie? Cały czubek głowy mam podrapany...

Wyszli z wieży. Mignął z daleka i szybko wmieszał się w tłum szpieg-anioł stróż. Rumata dał Budachowi znak, by szedł za nimi. Ciżba przed bramą rozstała się, jakby ktoś rozciął ją mieczem. Słysząc było głosy wołające, że uciekł ważny przestępca polityczny, to znów, że "ten Goły Diabeł to słynny estorski kat-ćwiartownik".

Baron zatrzymał się pośrodku placu, mrużąc oczy przed światłem słonecznym. Czas nagle. Rumata rozejrzał się szybko.

- Gdzieś tu musi być mój koń - powiedział baron. - Hej tam który! Konia!

Przy konowiązie, gdzie stały konie kawalerii zakonnej, wszczął się ruch.

- Nie ten! - huknął baron. - Ten siwy, jabłkowity!

- Chwała Panu - zawołał dopiero teraz Rumata i ściągnął przez głowę bandolet z prawym mieczem.

Wystraszony mniszek w poplamionej sutannie przyprowadził baronowi konia.

- Daj mu tam coś, przyjacielu - rzekł do Rumaty baron ciężko sadowiąc się w siodle.

- Stój, stój! - rozległy się krzyki od strony wieży. Przez plac, wymachując maczugami, biegli mnisi. Rumata podał baronowi miecz.

- Niech się pan spieszy, baronie!

- Tak - powiedział Pampa. - Trzeba się spieszyć. Ten Arima rozgrabi mi całą piwnice. Oczekuję pana u siebie jutro lub pojutrze, mój przyjacielu. Co mam powiedzieć baronowej?

- Proszę ucałować jej ręce. - Mnisi byli tui-tuż. - Prędzej, prędzej, baronie.

- Ale czy panu nic nie grozi? - spytał z niepokojem baron.

- Nic, do diabła, nic! Naprzód!

Baron puścił konia galopem prosto w tłum mnichów. Ktoś upadł turlając się po ziemi, ktoś zaskrzeczał, tuman kurzu wzbił się w powietrze, zastukały po bruku kopyta i baron znikł z oczu. Rumata patrzył w uliczkę, gdzie siedzieli trzęsąc nieprzytomnie głowami powaleni przed chwilą mnisi, gdy nagle przymilny głos odezwał się nad jego uchem:

- Mój szlachetny panie, czy nie wydaje ci się, że za wiele sobie pozwalasz?

Rumata obejrzał się. Don Reba patrzył na niego badawczo z nieco wymuszonym uśmiechem. " - Za wiele? - powtórzył Rumata. - Słowo "za wiele" jest mi zupełnie nie znane. - Wtem przyszedł mu na myśl don Sera. - I w ogóle nie widzę przeszkód, by jeden szlachetnie urodzony- nie miał pomóc drugiemu w nieszczęściu.

Obok nich ciężko przecwałowali jeźdźcy z nastawionymi włóczniami. Był to pościg. Twarz don Reby zmieniła wyraz.

- No dobrze - powiedział. - Dajmy temu spokój... O, kogóż ja widzę, wielce uczony doktor Budach... Świetnie pan wygląda, doktorze. Będę musiał przeprowadzić inspekcję w moim więzieniu. Przestępcy polityczni, nawet wypuszczeni na wolność, nie powinni wychodzić z więzienia na własnych nogach - powinno się ich wynosić.

Doktor Budach ruszył na niego jak ślepiec. Rumata szybko stanął między nimi.

- A propos, don Reba - zapytał - jaki jest pański stosunek do ojca Arimy?

- Do ojca Arimy? - Don Reba podniósł wysoko brwi. - To świetny wojskowy. Zajmuje wysokie stanowisko w moim episkopacie. A o co chodzi?

- Jako wierny sługa Waszej Przewielebności - Rumata skłonił się z szatańską ironią - spieszę pana zawiadomić, że to wysokie stanowisko może pan uważać za wakującą.

- Ale dlaczego?

Rumota spojrzął w uliczkę, na której unosił się jeszcze żółtawy kurz. Don Reba również popatrzył w tamtą stronę. Na jego twarzy odbiło się zatroskanie.

* * *

Było już późne popołudnie, gdy Kira poprosiła do stołu pana domu oraz jego wielce uczonego przyjaciela. Doktor Budach umyty, przebrany w czystą odzież, starannie ogolony, wyglądał wprost imponująco. Ruchy miał powolne i pełne godności, mądre szare oczy patrzyły życzliwie i nawet z wyrozumiałością. Przede wszystkim przeprosił Rumatę za swój wybuch na placu. "Ale musi mnie pan zrozumieć - mówił. - To jest straszny człowiek. Wilkołak, który

znalazł się na tym świecie wyłącznie przez niedopatrzenie boskie. Jestem lekarzem i mimo to nie wstydę się przyznać, że przy pierwszej okazji uśmierciłbym go bez wahania. Słyszałem, że otruto króla. (Rumata nastawił uszu). Otóż ów Reba przyszedł do mojej celi i zażądał, aby sporządzić mu truciznę działającą z kilkugodzinnym opóźnieniem. Odmówiłem, rzecz jasna. Zagroził mi torturami - roześmiałem mu się w twarz. Wówczas ten nędznik zawołał siepaczy i kazał im przyprowadzić z ulicy dwanaścioro dzieci, dziewczynek i chłopców, najwyżej dziesięcioletnich. Ustawił te dzieci przede mną, otworzył mój worek z ziołami i oświadczył, że będzie na nich próbował wszystkiego po kolei, dopóki nie znajdzie tego, co mu jest potrzebne. Teraz pan już się domyśla, don Rumata, w jaki sposób król został otruty..." - wargi zaczęły mu drżeć, lecz szybko opanował wzburzenie. Rumata, dyskretnie odwrócony, kiwał głową. Jasne, myślał. Wszystko jasne. Z rak swego ministra król nie wzięłby nawet ogórka. Toteż nikczemnik podsunął mu jakiegoś szarlatana, któremu przyrzeczona tytuł nadwornego znachora za wyleczenie króla. Rozumiem teraz, czemu Reba był tak rozradowany, gdy go demaskowałem w sypialni królewskiej: trudno byłoby o lepszą okazję, by podsunąć królowi pseudo Budacha. Cała odpowiedzialność spadała na Rumatę Estorskiego, irukańskiego szpiega i spiskowca. Szczeniaki jesteśmy, pomyślał. Trzeba by otworzyć w Instytucie specjalny kurs feudalnej intrygi, i postępy w nauce oceniać w rebach. Albo lepiej w decyrebach. Zresztą, gdzieś tam...

Doktor Budach był z pewnością bardzo głodny. Niemniej delikatnie, lecz stanowczo podziękował za dania mięsne i zaszczycił swą uwagą jedynie sałatki i pierożki z konfiturami. Wypił szklanekę estorskiego, oczy mu zabłyśły, policzki zabarwiły się zdrowym rumieńcem. Rumata nie mógł jeść. Przed jego oczami płonęły z trzaskiem kopciny czerwone pochodnie, czuł swąd przypalanych ciał, w gardle tkwił mu jakiś dławiący kłębek. Toteż czekając, aż gość zaspokoi głód, stał przy oknie prowadząc uprzejmą pogawędkę, spokojnie i bez pośpiechu, by nie przeszkadzać mu w jedzeniu.

Miasto stopniowo wracało do życia.

Na ulicach pojawili się ludzie, głosy stawały się donośniejsze, słychać było stuk młotków i trzask drewna - to z dachów i ze ścian usuwano pogańskie figurki. Gruby łysy sklepikarz pchał wózek z beczką piwa, by sprzedawać je na placu po dwa grosze za kufel. Mieszkańcy zaczynali się przystosowywać. W bramie naprzeciwko szpieg-aniół stróż dłubiąc w nosie paplał z chudą gospodynią. W parę minut później przejechały furmanki naładowane aż po wysokość pierwszego

piętra. Rumata początkowo nie zorientował się, co takiego wiozą, dopiero po chwili spostrzegł sine ręce i nogi sterczące spod rogoży i czym prędzej wrócił do stołu.

- Człowiek - mówił Budach jedząc powoli - jest stworzeniem obdarzonym zadziwiającą zdolnością przywykania do wszelkich warunków. Nie istnieje w przyrodzie nic takiego, z czym by się nie oswoił. Koń, pies czy mysz nie posiadają takiej właściwości. Widocznie Bóg stwarzając człowieka wiedział, na jakie męki go skazuje, dał mu więc ogromny zapas sił i cierpliwości. Trudno orzec, dobrze to czy źle. Gdyby człowiek nie miał takiej cierpliwości i wytrzymałości, wszyscy dobrzy ludzie dawno by już wyginęli i na świecie zostaliby sami źli i bezduszni.

Z drugiej strony nawyk cierpliwości i przystosowywania zamienia ludzi w nieme bydła, które już niczym, oprócz anatomii, nie różnią się od zwierząt, a nawet są od nich bardziej bezbronne, I każdy dzień rodzi nowy koszmar zła i przemocy...

Rumata spojrział na Kirę. Siedziała naprzeciwko Budacha, wpatrzona w niego i zasłuchana, z policzkiem wspartym na piąstce. Oczy miała smutne, widocznie bardzo było jej żal ludzi.

- Możliwe, że masz rację, czcigodny panie - powiedział Rumata. - Ale weźmy, na przykład, mnie. Jestem zwyczajnym szlachcicem znacznego rodu (wysokie czoło Budacha pofałdowały zmarszczki, oczy zaokrągliły się z wesołego zdziwienia), niezmiernie lubię uczonych, ową szlachtę duchową, I w głowie mi się nie mieści, dlaczego wy, stróże i jedyni posiadacze głębokiej wiedzy, jesteście tak bierni? Dlaczego bez szemrania pozwalacie sobą poniewierać, wrzucać do więzień, palić na stosach? Dlaczego sens waszego życia - zdobywanie wiedzy - jest tak całkowicie oderwany od jego potrzeb praktycznych, od walki ze złem?

Budach odsunął pusty półmisek po pierożkach.

- Dziwne pan zadaje pytania, don Rumata. Zabawne, że to samo mówił mi szlachetny don Hug, komorzy naszego księcia. Zna go pan? Tak właśnie myślałem... Walka ze złem! Ale co to jest zło? Każdy ma prawo pojmywać je na swój sposób. Dla nas, uczonych, złem jest ciemnota, kościół zaś uczy, że ciemnota to dobro, natomiast wszelkie zło wypływa z wiedzy. Dla rolnika złem są podatki i susza, a dla handlarza zbożem susza to dobro. Dla niewolników zło - to pijany i okrutny pan, dla rzemieślnika - chciwy lichwiarz. A więc jak wygląda to zło, z którym należy walczyć, don Rumata? - powiódł smutnym wzrokiem po słuchaczach. - Zło jest nie do wytępienia. Żaden człowiek na świecie nie jest w mocy zmniejszyć jego ilości. Może nieco

polepszyć własny los, ale zawsze kosztem pogorszenia losu innych, I zawsze będą królowie bardziej lub mniej okrutni, baronowie bardziej lub mniej dzicy, i zawsze będzie ciemny naród żywiący podziw dla swych ciemzców, a nienawiść do swego wybawcy. I wszystko dlatego, że niewolnik znacznie lepiej rozumie swego pana, choćby najokrutniejszego, niż swego wybawcę, każdy bowiem doskonale potrafi wyobrazić sobie siebie w roli pana, mało kto zaś w roli bezinteresownego wybawcy. Tacy są ludzie, don Rumata, i taki jest nasz świat.

- Świat stale się zmienia, doktorze Budach - rzekł Rumata. - Znamy czasy, gdy królów nie było...

- Świat nie może zmieniać się wiecznie - odparł Budach - bowiem nic nie jest wieczne, nawet zmiany... Nie znamy zasad doskonałości, jednakże z czasem można ją osiągnąć. Niech pan spojrzy, na przykład, jak jest zbudowane nasze społeczeństwo. Jak cieszy oko ta przejrzysta, prawidłowa pod względem geometrycznym konstrukcja) Na dole chłopci i rzemieślnicy, wyżej szlachta, następnie duchowieństwo i na samym szczycie król. Jakże to wszystko przemyślane, co za trwałość i jaka harmonia. Cóż jeszcze zmieniać w tym oszlifowanym kryształ, który jest dziełem rąk niebiańskiego jubilera? Nie ma budowli trwalszych nad piramidy, powie to panu każdy doświadczony architekt. - Podniósł palec do góry gestem kaznodziei: - Ziarno wysypywane z worka nie układa się równymi warstwami, lecz tworzy tak zwany stożek. Każde ziarenko czepia się drugiego, by nie stoczyć się w dół. To samo i ludzkość. Jeśli pragnie stanowić pewną całość, ludzie muszą trzymać się jeden drugiego tworząc konstrukcję w kształcie piramidy.

- Czyżby pan naprawdę uważał ten świat za doskonały? - zdziwił się Rumata. - Po spotkaniu z don Rebą, po tym, co pan przeszedł w więzieniu...

- Mój młody przyjacielu, oczywiście, że tak! Wiele rzeczy na świecie mi się nie podoba, niejednokrotnie chciałbym to i owo ulepszyć... Ale cóż robić? W oczach sił wyższych doskonałość wygląda inaczej, niż w moich. Na cóż się zda drzewu narzekanie, że nie może się poruszać, a przecież tak chętnie uciekałoby co sił w nogach przed toporem drwala.

- A gdyby można było zmienić wyższe nakazania?

- Tego mogą dokonać tylko siły wyższe...

- Niech pan więc spróbuje wyobrazić sobie, że jest pan Bogiem...

Budach roześmiał się.

- Gdybym mógł wyobrazić sobie, że jestem Bogiem, Stałbym się nim!

- No, a gdyby pan miał możliwość doradzić coś Bogu?

- Cóż za bogata wyobraźnia - rzekł z uznaniem Budach, - To piękne. Pan jest człowiekiem wykształconym? Świetnie! Z przyjemnością bym z panem popracował...

- Pochlebia mi pan... Cóż jednak doradziłby pan Wszechmogącemu? Co pańskim zdaniem Wszechmogący powinien uczynić, by pan orzekł: oto teraz świat jest dobry i piękny?...

Budach uśmiechnął się z aprobatą i splótłszy ręce na brzuchu zagłębił się w fotelu. Kira wpatrywała się w niego zachłannie.

- No dobrze. Powiedziałbym więc Wszechmogącemu: "Stwórco, nie znam twoich planów, może nie leży w twych zamiarach uczynić ludzi dobrymi i szczęśliwymi. Zechciej to jednak sprawić! To takie proste! Daj im pod dostatkiem chleba, mięsa i wina, daj im dach nad głową i odzienie. Niechaj znikną głód i nędza, a wraz z tym cała reszta, która ich dzieli".

- I to wszystko? - zapytał Rumata.

- Uważa pan, że to mało? Rumata pokiwał głową.

- Bóg odpowiedziałby panu: "Nie wyjdzie to ludziom na dobre. Albowiem silni waszego świata odbiorą słabym wszystko, co im dałem, i słabi znów staną się nędzarami".

- Prosiłbym Boga, by uchronił słabych. "Oświeć okrutnych władców" - powiedziałbym.

- Okrucieństwo jest siłą. Utraciwszy je, władcy utracą tym samym siłę i wówczas zastąpią ich inni okrutnicy.

Budach przestał się uśmiechać.

- Ukarz okrutników - przemówił twardo - by nie czuli się tak pewni w swym okrucieństwie wobec słabych.

- Człowiek rodzi się słaby. Silnym staje się wówczas, gdy obok nie widzi silniejszych od siebie. Jeśli ukarzę okrutników spośród silnych, miejsce ich zajmą silni spośród słabych. Równie okrutnych. Tedy przyjdzie mi karać wszystkich, a ja tego nie chcę.

- Ty wiesz lepiej, o Wszechmogący. Spraw więc, by ludzie otrzymali wszystko i nie odbierali jeden drugiemu tego, co im dałeś.

- To również nie wyjdzie im na dobre - westchnął Rumata - albowiem jeśli otrzymają z rąk moich wszystko za darmo, bez wysiłku, zapomną, jak wygląda praca, postradają chęć do życia i przeistoczą się w moje zwierzęta domowe, które odtąd będę zmuszony karmić i odziewać wiecznie.

- Nie dawaj im wszystkiego naraz! - zawołał gorąco Budach. - Daj po trochu, stopniowo!

- Stopniowo ludzie sami wezmą sobie wszystko, co im będzie potrzebne.

Budach roześmiał się z lekkim zakłopotaniem.

- No tak, widzę, że to nie takie proste - przyznał. - Dawniej jakoś nie myślałem o takich rzeczach... Chyba wzięliśmy już pod uwagę wszystkie możliwości. Zresztą nie - pochylił się naprzód - jest jeszcze jedna. Spraw, aby ludzie ponad wszystko inne ukochali pracę i wiedzę, aby praca i wiedza stały się główną treścią ich życia.

Tak, my też chcieliśmy przeprowadzić taką próbę, pomyślał Rumata. Masowa hipnoindukcja, pozytywna remoralizacja. Hipnopromienniki na trzech ekwatorialnych sputnikach.

- Mógłbym to sprawić - powiedział. - Ale czy warto pozbawiać ludzkość jej historii? Czy warto zmieniać jedną ludzkość na drugą? Czy nie będzie to równoznaczne ze starciem tej ludzkości z oblicza ziemi i stworzeniem na jej miejsce nowej?

Budach milczał z czołem zmarszczonym, zastanawiając się głęboko. Rumata czekał. Za oknem znów zaskrzypiały jękliwie furmanki. Uczony przemówił cichym głosem:

- Tedy, o Wszchemogący, zetrzyj nas z oblicza ziemi i stwórz na nowo bardziej doskonałymi... albo jeszcze lepiej, zostaw nas i pozwól iść własną drogą.

- Serce me pełne jest żalu - rzekł powoli Rumata. - Nie mogę tego uczynić.

I nagle zobaczył oczy Kiry. Patrzyła na niego ze strachem i nadzieją.

ROZDZIAŁ IX

Rumata skłonił Budacha, by odpoczął przed daleką podróżą, i poszedł do swego gabinetu. Działanie spora-miny już mijало, znów czuł się zmęczony i rozbity, znów zaczęły doskwierać potłuczenia i puchnąć okaleczone sznurami napiętki. Muszę się przespać, myślał, koniecznie muszę się przespać, a potem skomunikować się z don Condorem. Trzeba też połączyć się ze sterowcem patrolowym, niech poinformują Bazę. Trzeba z grubsza ocenić, co teraz powinniśmy robić, czy możemy cokolwiek zrobić i co dalej, jeśli już niczego więcej nie zdołamy zrobić.

Przy biurku w gabinecie siedział zgarbiony w fotelu czarny mnich w nisko nasuniętym na twarz kapturze. Sprytnie, pomyślał Rumata.

- Kim jesteś? - spytał znużonym tonem. - Kto cię wpuścił?

- Dzień dobry, szlachetny don Rumata - przemówił mnich odchylając kaptur.

Rumata pokiwał głową.

- Sprytnie. Dzień dobry, sławny Arato. Co pana tu sprowadza? Czy coś się stało?

- Wszystko po staremu - odpowiedział Arata. - Armia się rozlazła, wszyscy dzielą ziemię, na południe nikt nie chce iść. Książę zbiera niedobitki i wkrótce porozwiesza moich chłopów nogami do góry wzdłuż Estorskiego Traktu.

- Jasne - rzekł Rumata.

Wyciągnął się na sofie, podłożył ręce pod głowę i patrzył na Aratę. Dwadzieścia lat temu, gdy Anton majstrował modele i bawił się w Wilhelma Telia, człowiek ten nazywał się. Arata Piękny i zapewne wyglądał zupełnie inaczej niż teraz.

Nie miał Arata Piękny na wspaniałym czole tego szkaradnego fioletowego piętna - pojawiło się ono dopiero po buncie soańskich stoczniovców, kiedy to trzy tysiące nagich niewolników, spędzonych do robót w stoczni ze wszystkich krańców Imperium i zadreńczonych do utraty instynktu samozachowawczego, pewnej słotnej nocy wyrwało się z portu i jak burza przetoczyło przez Soan, zostawiając za sobą trupy i pożary, a na granicy czekała na nich zakuta w zbroje piechota cesarska...

Miał natomiast Arata Piękny dwoje nie uszkodzonych oczu. Prawe wypłynęło mu z orbit od brawurowego ciosu baronowskiej buławy, gdy dwudziestotysięczna armia chłopska, uganiając się po metropolii za drużynami baronów, starła się w otwartym polu z pięćdziesięcioletnią gwardią cesarza, w mgnieniu oka została rozbита, okrążona i stratowana kolczastymi podkowami wielbłądów bojowych.

I był Arata Piękny z pewnością smukły jak topola. Garbu i nowego przezwiska dorobił się po wojnie wiilańskiej w Księstwie Uban, leżącym za dwoma morzami, kiedy po siedmiu latach moru i suszy czterysta tysięcy żywych szkieletów widłami i hołoblami wytlukło szlachtę i obiegło księcia ubańskiego w jego rezydencji. Książę, którego słaby umysł nabrał mocy pod wpływem nieopisanego strachu, ogłosił poddanym ułaskawienie, pięciokrotnie zniżył ceny na napoje alkoholowe oraz przyrzekł różne swobody, I oto Arata, który widząc już, że wszystko skończone, błagał, żądał zaklinał, by nie dali zamydlić sobie oczu, został schwytyany przez innych przywódców uważających, że nie jest najlepiej temu, kto szuka lepszego, skatowany żelaznymi pałkami i wrzucony do dołu na śmieci, aby tam dokonał żywota...

A tę masywną żelazną obręcz na prawym napiętku zapewne miał jeszcze w czasach, gdy nazywano go Pięknym. Była przykuta na łańcuchu do wiosła pirackiej galery. Arata rozklepał łańcuch, trzasnął tą obręczą w skroń kapitana Egę Zalotnika, zdobył okręt, a następnie całą armadę i usiłował stworzyć wolną republikę na wodzie... Przedsięwzięcie to zakończyło się krwawą pijacką awanturą, bowiem Arata był wówczas młody, nie umiał nienawidzić i sądził, że wystarcza już sama wolność, by niewolnik stał się podobny Bogu...

Był to zawodowy buntownik, mściciel z bożej łaski, postać w średniowieczu dość niezwykła. Takie szczupaki rodzi niekiedy ewolucja historyczna i rzuca w odmęty społeczne, by nie drzemały tłuste karasie, żerujące w przydennym mule... Arata był tu jedynym człowiekiem, do którego Rumata nie czuł nienawiści, ani też się nad nim nie litował, I w swoich gorączkowych snach Ziemianina, który przeżył pięć lat we krwi i smrodzie, często widział siebie jako takiego właśnie Aratę, co przeszedł wszystkie piekła wszechświata i za to uzyskał wielkie prawo zabijania morderców, torturowania katów i wydawania zdrajców...

- Czasem zdaje mi się - mówił Arata - że wszyscy jesteśmy bezsilni. Jako wieczny przywódca buntowników wiem dobrze, że cała moja siła polega na piekielnej żywotności. Ale ta siła nie ma dobrego wpływu na moją bezsilność. Moje zwycięstwa jakimś magicznym sposobem zamieniają się w klęski. Walczący przy moim boku przyjaciele stają się wrogami, najmężniejsi uciekają, najwierniejsi zdradzają lub umierają, I nie mam nic oprócz gołych rąk, a gołymi rękami nie dosięgnę wyzłoconych bożków, siedzących za warownymi murami.

- Skąd pan się wziął w Arkanarze? - spytał Rumata.

- Przypląnąłem z mnichami.

- To szaleństwo. Tak łatwo przecież pana rozpoznać...

Tylko nie w tłumie mnichów. Połowa oficerów Zakonu to matoly lub okaleczeni jak ja. Kaleki miłe są Bogu. - Uśmiechnął się ironicznie patrząc na Rumatę.

- I co pan zamierza robić? - zapytał Rumata spuszcżając oczy.

- Jak zwykle. Wiem, co to jest Święty Zakon - rok nie minie jak lud arkanarski wyjdzie z toporami ze swoich szczelin walczyć na ulicach, I poprowadzę ich ja, żeby tłukli, kogo należy, a nie siebie nawzajem i wszystkich po kolei.

- Potrzebne panu pieniądze?

- Jak zwykle, i broń... - Umilkł i po chwili znów podjął przypochlebnie: - Don Rumata, pamięta pan moje rozczarowanie, gdy dowiedziałem się, kim pan jest? Nienawidzę popów i bardzo mi przykro, że ich kłamliwe bajdy okazały się prawdą. Ale biedny buntownik musi ze wszystkiego wyciągać korzyści. Mówili, że bogowie władają piorunami... Don Rumata, mnie są koniecznie potrzebne pioruny, inaczej nie rozwalę murów twierdz...

Rumata westchnął gęęboko. Po cudownym ocaleniu śmigłowcem, Arata stanowczo zażądał wyjaśnień. Rumata próbował opowiedzieć mu o sobie, nawet pokazał na ciemnym nocnym niebie Słońce - maleńką, ledwie widoczną gwiazdkę. Ale buntownik zrozumiał z tego tylko jedno: przekłeci popi mówili prawdę, za sklepieniem niebieskim rzeczywiście mieszkają bogowie, wszechmocni i zażywający wszelkiej szczęśliwości. Odtąd każda rozmowa z Rumatą sprowadzała się do tego samego: boże, skoro już istniejesz, obdarz mnie swą siłą, albowiem jest to najlepsze, co możesz uczynić.

A Rumata za każdym razem pomijał to milczeniem lub zmieniał temat.

- Don Rumata - przemówił znów buntownik - dlaczego pan nie chce nam pomóc?

- Chwileczkę. Przepraszam bardzo, chciałbym jednak wiedzieć, jak się pan przedostał do mego domu?

- To nieważne. Nikt oprócz mnie nie zna tej drogi. Niech pan się nie wykręca, don Rumata Dlaczego pan nie chce użyć nam swej siły?

- Nie mówmy już o tym.

- O nie, właśnie będziemy mówili. Ja pana nie wzywałem. Nigdy do nikogo się nie modliłem. Pan sam do mnie przyszedł. A może po prostu chciał się pan zabawić?

Trudno być bogiem, pomyślał Rumata.

- Pan tego nie zrozumie - rzekł spokojnym tonem. - Dwadzieścia razy próbowałem panu wytłumaczyć, że nie jestem bogiem, a pan mi jednak nie uwierzył. Tak samo nie rozumie pan,

dlaczego nie mogę wesprzeć was bronią...

- Ma pan pioruny?

- Nie mogę dać wam piorunów.

- Słyszałem to już dwadzieścia razy. Teraz chcę wiedzieć - dlaczego?

- Powtarzam, że pan tego nie zrozumie. '

- A niech pan spróbuje.

- Do czego chce pan użyć piorunów?

- Wypalę to złocone draństwo jak pluskwy wszystkich co do nogi, cały ich przeklęty ród do dwunastego pokolenia wstecz. Zetrę z powierzchni ziemi ich zamki obronne. Spalę ich wojska i wszystkich, kto będzie pomagał im i bronił. Niech pan będzie spokojny, pańskie pioruny posłużą tylko dobrej sprawie, a kiedy na świecie zostaną sami wyzwoleni niewolnicy i zapanuje pokój, zwrócę panu pioruny i nigdy więcej nie poproszę o nie.

Arata umilkł oddychając ciężko. Twarz mu pociemniała od napływu krwi. Na pewno już widział ogarnięte pożogą księstwa i królestwa, stosy na wpół zwęglonych ciał pośród rumowisk i niezliczone armie zwycięzców, wrzeszczące w uniesieniu: "Wolność! Wolność!"

- Nie - powiedział Rumata. - Nie dam panu piorunów. To byłby błąd. Niech pan postara się zaufać mi, ja widzę dalej niż pan... - Arata słuchał ze zwieszoną głową. Rumata ścisnął palce.
- Przytoczą panu tylko jeden argument. Jest znikomy w porównaniu z tym najpoważniejszym, za to najprędzej trafi panu do przekonania. Pan w tej chwili żyje, stawny Arato, ale przecież jest pan człowiekiem śmiertelnym i jeżeli pan zginie, jeżeli pioruny dostaną się w inne ręce, już nie tak czyste jak pańskie, to nawet mnie groza ogarnia na myśl, czym się to może skończyć...

Długi czas obaj milczeli. Potem Rumata wyjął z kantynki dzban estorskiego oraz zakąskę i postawił przed gościem. Arata nie podnosząc oczu zaczął łamać chleb i popijać winem. Rumatę ogarnęło dziwne uczucie bolesnego rozdwojenia. Wiedział, że jego stanowisko jest słuszne, niemniej ta słuszność w jakiś niepojęty sposób stawiała go znacznie niżej Araty. Tamten czymś go przewyższał, i nie tylko jego, lecz wszystkich, którzy przybyli nieproszeni na tę planetę (pełni bezsilnej litości obserwowali straszliwe wrzenie jej życia z wyżyny beznamiętnych hipotez i obcej tu moralności. Po raz pierwszy uświadomił sobie: niczego nie można zdobyć nie ponosząc strat, jesteśmy nieskończenie silniejsi od Araty w naszym królestwie dobra i nieskończenie słabsi od niego w tym królestwie zła...

- Nie powinien pan być schodzić z nieba - odezwał się nagle Arata. - Niech pan wraca do

siebie. Pan tylko wyrządza nam szkodę.

- Nie ma pan racji - powiedział łagodnie Rumata. - Nigdy nie szkodzimy nikomu.

- Nieprawda. Budzicie bezpodstawne nadzieje...

- W kim?

- We mnie. Pan osłabił moją wolę, don Rumata. Dawniej liczyłem wyłącznie na siebie, a pan sprawił, że teraz liczę na pańską siłę. Dawniej każdą walkę toczyłem tak zaciekle, jakby była ostatnią w moim życiu. A teraz zauważyłem, że szcędzę siebie dla innych walk, które będą rozstrzygające, ponieważ pan weźmie w nich udział...Niech pan odejdzie stąd, don Rumata, wraca do swego nieba i nigdy więcej się tu nie zjawia! Albo da nam swoje pioruny czy choćby tego żelaznego ptaka, czy po prostu obnaży swoje miecze i stanie na czele nas wszystkich.

Umilkł i znów sięgnął po chleb Rumata patrzył na jego pozbawione paznokci palce Przed dwoma laty wyrwał mu JS osobiście za pomocą specjalnego przyrządu don Reba. Ty jeszcze nie wiesz wszystkiego, myślał. Jeszcze pocieszasz się myślą, że tylko ty sam skazany jesteś na klęskę. Nie wiesz jeszcze, że jeśli chodzi o twych żołnierzy, to wróg istnieje nie tyle poza nimi, ile w nich samych. Możliwe, że obalisz Zakon i fala buntu chłopskiego wyniesie cię na tron królewski, że zrównasz z ziemią zamki szlacheckie, potopisz w Cieśninie baronów, a zbuntowany lud odda ci wszystkie honory jako wielkiemu wyzwolicielowi, że będziesz dobrym i mądrym - jedynym dobrym i mądrym człowiekiem w twoim królestwie, i dzięki tej dobroci zaczniesz rozdawać posiadłości ziemskie swym współtowarzyszom walki, a na cóż im te ziemie bez poddanych? I koło zacznie się kręcić w przeciwną stronę. Dobrze jeszcze, jeśli zdążysz umrzeć własną śmiercią i nie zobaczysz nowych hrabiów i baronów, którzy powstaną z twoich wczorajszych wiernych żołnierzy. Tak już bywało, mój sławny Arato, i na Ziemi, i na twojej planecie.

- Milczy pan? - Arata odsunął talerz i zmiotł z biurka okruchy rękawem sutanny. - Miałem ongiś przyjaciela. Na pewno pan słyszał - to był Waga Koło. Zaczynaliśmy razem. Później on został bandytą, królem nocy. Nie wybaczyłem mu zdrady i on wiedział o tym. Dużo mi pomógł - ze strachu i z wyrachowania - ale wrócić nie chciał nigdy, miał własne cele. Dwa lata temu jego ludzie wydali mnie don Rebie... - Popatrzył na swoje palce i zacisnął dłoń. - A dziś rano dopadłem go w arkanarskim porcie... - U nas nie może być połowicznych przyjaciół. Połowiczny przyjaciel to zawsze pół na pół wróg. - Wstał i nasunął kaptur na oczy. - Złoto na dawnym miejscu, don Rumata?

- Tak - odpowiedział powoli Rumata. - Na dawnym.

- Pójdę już. Dziękuję panu, don Rumata.

Przeszedł bezszelestnym krokiem gabinet i zniknął za drzwiami. Na dole w hallu cicho zgrzytnęła zasuwka.

No i jeszcze jedno zmartwienie, pomyślał Rumata. Którędy on mimo wszystko wemknął się do domu?..

Rozdział X

W Pijackiej Gawrze było dość schludnie, podłoga starannie zamieciona, stół wyszorowany do białości, w kątach dla zapachu leżały naręcza ziół i ściółki leśnej. Ojciec Cabani siedział statecznie na ławce pod ścianą, trzeźwy i wymyty, złożywszy czyste ręce na kolanach. Czekając aż Budach zaśnie, rozmawiano o głupstwach. Doktor siedzący przy stole obok Rumaty z życzliwym uśmiechem słuchał lekkiej paplaniny szlchetnych panów i od czasu do czasu wzdrygał się, zapadając w drzemkę. Jego wpadnięte policzki płonęły od końskiej dawki tetraluminolu, jaką dyskretnie domieszano mu do napoju. Starzec był bardzo podniecony i z trudem poddawał się działaniu narkotyku. Niecierpliwy don Hug zginał i rozginał pod stołem podkowę wielbłądzą, niemniej twarz jego zachowała swobodny i wesoły wyraz. Rumata kruszył chleb i z nieco znużonym zainteresowaniem obserwował, jak w don Condorze wzbiera żółć - Strażnik Wielkiej Pieczęci obawiał się spóźnić na nadzwyczajne nocne posiedzenie Konferencji Dwunastu Negocjantów, poświęcone przewrotowi w Arkanarze, któremu to posiedzeniu miał przewodniczyć.

- Moi szlchetni przyjaciele! - wyrzekł nareszcie dźwięcznym głosem doktor Budach, podniósł się i upadł na Rumatę.

Rumata troskliwie objął go ramieniem.

- Gotów? - zapytał don Condor.

- Do rana się nie obudzi. - Rumata wziął doktora na ręce i zaniósł na łożo ojca Cabani, który mruknął z zawiścią:

- Doktorowi to można dać, ale ojcu Cabani nie wolno, bo zaszkodzi. O, nieładnie!

- Mam kwadrans do dyspozycji - rzekł po rosyjsku don Condor.

- Mnie wystarczy pięć minut - odparł Rumata ledwie opanowując rozdrażnienie. - Mówiłem wam o tym już tak dużo, że teraz zajmę najwyżej minutę. Otóż w całkowitej zgodzie z podstawową teorią feudalizmu - spojrzawszy z wściekłością na don Condora - to zwykle wystąpienie mieszczań przeciwko baronii - przeniósł wzrok na don Hugo - przybrało formę prowokacyjnej intrygi Świętego Zakonu i doprowadziło do przekształcenia Arkanaru w bazę feudalno-faszystowskiej agresji. My tu łamiemy sobie głowy starając się na siłę wepchnąć tę skomplikowaną, pełną sprzeczności, zagadkową postać don Reby pomiędzy Richelieu, Neckera, Tokugawę, Ieyasu, Monka, a on tymczasem okazał się nędznym chuliganem i głupcem. Zdradził i sprzedał wszystko, co mógł, zaplątał się we własnych kombinacjach, stchórzył śmiertelnie i w te

pędy pomknął do Świętego Zakonu po ratunek. Minie pół roku i zakatrupią go, a Zakon pozostanie. Strach pomyśleć, jakie z tego wynikną konsekwencje dla Kraju za Cieśniną, a następnie dla całego Imperium. W każdym bądź razie cała nasza dwudziestoletnia działalność na terenie Imperium weźmie w łeb. Pod rządami Świętego Zakonu nie będzie pola do popisu. Przypuszczam, że Budach jest ostatnim człowiekiem, jakiego uratowałem. Później już nie będzie kogo ratować. Skończyłem.

Don Hug złamał w końcu podkowę i smyrnął połówki w ką.

- Tak, zgapiliśmy się - powiedział. - A może sytuacja nie jest jeszcze taka straszna, Antonie?

Rumata tylko popatrzył na niego.

- Powinieneś był sprzątnąć don Rebę! - rzekł nagle don Condor.

- Nie rozumiem, jak to "sprzątnąć"?

Na twarzy don Condora wystąpiły czerwone plamy.

- Fizycznie! - wybuchnął.

Rumata usiadł.

- Innymi słowy - zabić?

- Tak. Tak! Tak!!! Zabić! Porwać! Usunąć! Wsadzić do ciupy! Trzeba było działać. Nie naradzać się z dwoma durniami, którzy nie mieli zielonego pojęcia, co się święci.

- Ja też nie miałem.

- Ty przynajmniej wyczuwałeś.

Umilkli.

- Coś w rodzaju rzezi Barkańskiej? - spytał don Condor nie patrząc na Rumatę.

- Mniej więcej. Tylko lepiej zorganizowane.

Don Condor gryzł wargi.

- Teraz już za późno, żeby go sprzątnąć?

- Nie ma sensu - odparł Rumata. - Po pierwsze, sprzątną go inni. a po drugie, nie widzę w ogóle potrzeby. Przynajmniej trzymam go w rękę.

- A to jakim sposobem?

- Boi się mnie, jak diabeł święconej wody. Czuję, że za mną stoi jakaś siła. Proponował mi już nawet współpracę.

- Doprawdy? - mruknął don Condor. - To rzeczywiście nie ma sensu.

Don Hug przemówił zacinając się z lekka:

- Czy wy t-to wszystko poważnie, towarzysze?

- Co mianowicie? - spytał don Condor.

- N-no, to wszystko?... Zabić, sprzątnąć fizycznie... Czyście powariowali?

- Szlachetny pan trafiony w piętę - bąknął Rumata. Don Condor wyrecytował powoli:

- W okolicznościach nadzwyczajnych jedynie nadzwyczajne środki są skuteczne.

Don Hug poruszając wargami przenosił wzrok z jednego na drugiego.

- Czy w-wy... zdajecie sobie sprawę, do czego was to doprowadzi?... R-rozumiecie, do czego was to doprowadzi, he?

- Uspokój się, mój drogi - powiedział don Condor. - Nic się nie stanie, I na razie dość o tym. Co zrobimy z Zakonem? Proponuję blokadę obszaru arkanarskiego. Wasze zdanie, towarzysze? Tylko prędko, bardzo się spieszę.

- Nie mam jeszcze żadnego zdania - odparł Rumata. - A tym bardziej Paszka. Trzeba porozumieć się z Bazą. Rozejrzeć się. A za tydzień spotkamy się i coś postanowimy.

- Zgoda. - Don Condor wstał. - idziemy.

Rumata zarzucił sobie Budacha na ramię i wyszedł z chaty. Don Condor przyświecał mu latarką. Gdy dotarli do helikoptera, Rumata ułożył doktora na tylnym siedzeniu. Don Condor łomocąc mieczem i zaplątując się w płaszcz usadowił się w fotelu pilota.

- Podrzuci mnie pan do domu? - spytał Rumata. - Chciałbym się wreszcie wyspać.

- Dobra - burknął don Condor. - Tylko pospiesz się, bardzo cię proszę.

- Natychmiast wracam - Rumata pobiegł do chaty.

Don Hug wciąż jeszcze siedział przy stole i tarł brodę patrząc w jeden punkt. Obok niego stał ojciec Cabani i mówił:

- Tak zawsze z tym bywa, przyjacielu. Starasz się jak najlepiej, a wypada gorzej...

Rumata zgarnął oburącz miecze i bandolety.

- Cześć, Paszka - powiedział. - Nie martw się, po prostu wszyscy jesteśmy przemęczeni i nerwy nam wysiadają.

Don Hug pokręcił głową.

- Uważaj, Antonie. Och, uważaj!... Co innego wuj Sasza, on tu siedzi od dawna i nie nam go pouczać. Ale ty...

- Tymczasem chcę się wyspać. Ojciec Cabani, niech pan będzie tak dobry, weźmie moje

konie i odprowadzi je do barona Pampy. Zjawię się u niego w najbliższych dniach.

Na dworze z cicha zawyły śmigła. Rumata pomachał ręką i wypadł z chaty. W jaskrawym świetle reflektorów zarośla olbrzymich paprotników i białe pnie drzew wyglądały dziwacznie i niesamowicie. Rumata wdrapał się do kabiny i zatrzasnął drzwiczki.

W kabinie pachniało ozonem, sztucznym tworzywem i wodą kolońską. Don Condor poderwał maszynę i pewnie poprowadził nad Traktem Arkanarskim. Ja bym w tej chwili nie był do tego zdolny, pomyślał z lekką zawiścią Rumata. Za nimi spokojnie posapywał we śnie stary Budach.

- Antonie - odezwał się don Condor - nie chciałbym... e-e-e... wydać ci się nietaktownym i nie posądzaj ronię, że... e-e-e... wtrącam się do twoich spraw osobistych.

- Słucham pana - Rumata od razu domyślił się, o czym będzie mowa.

- Wszyscy jesteśmy zwiadowcami - ciągnął dalej don Condor. - I to, co mamy najdroższego, powinno znajdować się daleko na Ziemi albo w głębi naszych serc. Żeby nie można było nam tego odebrać, na przykład jako zakładnika.

- Mówi pan o Kirze? - spytał Rumata.

- Tak, mój chłopcze. Jeśli moje informacje o don Rebie są zgodne z prawdą, to trzymanie go w rękę jest zajęciem nader trudnym i niebezpiecznym. Rozumiesz, co mam na myśli...

- Tak, rozumiem. Postaram się coś wymyślić.

Leżeli w ciemności trzymając się za ręce. W mieście panowała cisza, tylko od czasu do czasu gdzieś niedaleko rżały niecierpliwie konie i waliły kopytami. Rumata co trochę zapadał w drzemkę i natychmiast się budził, ponieważ Kira wstrzymywała oddech - we śnie ścisnął zbyt mocno jej rękę.

- Musisz być bardzo śpiący - powiedziała szeptem. - Śpij.

- Nie, nie, opowiadaj, ja słucham.

- Co chwila zasypiasz.

- Mimo to wszystko słyszę. Jestem rzeczywiście bardzo zmęczony, ale jeszcze bardziej stęskniłem się za tobą. Szkoda mi spać. Opowiadaj, to mnie interesuje.

Potarła z wdzięcznością nosem o jego ramię, pocałowała w policzek i snuła dalej swoją opowieść. Dziś wieczorem chłopiec z sąsiedztwa przyniósł jej wiadomość od ojca. Ojciec leży. Wypędzili go z kancelarii i na pożegnanie zbili okrutnie pałkami. Ostatnio w ogóle nic nie może jeść, tylko pije, siny jest jak trup i trzęsie się cały. I jeszcze chłopiec mówił, że zjawił się brat -

ranny, ale wesoły i pod dobrą datą, w nowym mundurze. Dał ojcu pieniędzy, napił się z nim i znów wygrażał, że się ze wszystkimi rozprawią. Jest teraz podporucznikiem w jakimś specjalnym oddziale, ślubował wierność Zakonowi i zamierza zostać mnichem. Ojciec prosił, żeby broń Boże nie przychodziła teraz do domu. Brat się odgrażał, że się z nią porachuje, zważała się z wielkim panem, ruda mała...

O nie, myślał Rumata, wszędzie, tylko nie do domu. I tu też pod żadnym pozorem nie wolno jej zostać. Gdyby coś się z nią stało... Wyobraził sobie, że Kirę spotkało coś złego, i poczuł, że cały kamienieje.

- Spisz? - zapytała.

Ocknął się i zwolnił uścisk.

- Nie, nie... I co jeszcze robiłaś?

- Aha, jeszcze posprzątałam w twoich pokojach. Okropny masz bałagan. Znalazłam książkę, ojciec Gur napisał. O tym, jak pewien książę pokochał piękną, ale dziką dziewczynę z kraju za górami. Była zupełnie dzika, myślała, że on jest bogiem, a jednak bardzo go kochała. Potem ich rozłączyli i ona umarła z rozpaczy.

- To piękna książka - powiedział Rumata.

- Popłakałam się nad nią. Wciąż mi się zdawało, że to książka o nas.

- A tak, o nas. i w ogóle o wszystkich ludziach, którzy się kochają. Tylko że nas nikt nie rozłączy.

Najbezpieczniej byłoby na Ziemi, pomyślał. Ale jak ty tam będziesz beze mnie? I jak ja tu będę sam? Można by poprosić Ankę, by zaopiekowała się tobą. Ale co ja tu pocznę bez ciebie? Nie, na Ziemię polecimy razem. Ja poprowadzę pojazd, a ty siądziesz obok mnie i będę ci wszystko wyjaśniał. Żebyś niczego się nie bała. Żebyś od razu pokochała Ziemię. Żebyś nigdy nie żałowała swojej strasznej ojczyzny. Ponieważ to nie twoja ojczyzna. Ponieważ ta ojczyzna cię odtrąciła. Ponieważ urodziłaś się o tysiąc lat za wcześnie. Dobra, wierna, ofiarna, bezinteresowna... Takie jak ty przychodziły na świat we wszystkich epokach krwawej historii naszych planet. Jasne, czyste dusze, dla których nienawiść była uczuciem obcym, a okrucieństwo nie do przyjęcia. Ofiary. Niepotrzebne ofiary. O wiele bardziej niepotrzebne, niż Gur Improvizator czy Galileusz. Bo takie, jak ty, nawet nie są bojowniczkami. Aby stać się bojowniczką, trzeba umieć nienawidzić, a właśnie wy tego nie umiecie. Tak samo, jak i my teraz...

Rumata znów się zdrzemnął i nagle przywidziało mu się, że Kira stoi na samej krawędzi płaskiego dachu Rady, z degravitatorom u paska, a wesoła, drwiąca Anka popycha ją ku półtorakilometrowej przepaści.

- Boję się, Rumata - usłyszał głos Kiry i otworzył oczy.

- Czego, maleńka?

- Ciągłe milczysz i milczysz. Jakiś strach mnie ogarnia...

Przyciągnął ją do siebie.

- Dobrze. Teraz ja będę mówił, a ty słuchaj mnie uważnie. Daleko, daleko za sają stoi groźny, niedostępny zamek. Mieszka w nim wesoły, dobry i śmieszny baron Pampa, najlepszy baron w całym Arkanarze. Ma żonę piękną i czułą, która bardzo kocha Pampę trzeźwego i nie znosi Pampy pijanego...

Urwał nasłuchując. Z ulic dobiegał stukot mnóstwa kopyt i głośnie sapanie wielu ludzi i koni. „To tu?” - zapytał gruby głos pod oknem. "Chyba tu..." - „Stój!” Na stopniach ganku załomotały ciężkie buty i kilka pięści naraz zaczęło tłuc do drzwi. Kira drgnęła i przytuliła się do Rumaty.

- Zaczekaj, maleńka - rzekł odrzucając kołdrę.

- To po mnie - szepnęła. - Wiedziałam, wiedziałam o tym!

Rumata z trudem uwolnił się z jej ramion i podbiegł do okna. "Chwała Panu! - ryczały głosy na dole. - Otwierać! Jak wyłamiemy, będzie gorzej!" Rumata odsunął storę, do pokoju wdarł się znajomy chybotliwy blask pochodni. Gromada jeźdźców kłębiła się przed domem -posepnych, czarnych, w spiczastych kapturach. Patrzył na nich przez chwilę, potem sprawdził okno. Zgodnie z tutejszym zwyczajem, ramy były wpuszczone na stałe w otwór okienny. Na dole z trzaskiem walono w drzwi czymś ciężkim. Rumata namacał po ciemku miecz i uderzył rękoięścią w szybę. Z dźwiękiem posypało się szkło.

- Hej! - huknął. - Komu tam życie zbrzydło? Walenie w drzwi ucichło.

- Oni zawsze coś pokręcą - rzekł ktoś półgłosem. - Przecież gospodarz w domu...

- A co nam do tego?

- A to, że on w mieczach pierwszy w świecie.

- Jeszcze gadali, że wyjechał i do rana nie wróci.

- Macie stracha?

- Nie-e, ale o nim nie było żadnego rozkazu. Jakby co, zabić nie można...

- To związać. Pokiereszować i związać. Hej, który tam ma kuszę?

- Żeby on nas nie pokiereszował...

- Nic nam nie zrobi. Bo to nie wiesz, on składał taki ślub, że nie będzie zabijał.

- Pozabijam jak psy - wymówił strasznym głosem Rumata.

Do jego pleców przywarła Kira. Czuł, jak szaleńczo tłucze się jej serce. Na dole zaskrzeczał rozkazujący głos: "Wyłamać, bracia! Chwała Panu!" Rumata odwrócił się i spojrzał w oczy Kiry. Patrzyła na niego, jak wtedy przy stole, ze strachem i nadzieją. W suchych źrenicach tańczyły odblaski pochodni.

- No co, małeńka - powiedział czule. - Przestraszyłaś się? Doprawdy przestraszyłaś się tej hałustry? Idź się ubierz. Nie mamy tu już nic do roboty... - Pospiesznie wkładał metalową kolczugę. - Zaraz ich przepędzę i wyjedziemy. Do barona Pampy.

Stała przy oknie spoglądając na dół. Czerwone refleksy pełgały po jej twarzy. Na dole huczało, stękało. Rumacie ścisnęło się serce z żalu i tkliwości. Wygonię jak psy, pomyślał. Schylił się szukając drugiego miecza, a gdy się wyprostował, Kira już nie stała przy oknie. Powoli zsuwała się na podłogę czepiając się zasłony.

- Kira! - krzyknął.

Jedna strzała przebiła jej gardło, druga utkwiała w piersi. Wziął ją na ręce i przeniósł na łóżko. "Kira..." -zawołał. Westchnęła na wpół ze szlochem i znieruchomiała. "Kira..." - powtórzył. Nie odpowiedziała. Stał nad nią jeszcze długą chwilę, potem zgarnął miecze, zszedł powoli do hallu i czekał, kiedy runą drzwi...

EPILOG

- A potem? - spytała Anka.

Paszka odwrócił oczy, klepnął się kilka razy po kolanie i schyliwszy się zerwał poziomkę tuż przy swoich nogach. Anka czekała.

- Potem... - mruknął. - Właściwie, to nikt nie wie, co było potem. On zostawił nadajnik w domu, a kiedy dom zaczął się palić, na sterowcu patrolowym zorientowali się, że jest niedobrze, i natychmiast wzięli kurs na Arkanar. Dla pewności zrzucili na miasto ładunki z gazem usypiającym. Pożar już dogasał. Z początku stracili głowę, nie wiedzieli, gdzie go szukać, później jednak zobaczyli... - Zaciął się. - Słowem, widać było, dokąd szedł.

Paszka umilkł i zaczął wrzucać do ust poziomki jedną po drugiej.

- I co? - cichutko spytała Anka.

- Dotarli do pałacu... I tam go znaleźli.

- Jak?

- No... spał. i wszyscy dokoła... też... leżeli... Niektórzy spali, a niektórzy... no... Don Rebę również tam znaleźli... - Spojrzał na Ankę i natychmiast odwrócił wzrok. - Zabrali go, to znaczy Antona, i odwieźli do Bazy... Zrozum, Anka, przecież on nic nie opowiada. On w ogóle mówi teraz bardzo niewiele.

Anka siedziała bardzo blada, wyprostowana, i patrzyła ponad głowę Paszki na polanę przed domkiem. Szumiały sosny, lekko kołysząc gałęziami, po ciemnobłękitnym niebie z wolna sunęły puszyste obłoki.

- A co się stało z dziewczyna? - spytała.

- Nie wiem - odpowiedział twardo.

- Słuchaj, Paszka. Może nie powinnam była tu przyjeżdżać?

- Ależ skąd! Myślę, że twój widok bardzo go ucieszy...

- A ja nie mogę się oprzeć wrażeniu, że on gdzieś tu chowa się w krzakach, patrzy na nas i czeka, póki nie wyjadę.

Paszka uśmiechnął się.

- Co to, to nie! Anton nie będzie chował się w krzakach. Po prostu nie wie, że tu jesteś. Łowi gdzieś ryby, jak zwykle.

- A jaki jest wobec ciebie?

- Nijaki. Znosi mnie. Ale ty, to zupełnie co innego... Umilkli.

- Anka - przerwał milczenie Paszka. - Pamiętasz anizotropową szosę?

- Jaką?

- Anizotropową. Wisiała tam cegła - zakaz przejazdu. Pamiętasz, byliśmy we trójkę?

- Tak, tak, przypominam sobie. To Anton ją nazwał anizotropową.

- I poszedł wtedy mimo zakazu. A po powrocie mówił, że natrafił tam na wysadzony most i szkielet faszysty przykuty do karabinu maszynowego.

- Nie pamiętam. No i co?

- Często teraz myślę o tej szosie. Jakby to miało jakiś związek... Szosa była anizotropowa, jak historia... Wstecz iść nie można. A on poszedł, i natknął się na przykuty szkielet.

- Nie rozumiem cię. Co ma z tym wspólnego przykuty szkielet?

- Nie wiem - przyznał szczerze Paszka. - Ciągle mi to chodzi po głowie.

Anka powiedziała:

- Nie pozwalaj mu zbyt dużo myśleć. Powinieneś go jak najczęściej o coś zagadywać. O byle jakie głupstwa. Żeby go wciągnąć w rozmowę.

Paszka westchnął.

- O tym to i ja dobrze wiem. Tylko co go obchodzą moje głupstwa?... Słucha, uśmiecha się, a potem mówi: "Wiesz co, Paszka, posiedź tu sobie, a ja się trochę powłóczę..." i odchodzi. A ja siedzę. Z początku jak idiota łąziłem za nim cichaczem, a teraz zwyczajnie siedzę i czekam. Ale gdybyś ty...

Anka nagle się podniosła. Paszka obejrzał się i również wstał. Patrzyła z zapartym tchem, jak przez polaną idzie ku nim Anton - olbrzymi, barczysty, z twarzą bladą, bez nalotu opalenizny. Nic się w nim nie zmieniło, zawsze był trochę pochmurny.

Zaczęła iść w jego kierunku...

- Anka - przemówił serdecznie - Anka, przyjacielu... Wyciągnął do niej swoje wielkie łapy. Ona nieśmiało odwzajemniła ten gest i naraz cofnęła się. Na jego palcach... Nie, to nie była krew - to tylko ślad po poziomkach.